

W CO GRA GIERTYCH?

PISZEMY O WIELKIM POLITYCZNYM MARZENIU TAŚMOWEGO MECENASA

SERCE PĘKA – W WARSZAWIE KOMUNIŚCI WRACAJĄ NA PATRONÓW ULIC

JAK TUSK TERAZ DAJE POPALIĆ EUROPEJCZYKOM



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 7 (325) 2019
18–24 lutego
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

GRZEGORZ GÓRNY UJAWNIA

IDZIE MOCNY ATAK NA NASZEGO PAPIEŻA

TO NA JANA PAWŁA II MA BYĆ ZRZUCONA WINA ZA TOLEROWANIE I TUSZOWANIE SKANDALI HOMOSEKSUALNO-PEDOFILSKICH W KOŚCIELE. NAGONKA WŁAŚNIE RUSZYŁA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl 8765b03b4d

CYFROWY POLSAT

Telewizja na start nawet

6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT!



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości" © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory" © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 8765b03b4d

„GW", TVN i mecenas zaplątali się we własne nogi

Wszystko można zrozumieć, zwłaszcza ze strony redakcji, która wojuje z braćmi Kaczyńskimi od początku lat 90., a w 2011 r. jej prominentny redaktor Piotr Stasiński stwierdził otwarcie: „Jestem wrogiem PiS i będę go zwalczał, ile sił". No cóż, można i tak widzieć ten zawód, ale nawet w takim wypadku należy mierzyć siły na zamiary.

W serialu taśmowym „Wyborcza" widziała swój Stalingrad – decydujący, o znaczeniu strategicznym, punkt zwrotny w wielkiej wojnie, którą wydała werdyktowi demokratycznemu z roku 2015. Jednak choć pierwsze sensacje wzbudziły duże zainteresowanie, to szybko były weryfikowane. W efekcie powstało wrażenie zjadania własnego ogona przez mecenasa, „GW" i TVN.

Oto solidnie opłacani prawnicy Geralda Birgfellnera robią dwudniową opowieść o tym, jaki to nastrój ma akurat prokurator, do której się sami udali, by złożyć ważne dowody. Zapytajcie pierwszego lepszego znajomego prawnika, a za darmo udzieli wam rady: to, czy prokurator jest miły, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. A jeśli już ma, to takie, że im bardziej miły, tym większą należy zachować czujność.

Oto „Gazeta Wyborcza" najpierw sama już w pierwszym artykule opisuje, że Birgfellner miał pełnomocnictwo do pewnych działań w imieniu Srebrnej, a tydzień później obwieszcza sensację: Birgfellner miał pełnomocnictwo.

Oto mająca być kluczowym dowodem na poszkodowanie Birgfellnera faktura okazuje się domowej roboty kwitkiem, od którego nie odprowadzono podatków, którego nawet nie wysłano do odbiorcy. Jest zatem raczej wielkim oskarżeniem wystawiającego niż spółki Srebrna.

Oto sensacyjna w założeniu opowieść o „kopercie Kaczyńskiego" okazuje się fantazją o przekazaniu jakichś pieniędzy komuś, kogo sam Birgfellner nie jest w stanie sobie przypomnieć. Na dodatek Roman Giertych publicznie nakazuje „Wyborczej" zmianę tekstu. I ta to robi!

I nawet kiedy Radosław Sikorski pyta ironiczno-złośliwie swoich fanów na Twitterze, „czy chcieliby robić interesy z kimś, kto jest #Uczciwy jak Kaczyński", wynik jest jednoznaczny: 51 proc. by chciało.

Trzeba powiedzieć: dość. Panie Michnik, to, co robicie, to już nie jest dziennikarstwo, to próba zadręczenia przyzwoitego człowieka. To nagonka, w której próbujecie użyć medialnej siły opozycji do wywołania przesilenia politycznego. To akcja, w której dawno przestaliście szukać prawdy po dziennikarsku (załóżmy, że choć przez chwilę tak było), a staliście się elementem hejterskiej kampanii.

Przestańcie. Nawet wam nie wolno tyle razy i tak radykalnie przekraczać granic przyzwoitości.

Michał Karnowski



SIECI spis treści



57 ***Z Janem Jakubem Kolskim*** *rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*



69-80 **VII Bieg „Tropem Wilczym”** *Dodatek specjalny*



87-94 **Pomoc osobom poszkodowanym przez oszustwa finansowe** *Dodatek specjalny*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

11 **MĘSKIE SPRAWY**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **NERWICA OBOZU ZŁEJ ZMIANY**
Jan Pietrzak

15 **NOWA TARGOWICA**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **SĄD ONLINE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **ZNISZCZYĆ AUTORYTET JANA PAWŁA II**
Grzegorz Górny

26 **KATOLICY A HOMOSEKSUALIZM**
Ks. Andrzej Kobyliński

KRAJ

29 **Z NOŻEM W ZĘBACH**
Marek Pyza, Marcin Wikło

34 **ZAWODOWY PROWOKATOR TUSK**
Stanisław Janecki

37 **DAWNY USTRÓJ I PiS**
Piotr Skwieciński

40 **WARSZAWSKIE ODWRÓCENIE SOJUSZY**
Jan Rokita

44 **W TEJ WOJNIE NIE MAMY SOJUSZNIKÓW**
Grzegorz Górny

46 **BOMBOWA OPCJA**
Konrad Kołodziejski

50 **KOMUNA WARSZAWSKA W NATARCIU**
Marzena Nykiel

52 **JAN OLSZEWSKI I „OKRĄGŁY STÓŁ”**
prof. Andrzej Nowak

54 **POMOC POWINNA PRZYJŚĆ NA CZAS**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

57 **Z JANEM JAKUBEM KOLSKIM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

62 **ZGRZYT W DUSZY**
Przemysław Skrzydelski

64 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

66 **POLECA**
Łukasz Adamski

68 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

HISTORIA

69 **BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH**
Marcin Wikło

81 **ROZSTRZELANI ZA POMOC ŻYDOM**
Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

84 **CZY ŁATWO JEST POŁKNĄĆ BIAŁORUŚ?**
Aleksander Stralcou-Karwacki

86 **KONTROFENSYWA CHIŃSKIEGO GIGANTA**
Maksymilian Wysocki

GOSPODARKA

96 **UCYWILIZOWAĆ DZIAŁALNOŚĆ ODSZKODOWAWCZĄ**
Piotr Filipczyk

98 **ŚWIAT ZWARIOWAŁ CZY TO LUDZIOM W GŁOWACH SIĘ POMIESZAŁO?**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: TOMASZ MANDES**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **72 PROC.**
Piotr Skwieciński

105 **STALINOWSKA KŁAMCZUCHA PROWOKUJE**
Maciej Pawlicki

106 **ZAWDZIĘCZAMY MU WIELE**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **W KRAKOWIE ZACZEPIŚCIE!**
Aleksander Nalaskowski

109 **HIPOKRYZJA NA STOLE**
Wiktor Świetlik

110 **POWRÓT POSŁA**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **SKĄD SIĘ BIORĄ PARTIE?**
Ryszard Makowski

113 **W PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE**
Leszek Długosz

114 **MARSZ TUSKA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

32/0119/F

eprasa.pl 8765b03b4d

Przystąp do Programu VITAY!



Do zgarnięcia:

KUPONY | RABATY | PREZENTY

Za paliwo i zakupy na stacji lub w Internecie!
Dla wszystkich z kartą lub aplikacją mobilną VITAY!
Sprawdź na vitay.pl

CLUB VITAY

ORLEN

eprasa.pl 8765b03b4d



Sygnalista nadaje

Łatwo już było. Nawet wygranie wyborów nie gwarantuje zemsty. Wie to Włodzimierz Cimoszewicz, który największy problem widzi w Trybunale Konstytucyjnym: „Nie da się legalnie go zmienić, a będzie blokował nowe ustawy. Jeszcze przed wyborami trzech sędziów zostanie wymienionych w zgodzie z prawem. Nawet jeśli się wycofa dublerów, to ci wybrani przez PiS będą w większości. Kadencja Trybunału jest ustanowiona konstytucyjnie". Słusznie. Czerwony, ale politykę czytać umie.

„Rzeczpospolita" też sięgnęła w przeszłość i odświeżyła stary jak świat postulat: Kaczyński na emeryturę! Sondaż wykazał jednak, że zdaniem 75 proc. badanych taśmy „GW" nie zmuszą Jarosława Kaczyńskiego do odejścia z polityki. Przeciwnego zdania jest jedynie 10 proc. respondentów. Ale tu nie o wyniki chodzi, tylko o pytanie. Sami chyba tego nie wymyślili.

Do uczestników konferencji bliskowschodniej przemówił ***Mateusz Morawiecki***. „Śnieg jest jedną z naszych specjalności. Prawdopodobnie w domu nieczęsto go tak widujecie. Nie mamy go aż tak znowu dużo, ale zdaje mi się, że trochę go jest, więc mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, że jest też tutaj" – mówił premier. Problem w tym, że śnieg, owszem, spadł poprzedniego dnia rano, ale w czwartek nie było już po nim śladu. A więc trzeba było albo zmienić tekst, albo trochę naśnieżyć wokół Stadionu Narodowego.

Wiceprezydent USA Mike Pence wygłosił w Warszawie przemówienie, które właściwie nie pozostawia złudzeń. „Wszystkie kochające wolność kraje muszą zająć wspólne stanowisko i rozliczyć reżim Iranu ze zła i krzywd wyrządzonych własnemu narodowi i światu" – mówił, dorzucając słowo „diabeł" jako określenie władz w Teheranie oraz przekonując, że ajatollahowie „opowiadają się za kolejnym Holokaustem i poszukują sposobu na jego przeprowadzenie". Zapachniało wojną.

Rysownik „Gazety Wyborczej" przelał na papier marzenia redakcji. Po jednej stronie rysunku Jarosław Kaczyński z nagrodą Człowieka Wolności tygodnika „Sieci", po drugiej za kratami. Podpis nie pozostawia wątpliwości: „10YearsChallenge. 2016. Człowiek Roku Tygodnika »Sieci«. 2026. Człowiek Roku Tygodnika »Siedzi«". No cóż, zobaczymy, kto gdzie będzie za dekadę. Bo patrząc historycznie, to od prawie 30 lat Czerska goni tego króliczka, a on wciąż przed nią.

Korespondentka amerykańskiej stacji MSNBC Andrea Mitchell pobiła kolejny rekord antypolonizmu zmieszanego z głupotą. Jej zdaniem powstańcy w getcie walczyli przeciwko „polskiemu nazistowskiemu reżimowi". Jesteśmy grillowani, a ogień coraz większy. I nie ma wątpliwości, że gdybyśmy zapłacili i założyli worek pokutny, batożenie skończyłoby się jak nożem uciął. Bo owszem, to często jest głupota, ale ktoś ją podsyca i ktoś na nią przyzwala.

Ale trzeba walczyć. Na małym Cyprze każdy zagraniczny dziennikarz na dzień dobry dostaje w prezencie piękną książkę opisującą nie tylko losy wyspy, lecz także tureckie okrucieństwa w czasie inwazji 1974 r. wraz z kompletem ciekawych map. U nas z promocją prawdy wciąż kiepsko, choć pieniędzy nie brakuje. Potrzebna jest nowa instytucja, „zewnętrzny IPN". W takiej walce skuteczne mogą być tylko poważne, profesjonalne, zbudowane od zera instytucje.

W odpowiedzi na wybryk Andrei Mitchell zażądano od władz ostrej reakcji. Np. Stanisław Tyszka z Kukiz '15 wnioskował do ministra Czaputowicza

eprasa.pl 8765b03b4d

o wydalenie dziennikarki z Polski i wpisanie jej na listę osób niepożądanych. Oczywiście, gdyby MSZ tak zrobiło, ci sami ludzie krzyczeliby, że „PiS skłóciło nas nawet z USA". Prawda jest brutalna: bez sojuszu z USA nie można nawet marzyć o suwerenności, a bez prezydentury Trumpa rząd PiS mógłby upaść po roku.

Bruksela wciąż nas próbuje przydusić, ale jest nadzieja na zmiany. Bo nie tylko eurosceptycy, lecz także euroentuzjaści porównują jej obecną kondycję do końcówki Sowietów. Nie kto inny, ale sam ***George Soros*** stwierdził ostatnio tak: „Nadal można postulować zachowanie UE, aby dokonać w niej radykalnych zmian. To jednak wymagałoby zmiany serca Unii Europejskiej. Obecne przywództwo przypomina politbiuro po upadku Związku Radzieckiego, które kontynuowało wydawanie ukazów, jak gdyby były nadal aktualne". Trochę bełkotliwa wypowiedź, ale coś w niej jest.

„Nie wpisuję się w opowieść mówiącą, że »okrągły stół« był jakimś spiskiem" – stwierdził w wywiadzie dla PAP ***Jarosław Kaczyński***. Zdaniem prezesa PiS: „»Okrągły stół« był posunięciem z punktu widzenia ówczesnej sytuacji właściwym, trzeba było po prostu jakoś odtworzyć nasze siły, a na stopie nielegalnej to się nie udawało". I to się udało. Później jednak – ocenia Kaczyński – należało przejść do generalnej ofensywy, szybko doprowadzając do nowych wyborów, do wielkich zmian w Polsce.

Dlaczego ten plan się nie powiódł? Zdaniem prezesa PiS zdecydował nie „okrągły stół", tylko charakter kontrelity, która się wyłoniła w Polsce w długim procesie trwającym ok. 30 lat, od 1956 r.: „Ta kontrelita, nie przeczę, miała zasługi w osłabianiu komunizmu; także ta, która się wyłoniła po »Solidarności«. Była w dużej wpływowej części związana z czasami poprzednimi. Nie odmawiam nikomu prawa do zmiany stanowiska, ale to tworzyło pewne ograniczenia. Te ograniczenia miały bardzo różny charakter: życiowy, teraz dowiadujemy się, że też agenturalny, czasem związany z różnego rodzaju znajomościami, związkami, przeświadczeniami, że Polska zupełnie zmieniona może okazać się niebezpieczna".

Owe „ograniczenia" i dziś dyktują wiele decyzji. „Armia Ludowa pokonała Lecha" – ucieszyła się „Wyborcza" po tym, gdy w Warszawie zdejmowano tabliczki z imieniem i nazwiskiem śp. prezydenta, przywracając ulicy starą nazwę Armii Ludowej. Rzecz jasna nie chodziło o rzekome błędy prawne, ale o obronę rodzinnych biografii. Ale ratuszowi radzimy, by zdjętych tabliczek nie niszczył, bo jeszcze wrócą. Po wyborach, ale wrócą.









Viktor Orbán ogłosił imponujący plan prorodzinny. Atrakcyjne kredyty, umarzane po urodzeniu trójki dzieci, pomoc w spłacaniu kredytów hipotecznych, pomoc w zakupie większego samochodu, solidne ulgi podatkowe dla rodzin z dziećmi. Nad szczegółami można dyskutować, ale o jednym warto pamiętać: to ten rozmach daje Orbánowi polityczną dominację. Jest jasne, czego dotyczy spór, i jest to spór tak ustawiony, że rządzący mogą na nim tylko wygrać.

Powstał nowy ruch polityczny Roberta Gwiazdowskiego. „Zarabiamy statystycznie średnio 5 tys. zł, mamy z tego tylko 3 tys., a państwo zabiera aż 2 tys. – to nie jest fair" – mówił Gwiazdowski, dodając: „Postanowiliśmy, że zagramy fair, dlatego będziemy się nazywali Fair Play". Wybór nazwy mówi wszystko o szansach nowego ugrupowania. Gdyby naprawdę zarabiali 5 tys. brutto, byliby bliżej ludzi i wybraliby bardziej sensowną nazwę.

Gwiazdowski zdołał jednak trochę przerazić narodowców, którzy żyją w przekonaniu, że razem z Korwinem na pewno wejdą do Sejmu. Platformę przeraził zaś Biedroń. „Szczeniaczki małe też są fajne i wszyscy je lubią, ale domu nie obronią. Taka jest prawda" – stwierdził, wyraźnie pod adresem Wiosny, szef klubu PO-KO Sławomir Neumann. Biedroń nie zareagował, a przecież to wypowiedź wyraźnie homofobiczna.

Marszałek woj. śląskiego powołuje zespół ds. obchodów stulecia powstań śląskich. Mają się w nim znaleźć dyrektorzy instytucji kultury województwa śląskiego (Jodliński, Kadłubek i cała reszta mianowana jeszcze przez koalicję RAŚ i PO). Przewodniczyć ma dyrektor Wydziału Kultury Przemysław Smyczka, również bliski separatystom. A wszystko akceptuje wojewoda. Dobra zmiana na Śląsku niebezpiecznie się bawi.

Opowiastka z Podhala: warszawianka skręciła w górach nogę. Na SOR w Nowym Targu sprawnie zarejestrowali, po czym skierowali do kolejki. Bardzo długiej kolejki, właściwie stojącej w miejscu. W końcu po siedmiu godzinach dobiła się do lekarza, po kolejnych dwóch wyszła z nogą w gipsie. A wystarczyłby dodatkowy dyżur lekarski, bo przecież łatwo przewidzieć, że w czasie ferii SOR będzie oblegany. A tak ludzie (również dzieci) siedzą, cierpią, wyklinają i wychodzą z poczuciem, że państwo polskie ma gdzieś ich ból.

Fot. Andrzej Wiktor (x2), Shutterstock (x2)

eprasa.pl 8765b03b4d

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP. PANA PREMIERA
JANA OLSZEWSKIEGO

znakomitego adwokata, obrońcy w procesach politycznych,
współtwórcy Komitetu Obrony Robotników i statutu „Solidarności”,
prezesa Rady Ministrów wyłonionej przez pierwszy po wojnie
wybrany w pełni demokratycznie Sejm Rzeczypospolitej,
posła na Sejm I, III i IV kadencji, kawalera Orderu Orła Białego,
doradcy śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego,
żołnierza Szarych Szeregów i uczestnika Powstania Warszawskiego.

Rzeczpospolita żegna dziś wybitnego polityka, męża stanu,
dobrego człowieka, który przez całe życie szedł drogą służby
Niepodległej i był wszędzie tam,
gdzie ważyły się losy wolności Polaków.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego

składam wyrazy serdecznego współczucia

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzej Duda

17/0219/F



Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość
o śmierci wyjątkowego, wielkiego Człowieka

ŚP. JANA OLSZEWSKIEGO

Prezesa Rady Ministrów w latach 1991-1992,
posła na Sejm I, III i IV kadencji,
uczestnika Powstania Warszawskiego, członka Szarych Szeregów,
niezłomnego działacza opozycji demokratycznej,
obrońcy w procesach politycznych w okresie komunizmu,
w latach 2006–2010 doradcy Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego.

Był politykiem wielkiego formatu i prawdziwym patriotą
o wspaniałym życiorysie.

Rodzinę i Najbliższych Zmarłego

wspieramy w tych trudnych chwilach
i zapewniamy o modlitewnej pamięci.

Marek Kuchciński
Marszałek Sejmu

15/0219/F



7 lutego 2019 r. odszedł

JAN OLSZEWSKI

Wielka postać naszej historii.

Polityk, adwokat, działacz społeczny,
obrońca w procesach politycznych w czasach komunizmu.

Premier Rządu wolnej Polski, poseł na Sejm I, III i IV kadencji,

Kawaler Orderu Orła Białego,

harcerz Szarych Szeregów i uczestnik Powstania Warszawskiego,
współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników,
doradca „Solidarności”, uczestnik obrad Okrągłego Stołu,
doradca prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Był człowiekiem wielkiej odwagi i mądrości.

Był niezłomny i przez całe życie wierny idei niepodległej Polski.

Rzeczpospolita poniosła niepowetowaną stratę.

Cześć Jego pamięci!

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów wraz z Radą Ministrów

18/0219/F



Z ogromnym smutkiem i głębokim żalem
przyjęłam wiadomość o śmierci

JANA OLSZEWSKIEGO

Prezesa Rady Ministrów w latach 1991–1992,

Wybitnego Człowieka i znakomitego polityka,
obrońcy opozycjonistów w okresie PRL,
odznaczonego Orderem Orła Białego.

Żegnam wyjątkowego Polaka – Patriotę,
oddanego całym sercem służbie Ojczyźnie.

Był niekwestionowanym autorytetem,
z którego mądrości i bogatego doświadczenia
korzystała Polska i pokolenia Polaków.

Pozostanie na zawsze w mojej pamięci
jako Człowiek niezwykle odważny i uczciwy.

Rodzinie i Bliskim

składam wyrazy współczucia

Beata Szydło
Wiceprezes Rady Ministrów

13/0219/F

eprasa.pl 8765b03b4d



W dniu 7 lutego 2019 r. zmarł

JAN OLSZEWSKI

Wielki państwowiec,
wybitny adwokat – obrońca Opozycji w czasach PRL,
Premier pierwszego prawdziwie niekomunistycznego polskiego Rządu.
Niech odpoczywa w pokoju!

Wyrazy najgłębszego współczucia
Rodzinie i Bliskim zmarłego Jana Olszewskiego

Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

16/0219/F

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

JANA OLSZEWSKIEGO

żołnierza Szarych Szeregów i uczestnika Powstania Warszawskiego,
premiera pierwszego polskiego rządu po II wojnie światowej
pochodzącego z wolnych wyborów,
wieloletniego posła na Sejm RP,
działacza opozycji demokratycznej,
obrońcy w procesach politycznych w okresie PRL,
Twórcy i Przewodniczącego Ruchu dla Rzeczypospolitej
oraz Ruchu Odbudowy Polski,
Członka Trybunału Stanu,
Doradcy Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego,
Kawalera Orderu Orła Białego,
człowieka o ogromnej odwadze cywilnej
i niezachwianej wierze w wartości chrześcijańskie i demokratyczne,
patrioty stawiającego na pierwszym miejscu dobro Ojczyzny,
osoby prawej o wielkiej moralności i kulturze osobistej

wyrazy głębokiego współczucia

RODZINIE i BLISKIM

składa

ZBIGNIEW ZIOBRO

MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI PROKURATOR GENERALNY

19/0219/F



Z głębokim żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

JANA OLSZEWSKIEGO

zasłużonego działacza opozycji w czasach PRL
oraz pierwszego Premiera rządu Rzeczypospolitej Polskiej
pochodzącego z wolnych wyborów

Rodzinie i Bliskim

najszczersze wyrazy współczucia składają

Prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński
Zarząd NBP, Członkowie Rady Polityki Pieniężnej
oraz pracownicy Banku

25/0219/F



Wielki smutek i żal towarzyszą nam od chwili wiadomości o śmierci

ŚP. PREMIERA

JANA OLSZEWSKIEGO

Wybitny mąż stanu, odważny obrońca prześladowanych,
zasłużony w walce o prawdę i niepodległą Polskę.

Po 2010 roku był w gronie kapituły Nagrody
im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego,
wręczanej corocznie wybranym twórcom.

Byliśmy zaszczyceni tą obecnością
i dziś żegnamy Go w poczuciu ogromnej straty.

Najgłębsze wyrazy współczucia składamy

Jego żonie Marcie i całej Rodzinie

Kapituła Nagrody im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego
Kongres Polska Wielki Projekt

22/0219/F

eprasa.pl 8765b03b4d



Z głębokim żalem żegnamy

WIELKIEGO POLAKA I PREMIERA RP
ŚP. JANA OLSZEWSKIEGO

Wyrazy współczucia oraz najszczersze kondolencje

Rodzinie i Bliskim

składają pracownicy Grupy Kapitałowej LOTOS

24/0219/F

Z głębokim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.
JANA OLSZEWSKIEGO

urodzonego 20 sierpnia 1930 roku w Warszawie.
Podczas okupacji niemieckiej harcerza Szarych Szeregów
w Obwodzie Praga Armii Krajowej
oraz uczestnika Powstania Warszawskiego.

Od 1964 roku obrońcy w procesach politycznych
działaczy opozycji antykomunistycznej.
We wrześniu 1976 roku współzałożyciela
Komitetu Obrony Robotników.
We wrześniu 1980 roku inicjatora utworzenia ogólnopolskiej
zjednoczonej struktury związków zawodowych,
współautora statutu NSZZ „Solidarność".
W okresie stanu wojennego obrońcy
w sądowych procesach politycznych,
w grudniu 1988 roku współtwórcy
Komitetu Obywatelskiego „Solidarność".

W latach 1991–1992 Prezesa Rady Ministrów.
W latach 1991–1993 i 1997–2007 posła
na Sejm I, III i IV kadencji.

Był człowiekiem niezłomnym i prawym!

Całe życie służył Najjaśniejszej Rzeczypospolitej!

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

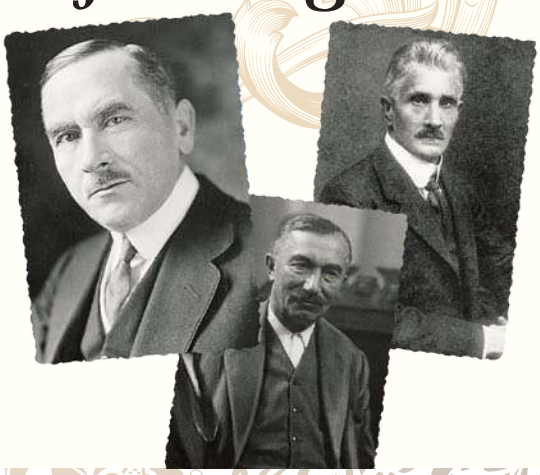
33/0219/F

Już 25 LUTEGO i w każdy ostatni poniedziałek miesiąca

SUKCESY XX-lecia międzywojennego

1918–1939





Cykl dodatków o niezwykłych czasach budowania nowego państwa po 123 latach zaborów

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 8765b03b4d



KRZYSZTOF FEUSETTE

Męskie sprawy

Robert: Halo? Idzie Grześ przez wieś, worek głosów niesie, a przez Wiosnę głosy ciurkiem sypią się za Grzesiem, chi, chi, chi...

Grzegorz: *Do Biedronia przyszedł żuk i w czółeczko: puk, puk, puk...*

R.: Fajne. Kupę lat, Grzesiu...

G.: *Chyba kopę.*

R.: Szmat czasu.

G.: *Szmat to jest marsz. Zresztą znasz te panie lepiej ode mnie. Słucham, o co chodzi?*

R.: O ten tramwaj, co nie chodzi. Jak nie chodzi, znaczy staje, krzywa Henia hasło daje. Mnie na rymach nie zagniesz, Grzesiu. No, podaj jakiś do „sprzedał"?

G.: *Pe..., nie, na „pe" na pewno nie. To niech będzie „nie dał".*

R.: I jesteśmy w domu. Szkoda, że w publicznym. Powiem ci szczerze, że ten Stefan to jednak mnie rozczarował. Taki ładny chłopak, a się za kelnerkami uganiał? Mało jest kelnerów w tym kraju?

G.: *A ty od kiedy w medialny przekaz wierzysz? Przecież to nie on się uganiał, tylko one chciały, żeby im świadczył usługi za węgiel.*

R.: Chyba miał węglowy.

G.: *Nie wiem, nie pytałem. Coś tam pewnie miał, skoro fasolkę przywoziły.*

R.: Jakby tyle nie żarł, toby węgla nie potrzebował. A tak – wstyd pozostał. Ludzie mówią, że nawet na Wiejską bez viagry nie chodził, a jak się któraś dziennikarka z całej prawdy całą dobę zakochała, to mogła „Jurnego" w immunitet pocałować. To by się nawet zgadzało...

G.: *Rysiek go wyciągnie.*

R.: Chyba na sześciu króli.

G.: *Kalisz to nie Petru.*

R.: A czemu Romana nie wziąłeś do galopu? Przecież on ma końskie zdrowie i na pewno by nie widział przeszkód, żeby takiego ogiera bronić. Wyobrażasz sobie? „Proszę wstać, sąd idzie", a Roman na to: „Kto nie skacze, ten za PiS-em!", i siedzi dalej...

G.: *Ale potem siedziałby Stefan.*

R.: Sam widzisz, jakiego mieliście marszałka i szefa komisji obrony. Na szczęście idzie Wiosna...

G.: *Skończ już, chłopcze tęczowy, z tą Wiosną, bo ci wierszyk zacytuję. „Biedroń myślał o niedzieli, a w przedwiośniu łeb mu ścięli". Wy teraz jesteście Wiosna, bo wybory są na wiosnę, a parlamentarne będą jesienią, więc ci zrobię taką jesień średniowiecza...*

R.: Mnie tak nie wystraszysz. A jak po walentynkach? Bo my siedzimy z narzeczonym i stanowiska obsadzamy...

G.: *W którym cyrku? Masz już klauna czy ci Żakowski wystarczy? Sam będziesz na trapezie fikał?*

R.: Jak będę misia na rowerze potrzebował, to zadzwonię. Ty jesteś partyjny beton, Grzesiu, a na betonie kwiaty nie rosną. W żar epoki nie użyczy nam chłodu żaden schron, żaden beton. W domach z betonu nie ma wolnej miłości...

G.: *Aha.*

R.: Nie „aha", tylko „ach", Grzesiu. „Wiosna, ach, to ty" – już Grechuta tak śpiewał.

G.: *A wiesz, co wołały chłopaki na osiedlu? „Srali muchy, będzie wiosna, będzie lepiej trawa rosła...".*

R.: Trawę zalegalizujemy.

G.: *Chyba na boiskach. I małżeństwa jednopłciowe, i adopcję dzieci przez dwie ciotki albo czterech wujów, i darmowego ginekologa dla chłopców...*

R.: Możesz się śmiać, ale Ryszard miał to w programie. Wtedy ciąża byłaby zabiegiem i trwała od 12 do 20 miesięcy...

G.: *Jak u muła.*

R.: Zazdrościsz mu charyzmy, co? Ja już ci powiedziałem: u mnie możesz być szefem MSW, nawet jeśli zmienimy to w Muzeum Seksu Wielkomiejskiego albo Morską Szkołę Wygibasów. I będziesz się gibał, aż będzie furczało. A jak nie, to ci za pół roku urządzę taką komisję pojednania, że ci konstytucji zabraknie.

G.: *Ty mi możesz, wiesz co, zrobić. Fotkę na pożegnanie, jak będziesz się topił na wiosnę.*

R.: Z sennika egipskiego: zęby zmienisz, losu nie odmienisz. Ja kocham ten kraj inaczej. Ja mu tylko krzyż przetrącę i wystarczy, żeby prawą nogę stracił. I to wszystko dzięki likwidacji IPN!

G.: *Ty mi pomysłów na pamięć narodową nie podbieraj, geju złodzieju. Szefem gabinetu to ty możesz być, jak sobie wcześniej papiery na dentystę załatwisz. Tobie się chyba w tym Słupsku zupełnie poprzewracało.*

R.: Ojej, Shrek się zdenerwował...

G.: *Shrek?! Ożeż ty, Konczito Kiełbaso, znalazł się Obywatel Milkiłej i Freddie Mercury za dwa dolary. Nie podskakuj, bo ci podwiązek zabraknie. Dam ci takiego Shreka, że ci tęcza zbieleje! Ty Makronie jednojajeczny, ty celebryto pudrem czesany...*

R.: Ochłoń, Grzegorz. Widzisz, zapomniałem ci powiedzieć, że ja z radia dzwonię i lecimy na żywo. A to jest mowa nienawiści w czystej postaci. To co bierzesz: muzeum czy wygibasy?

Autopromocja

eprasa.pl 8765b03b4d

Włochy

Biskupi kontra prawicowa Liga

W Abruzji odbyły się wybory samorządowe – pierwsze po wyborach parlamentarnych we Włoszech, które w marcu 2018 r. wyniosły do władzy dziwną, prawicowo-populistyczną koalicję. Przez komentatorów potraktowane zostały jako sprawdzian popularności nowych władz po roku sprawowania rządów.

Egzamin wypadł pomyślnie. Zwyciężyła zdecydowanie zjednoczona centroprawica (48 proc.), której główną siłą pozostaje Liga (27,5 proc.). Drugie miejsce zajęła centrolewica (31 proc.), której kołem zamachowym mieli być socjaliści z Partii Demokratycznej (11 proc.). Dopiero trzeci był Ruch Pięciu Gwiazd (20 proc.), który w Abruzji stracił nie tylko władzę, lecz także połowę elektoratu (poprzednio zdobył 40 proc.).

Chociaż Liga i Ruch Pięciu Gwiazd (M5S) znalazły się podczas wyborów regionalnych w ostrym starciu, to jednak ich liderzy Matteo Salvini i Luigi di Maio deklarują, że w niczym nie narusza to spoistości tworzonej przez nich koalicji rządowej. Mimo że od dawna wieszczy się jej rychły upadek, trzyma się ona mocno, zwłaszcza w rekordowych sondażach. Zmieniają się natomiast preferencje elektoratu wewnątrz obozu władzy. Jeszcze rok temu M5S miał dwa razy więcej sympatyków niż Liga, dziś ma już mniej niż ona.

Największą przegraną w Abruzji okazała się jednak hierarchia Kościoła katolickiego. Już dawno we Włoszech nie zaangażowała się ona tak mocno w kampanię wyborczą jak teraz. Nawoływano zwłaszcza do tego, by nie głosować na prawicową Ligę. Kogo zatem wspierano? Bp Bruno Forte z Chieti opublikował listę priorytetów, jakimi powinni się kierować katoliccy wyborcy, oddając głos przy urnach. Były one niemal całkowicie zgodne z programem socjalistów, a na szczycie wskazań znalazło się przyjmowanie imigrantów. Bardziej bezpośredni był bp Tommaso Valentinetti z Pescary, który na zebraniu księży ze swej diecezji powiedział wprost, że należy głosować na lewicową Partię Demokratyczną. Większość katolików w Abruzji nie posłuchała jednak swych pasterzy.

Kryzys Kościoła czy kryzys hierarchii?

Grzegorz Górny



USA

Islamizacja Kongresu?

Ilhan Omar to jedna z dwóch muzułmanek wybranych w listopadzie do Kongresu. Choć jest nowa w amerykańskiej polityce – zanim trafiła do Kongresu, zdobyła z ramienia Partii Demokratycznej mandat do stanowego zgromadzenia w Minnesocie – wywołała już spore zamieszanie. Pochodząca z Somalii polityk łączy bowiem z sobą islam oraz skrajnie lewicowe poglądy, a rezultatem jest wrogość do Izraela oraz wysyp naprawdę absurdalnych pomysłów.

Tak więc młoda deputowana zaproponowała, by obłożyć najbogatszych Amerykanów podatkiem wynoszącym 70–90 proc. ich dochodów. Zgromadzone w ten sposób środki miałyby zostać wykorzystane do walki z globalnym ociepleniem. Podobny pomysł miała jej partyjna koleżanka, Alexandria Ocasio-Cortez, najmłodsza kobieta wybrana do Kongresu, która chciała obłożyć dochody powyżej 10 mln dolarów 70-proc. podatkiem oraz w ramach walki z klimatem „radykalnie zredukować liczbę samochodów, samolotów, krów oraz żołnierzy".

Jej ideologiczne zaczadzenie zostało właśnie nagrodzone filmem dokumentalnym na Netflixie. Omar nie może liczyć na podobny zaszczyt. A to dlatego, że zadarła ze społecznością żydowską w USA, a ta jest – jak wiadomo – wpływowa, także w Partii Demokratycznej. Omar napisała m.in. na Twitterze, że proizraelskie lobby American Israel Public Affairs Committee płaci amerykańskim politykom za ich proizraelską postawę. Jej słowa wywołały oburzenie żydowskich i nieżydowskich polityków oraz publicystów w USA i w Izraelu. Skrytykowała ją nawet spiker Izby Reprezentantów i polityk demokratów Nancy Pelosi, która nazwała tweety swojej młodej koleżanki „obraźliwymi". Pelosi podkreśliła, że Izrael to „kluczowy sojusznik USA". Omar w końcu przeprosiła, dziękując „żydowskim sojusznikom" za „przypomnienie jej historii antysemityzmu".

„Ja też chciałabym być słyszana, gdy inni atakują mnie za moją tożsamość" – dodała gorzko. Chodziło jej najpewniej o to, że styczniu demokratom udało się przeforsować likwidację zakazu noszenia hidżabu w Kongresie. Omar składała więc przysięgę na Koran, jej głowa była przykryta chustą. Konserwatywny pastor E.W. Jackson stwierdził wówczas, że muzułmanie chcieliby zamienić Kongres w „islamską republikę".

Mimo kontrowersji Omar nie zamierza zrezygnować z udziału – jak pisze „The Washington Examiner" – w kolacji organizowanej pod koniec miesiąca przez Islamic Relief USA, organizacji oskarżanej przez Katar oraz Izrael o sponsorowanie islamistycznego terroryzmu, w tym m.in. Bractwa Muzułmańskiego.

Aleksandra Rybińska

Fot. Phil Pasquini/Shutterstock.com

eprasa.pl 8765b03b4d

Niemcy

Trzyminutowy problem

Przez chwilę Europa jakby przystanęła, i ta zachodnia, i ta środkowa, maniakalnie z wyższością nazywana przez tę pierwszą wschodnią Europą, w domyśle tą specjalnej troski, niedorozwiniętą, gorszą. Ale znak zapytania pojawił się w obu tych Europach – czyżby Francja po akwizgrańskiej odnowie ślubów małżeństwa kontraktowego z Niemcami miała się dopuścić zdrady? Czy to prawda, że Paryż zamierza powiedzieć Berlinowi „non" w sprawie układanego już przecież na dnie Bałtyku 1,2 tys. km rurociągu gazowego z rosyjskiego do niemieckiego wybrzeża? Po nerwowych chwilach w tej lepszej i nieskrywanej nadziei w tej gorszej części Europy u jednych nastąpił oddech ulgi, u drugich westchnienie rozczarowania. Jak obwieściły agencje AFP i DPA, ujednolicenie stanowisk Francji i Niemiec, nazywane kompromisem, zajęło słownie trzy minuty.

Mniejsza o detale. Jak uczy historia tego małżeństwa kontraktowego, Francja tylko wtedy stawia się Niemcom, gdy chce coś osiągnąć, a Niemcy zawsze ociupinę odpuszczają (i na odwrót), bo łączy ich nadrzędny interes zachowania dominacji w całej Unii. Na brukselskich salonach ów tandem nazywa się „eurodyrektoriatem". Poza tym prezydent Emmanuel Macron jest dziś w potrzebie, rząd nie może związać końca z końcem, w kraju gore, a rząd kanclerz Angeli Merkel chwali się nadwyżkami budżetowymi, no i wpływy w Brukseli rzeczywiście ma.

W przypadku Nord Stream 2, a konkretnie dołożenia dwóch ciągów rur do już istniejącego Nord Stream 1, również chodzi o pieniądze, które zarabiają i będą zarabiały także koncerny z innych krajów tej lepszej Europy, więc klimat do „kompromisu" był dobry. A że w USA ktoś tam protestuje i grozi sankcjami? Po pierwsze, Biały Dom stoi za oceanem, po drugie, Amerykanie i tak nie chcą handlować z Europą na warunkach ustanawianych przez Berlin, Paryż i trochę Brukselę, więc wara im od Europy. Niemieckojęzyczny „Sputnik" mógł donieść: kanclerz Merkel „pochwaliła bliską współpracę z Francją" – termin oddania gazociągu do użytku pod koniec tego roku będzie dotrzymany. Reszta jest milczeniem.

Piotr Cywiński



Fot. Willrow Hood/Shutterstock.com

Korea Północna

Klucz w Pekinie

Donald Trump już wiele razy udowadniał, że aby zjednać swoich rozmówców, potrafi mówić im dokładnie to, co ci chcą usłyszeć. Przed kolejnym spotkaniem z Kim Dzong Unem, które ma się odbyć pod koniec lutego w Wietnamie, wystawił laurkę północnokoreańskiemu dyktatorowi. Na swoim oficjalnym profilu na Twitterze Trump napisał, że dzięki zdolnościom Kima Korea Północna wkrótce „stanie się wielką potęgą gospodarczą". W zamian za porzucenie przez Pjongjang programu rakietowego oraz denuklearyzację Trump oferuje Kimowi polepszenie stosunków z USA, współpracę gospodarczą i – jak można przeczytać między wierszami – zaakceptowanie przez Waszyngton jego rządów.

Uprzejmość Trumpa nie jest więc bezinteresowna. Amerykańskiemu prezydentowi zależy na tym, aby porozumienie z Kimem zostało zawarte bez udziału pośredników. Chodzi tu przede wszystkim o Chiny, których wpływy w Korei Płn. są bardzo silne. Gospodarka Północy jest wręcz przyspawana do chińskiej. Ponad 80 proc. północnokoreańskiej wymiany handlowej przypada na Chiny, które są również głównym dostawcą paliw dla Pjongjangu. Wystarczy więc, że Pekin zamknie granicę z Koreą Północną i Kim będzie miał poważny problem.

Do tej pory Pekin rzadko uciekał się do tego rodzaju szantażu, jednak po testach rakietowych Kima w listopadzie 2017 r. mocniej przykręcił mu kurki, co zmusiło go wtedy do wstrzymania prób z rakietami. Chiny zręcznie wykorzystują Kima do załatwiania z Waszyngtonem własnych spraw. Zależy im na tym, aby Amerykanie ograniczyli swoją obecność w regionie, który Pekin uważa za swoją strefę wpływów. O co chodzi? O Tajwan, o Morze Południowochińskie i o Koreę Południową. Tylko wtedy, gdy Biały Dom uszanuje tu „szczególne interesy" chińskie, Pekin zmusi Kima do realnych ustępstw.

Teraz, gdy Trump próbuje się bezpośrednio porozumieć z Kimem, Pekin złagodził swoją politykę wobec Korei Płn. Jak wynika z raportu amerykańskiego wywiadu, Chińczycy ponownie zwiększyli dostawy surowców i poluzowali reżim na granicy z Koreą. Podobną strategię przyjęła Rosja, która dokonuje z reżimem Kima nielegalnych transakcji paliwowych. Pjongjang kontynuuje też – wbrew zakazom – sprzedaż broni do krajów Afryki i omija nałożone przez ONZ embargo na eksport węgla, z którego sprzedaży finansowany jest program nuklearny. Nadal powstają wyrzutnie rakietowe choć w zupełnie nowych miejscach, m.in. w pobliżu cywilnych lotnisk.

Kim jest próżny i oferta Trumpa mu schlebia. Ale wie też, że bez Ameryki jego reżim przetrwa, natomiast bez Chin – już niekoniecznie.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 8765b03b4d

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nerwica obozu złej zmiany



Jan Pietrzak

Podobno wracają już bociany. Trochę przedwcześnie, bo formalnie jeszcze zima, ale one jakoś z afrykańskiej oddali wyczuły wiosnę nad Wisłą. Może im chodzi o Wiosnę Biedronia. Bociany mają tradycję w podrzucaniu noworodków. A to wyborczy noworodek czy raczej jajko z niespodzianką? Ciekawe, co się z tego wykluje. Za duże pieniądze (bo doradztwo kosztuje) mogę podpowiedzieć, że hymnem kampanii powinna zostać piosenka „Biedronieczki są w kropeczki...".

Najbardziej emocjonują się wyborami zwaśnione klony vel klany totalnej opozycji. Schetyniarze, wraki starych premierów, niedobitki Nowoczesnej, Teraz Razem albo odwrotnie, obstawa Tuska na białym koniu... itd. Ci ostatni zamierzają nazwać się Ruchem 4 Czerwca. Muszą określić, czy to będzie 4 czerwca w południe, czy nocą, czy nawiązują do mitu „półwolnych wyborów", czy do mafijnej „nocnej zmiany".

W gruncie rzeczy są to ogniwa tego samego łańcucha zdarzeń. Obserwujemy nerwowy chaos w obozie złej zmiany. Z sondaży im wynika, że gdyby wszyscy przeciwnicy PiS połączyli siły, mogliby uzyskać przewagę nad rządem dobrej zmiany. Bardzo to ich podnieca, ale nie wiedzą, jak przekonać konkurentów, by zrezygnowali z własnych ambicji na rzecz innych, równie mądrych kandydatów. Uwaga – to była ironia, bo żadnej mądrości w tym gronie nie widać.

Na przykład walka o tzw. jedynkę na liście warszawskiej toczy się podobno między Komorowskim a Kopacz. On jest zwolennikiem dechy, którą należy gromić pisowców, ona opowiada się za kamieniami, które należy ciskać aż do skutku. Akurat kamienie są przygotowane, co pamiętamy z raportu ich ministra: „ch..., d... i kamieni kupa".

Ogólnie widać, że odwieczna walka dobra ze złem ma w obecnej Polsce szczególnie wyrazisty przebieg. Obóz złej zmiany ma jedną nadrzędną cechę – łączy ich niepohamowana, dzika wręcz nienawiść do obozu dobrej zmiany, a wszystko inne nie ma większego znaczenia. Różnica jest kolosalna, bo dla dobrej zmiany właśnie wszystko inne ma znaczenie: sukces gospodarczy kraju, sytuacja rodzin, odtworzenie armii, bezpieczeństwo Polski, czego imponującym dowodem jest ważna konferencja w Warszawie pod wspólnym szyldem USA i RP.

Radiowy Oscar za klej

Z lektorem Maciejem Gudowskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy to prawda, że dobry lektor musi mieć w głosie klej?

Maciej Gudowski: No tak, tylko definicja tego nie jest precyzyjna. Oczywiście ważne są barwa, wysokość głosu, ale znaczenie ma też sposób czytania, interpretowania – taki, który nie odstraszy ludzi. Dopiero całość składa się na ten „klej".

Głosem można wiele zdziałać?

Bardzo wiele. Czasem bywa to też broń, ale ja nie posługuję się nim w ten sposób. Dla mnie to narzędzie. Przez lata nauki udało mi się dojść do miejsca, w którym mogę powiedzieć, że wiem, jak podejść do wyzwań, które przede mną stają. Wiem, jak co czytać.

Głosem można też zapracować na radiowego Oscara? Porozmawiajmy o... wadze tej statuetki.

Proszę bardzo: 2 kg [śmiech], ale jest również, co oczywiste, waga niewymierna. Mam za sobą 35 lat pracy w Polskim Radiu. Cudownych, wypełnionych nauką. Do dziś się radia – z wielką radością i satysfakcją – uczę, bo tu nie spoczywa się na laurach. Kto tego nie wie, przepada.

I na pewno nie dostaje Złotego Mikrofonu. Co ta statuetka dla pana oznacza?

Wiele. I niech tu nie padnie słowo „podsumowanie" – bo ja ciągle patrzę przed siebie – ale biorąc pod uwagę to, co do tej pory się osiągnęło, oznacza zauważenie i docenienie. Przez kolegów, ludzi z radiowej branży. Tę statuetkę radiowcy przyznają radiowcom. I to jest ważne i cenne.



eprasa.pl 8765b03b4d

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nowa targowica



Drodzy Czytelnicy, proszę nie przerywać, gdy zobaczą Państwo długi cytat z Manueli Gretkowskiej. Wytłumaczę się.

„Nie wierzę, że austriacki przedsiębiorca nagrywa swoje negocjacje biznesowe i udostępnia je z własnej woli. Nie bądźmy naiwni. Wiemy, że jeżeli ktoś nagrywa szefa państwa, to nie do kolekcji własnej. Za takimi nagraniami stoją służby. Cóż prostszego nafaszerować baranka sprzętem jak siarką, skoro idzie do jamy niedostępnego smoka. W rezultacie nie będzie wejścia pisowskiego smoka do Parlamentu Europejskiego. [...] Nasza opozycja jest za słaba. Jedyne, co może nam pomóc, to instytucje europejskie i ingerencja zachodnich służb. Nie tylko nam, ale przede wszystkim Europie – czyli składowi Parlamentu Europejskiego. Viktor Orbán, problemy z Włochami – to wystarczający bałagan, po co do tego antyeuropejski PiS. I fantastycznie, że oprócz sił wyższych są specjalne, do ochrony demokracji" („Plus Minus").

Zgadzam się, że nie warto zajmować się autorką ani jako pisarką, ani tym bardziej komentatorką polityczną. Swego czasu uzyskała pewną sławę, co wskazywałoby, że akurat w dziedzinie autopromocji posiada pewne talenty. Nie tym jednak chciałbym się zajmować. Gretkowską warto potraktować jako reprezentantkę specyficznej i, niestety, wcale licznej grupy inteligencji polskiej. Tak, tak inteligencji, chociaż biorąc pod uwagę etos, który miał przyświecać tej społeczności, można uznawać, że to jej zdegenerowana forma. Tekst, który przytaczam, jest znamienny, choć skrajny, w każdym razie bez osłonek prezentuje stanowisko tej opozycyjnej grupy. Co w nim czytamy?

Autorka cieszy się, że obce służby hasają po naszym kraju i liczy, że doprowadzą one do zmiany preferencji Polaków w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Za takie przedsięwzięcie uważa nagranie i upublicznienie dokonanych nagrań Kaczyńskiego przez austriackiego biznesmena (?). Zostawiam na boku przystawalność do rzeczywistości prognoz założycielki Partii Kobiet. Chodzi mi o mentalność.

Gretkowska odwołuje się do europejskości, którą chronić mają owe służby, ale nie istnieją europejskie służby specjalne. Tyle wie nawet ona. Chodzi więc o wywiad konkretnego kraju. Jakiego kraju? Ano takiego, który jest bardziej europejski niż Polska, może więc wziąć na siebie interesy całego kontynentu, w tym i nasze. Innymi słowy, pomóc nam, choćbyśmy tego nie chcieli.

Czy chodzi o Niemcy? To one są najbliżej i najbardziej wcielają ducha europejskiego w całej jego heglowskiej krasie. Trudno wyobrazić sobie, aby operację taką przeprowadzili agenci portugalscy. Francuzi nie sąsiadują z nami, a na dodatek mają jeszcze wystarczająco dużo problemów ze swoimi anty-Europejczykami takimi jak „żółte kamizelki". Jak zawsze na europejskim placu boju pozostają Niemcy, wspomagani może przez Austriaków.

Tu dygresja. Nie sposób wyobrazić sobie, aby w tych tak europejskich państwach ktoś oficjalnie deklarował satysfakcję z działania tam obcych służb, a tym bardziej ich wpływu na proces wyborczy. No, ale Europejczycy w naszym kraju mają inne standardy.

Kontynuujmy więc rozumowanie jednej z nich. Gretkowska zachwyca się sprawnym działaniem obcej agentury w Polsce i życzy jej powodzenia. Wynika z tego, że najchętniej by jej pomogła. Zagraniczne służby montują w Polsce prowokację – tak opisuje Gretkowska sprawę podsłuchów Kaczyńskiego – w celu... „ochrony demokracji". Czy wpływanie na wybory metodą tajnych manipulacji ma z demokracją coś wspólnego? Autorka sądzi, że tak, jeśli w efekcie przegra „niewłaściwa" partia. Demokracja oznacza więc wybór właściwej (europejskiej) władzy, jeśli obywatele zagłosują inaczej, demokracja się kończy. Definicja ta nie jest wyłącznie własnością opozycji totalnej w naszym kraju, ale zwięźle ujmuje system demokracji liberalnej.

Przyjmując rozumowanie Gretkowskiej, trzeba uznać, że z obcym wywiadem współpracują mecenasi Giertych i Dubois, a „Wyborcza" realizuje jego plan. Fakt, że pisarka entuzjastycznie to aprobuje, sprawy nie zmienia. Czy mamy uwierzyć, że są naiwniejsi od pisarki czy... Ewentualne pozwy proszę kierować do niej.

Totalna opozycja twierdzi, że określanie jej jako targowicy jest mową nienawiści. Magnaci i szlachta tworzący tę konfederację bronili swoich swobód, zawartych w obowiązującej wcześniej, choć spisanej w różnych aktach konstytucji. Można wyobrazić sobie Branickiego w żupanie z napisem „Konstytucja". Oficjalnie targowiczanie zwrócili się do Katarzyny II o jej obronę. Nigdy jednak nie odważyliby się pochwalić działań obcych wywiadów na terenie Rzeczypospolitej. Może to oni powinni zaprotestować przeciw porównywaniu ich z obecną opozycją?

Ale z tym wywiadem Gretkowska może mieć rację.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8765b03b4d

OGNIEM NA WPROST

Bednarska danse macabre



Choroba politpoprawności dotyka coraz szersze kręgi obywateli ojczyzny autora „Folwarku zwierzęcego" George'a Orwella. Jak donosi brytyjski portal Daily Mail, policja wywlekła w kajdankach z domu 38-letnią Kate Scottow, bo napisała w swoim komentarzu na Twitterze, że transseksualna aktywistka Stephanie Hayden jest mężczyzną. „Aresztowało mnie w moim domu trzech oficerów. Stało się to w obecności mojej autystycznej 10-letniej córki i karmionego piersią 1,5-rocznego synka" – opisała zdarzenie Scottow. Na komendzie zajęto się nią skrupulatnie. Zrobiono zdjęcia, pobrano DNA oraz odciski palców, a następnie postawiono przed sędzią, który zakazał jej nazywania Haydena mężczyzną. Tymczasem w Warszawie podczas studniówki w I SLO Bednarska 30 uczniów zatańczyło „Poloneza równości" w parach jednopłciowych. Celem tego żenującego eventu miały być walka z wykluczeniem i udzielenie wsparcia osobom dotkniętym poważnymi zaburzeniami seksualnymi. Lata temu w Anglii młodzież w imię tolerancji też bawiła się w takie eventy, a dziś policja aresztuje we własnych domach ludzi, którzy chcą się zachowywać w sposób normalny. Aż się prosi o cytat z Orwella wyjątkowo trafnie definiujący powyższy stan rzeczy: „Zwierzęta w ogrodzie patrzyły to na świnię, to na człowieka, potem znów na świnię i na człowieka, ale nikt już nie mógł się połapać, kto jest kim".

Do sprawy danse macabre, zwanego mylnie „Polonezem równości", odniósł się również Kościół katolicki. Z mocy autorytetu przemówił ex cathedra człowiek w sutannie Wojciech Michał Lemański. Przypomnijmy, że ten łaciński zwrot wskazuje na sytuację, gdy papież, zgodnie z doktryną wiary, wypowiada się w sposób nieomylny. A nieomylność w głowie Lemańskiego to niejedyny dar, jakim obdarzył go Najwyższy. To także skromność i pokora oraz głębokie zrozumienie dla prawd zawartych w Piśmie Świętym i Ewangelii. Również tej traktującej o grzechu sodomii. Dał temu wyraz na Facebooku, tak pisząc o licealnym evencie: „W głowach i sercach takich młodych ludzi rodzi się przyszłość naszego kraju. Brawo »Bednarska«. Brawo kadra i brawo uczniowie. Tylko czy to jedna jaskółka, czy też znak nowego myślenia młodych ludzi". Jak tak dalej pójdzie – doktor Kościoła in spe. A ja się zastanawiam z nieukrywaną troską, dlaczego 11 lipca 2018 r. biskup warszawsko-praski Romuald Kamiński zawiesił karę suspensy dla Lemańskiego na terenie archidiecezji łódzkiej, drugi hierarcha, metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś, toleruje zaś te herezje.

Jakby tego było mało, greccy przedstawiciele lewicy oraz komunistów postanowili się dobrać do prawosławnego biskupa Ambrozjusza. Hierarcha dopuścił się bowiem najpoważniejszego w kręgach „wszechświatowego postępu" grzechu, mianowicie homofobii i obrazy LGBT. Zdaniem niezawisłego, rzecz jasna, sądu okazywał on słownie (opierając się na pismach Nowego i Starego Testamentu – A.P.) „wstręt do grzechu sodomii". Za takie coś w „nowym, wspaniałym świecie" jest tylko jedna kara. Apelacja przyłożyła mu siedem miesięcy więzienia, z czego cztery do odsiadki. Ale biskup okazał się człowiekiem silnej wiary i z uśmiechem skomentował wyrok: „Dla Bożej miłości i chwały mogę ponieść uwięzienie, bo męczeństwo jest nagrodą dla tych, którzy walczą o Chrystusa".

Na koniec coś optymistycznego. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie orzekł, że niedopuszczalna jest transkrypcja zagranicznego aktu stanu cywilnego, z którego wynika, że dwóch mężczyzn zawarło małżeństwo. To kolejny wyrok potwierdzający, że polskie prawo respektuje tożsamość małżeństwa. Ale żeby nie było samego miodu, sąd dorzucił w uzasadnieniu łyżkę dziegciu. Przychylił się do błędnego przeświadczenia skarżących: Jakuba Kwiecińskiego i Dawida Mycka (mariaż homoseksualny zawarty formalnie w Portugalii), którzy twierdzili, że „art. 18 konstytucji nie uznaje małżeństwa wyłącznie za związek kobiety i mężczyzny, więc decyzja o instytucjonalizacji związku partnerskiego należy do Sejmu, który rzekomo może tego dokonać w każdej chwili w drodze ustawy zwykłej". W ten sposób „fachowcy" od ślepej Temidy złamali w uzasadnieniu polską ustawę zasadniczą. Sam Kwieciński i Mycek marzą natomiast o założeniu w Polsce „rodziny" z dziećmi i pobieraniu 500+. I to jest ten nowy program socjalny w wiosennym wydaniu partii Biedronia.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 8765b03b4d

Sąd online

Do sądów wpływa rocznie 16 mln spraw. 80 proc. to sprawy cywilne i gospodarcze. Gros z nich nie jest skomplikowane, dotyczy roszczeń o zapłatę i wymaga szybkiego zakończenia. Tradycyjne postępowania sądowe są czaso- i kosztochłonne. Alternatywą dla nich jest polubowne rozpatrywanie spraw przed sądami arbitrażowymi.

Instytucje te funkcjonują w Polsce w oparciu o przepisy Kodeksu postępowania cywilnego, strony mogą jednak samodzielnie zdecydować, w oparciu o które prawo ich sprawa ma być procedowana. Jeśli kontrahenci tak uprzednio ustalą, to dopuszczalne jest orzekanie ex aequo et bono, czyli na zasadach słuszności. W praktyce sądy polubowne nie cieszą się jednak w Polsce popularnością, a według danych Ministerstwa Sprawiedliwości o opisanym sposobie radzenia sobie z dłużnikami wie zaledwie połowa przedsiębiorców.

Ciekawe, czy arbitraż zyska zainteresowanie, gdy spory będzie można rozstrzygać online i czy ta forma załatwiania spraw wpłynie znacząco także na sposób funkcjonowania państwowych sądów, a także na zakres działalności profesjonalnych pełnomocników.

Oferujący od niedawana swoje usługi Sąd Arbitrażowy Online może rozpatrywać każdą sprawę gospodarczą i cywilną, w której przepisy prawa przewidują możliwość zawarcia ugody. Sąd ten działa 24 godziny na dobę, przez cały tydzień. Nie ma siedziby, w której odbywałyby się rozprawy, nie gromadzi papierowych akt ani nie wysyła pism za pośrednictwem poczty. Można się do niego zalogować z dowolnego miejsca na świecie, by przejrzeć zgromadzone w sprawie dokumenty. Zainicjowanie sprawy ma być intuicyjnie proste dzięki odpowiednio przygotowanemu serwisowi.

Zaletą internetowego sądu ma być niemożność przedłużania postępowania. Sprawy mają być rozpatrywane przez arbitrów wybranych przez strony bądź wylosowanych przez system. W razie wystąpienia wątpliwości może zostać zarządzona wideokonferencja. Zasadniczo jednak postępowanie ma być szybkie, trwać kilka tygodni, a nie kilka lat.



Marta Kaczyńska-Zielińska

Dotychczasowe tendencje nie wskazują, by pozapaństwowe instytucje miały w Polsce szansę na przejęcie znaczącej części spraw, które grzęzną w przeciążonym wymiarze sprawiedliwości

Dotychczasowe tendencje nie wskazują, by pozapaństwowe instytucje miały w Polsce szansę na przejęcie znaczącej części spraw, które grzęzną w przeciążonym wymiarze sprawiedliwości. W razie konfliktu strony odwołują się do autorytetu państwa, który budzi znacznie większe zaufanie niż z istoty swej nastawione na własny zysk wirtualne podmioty oferujące skutecznie rozwiązywanie problemów natury cywilistycznej lub gospodarczej. Wydaje się również, że wymiana pism online czy też nawet wideokonferencja nie są w stanie zastąpić prawdziwego spotkania nawet najbardziej zwaśnionych stron, które dyskutując z sobą, są w stanie prędzej dojść do porozumienia niż za pośrednictwem internetowych komunikatorów.



eprasa.pl 8765b03b4d

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Czyste rączki



Prezenter Fox News, Pete Hegseth, zdradził widzom podczas audycji, że od 10 lat nie myje rąk. Stwierdził, że zarazki nie istnieją, bo nie da się ich zobaczyć gołym okiem. A skoro czegoś się nie da zobaczyć, to znaczy, że tego po prostu nie ma. Tak więc zdaniem Hegsetha utrzymywanie higieny nie jest konieczne. Dziennikarz dorzucił jeszcze, że w ten sposób „sam się zaszczepia", czyli po prostu dba o wzrost odporności. A ja nie widziałam na oczy tego pana. Tylko o nim czytałam. Czy to znaczy, że on nie istnieje?

18 proc.

– tylu pasażerów transportu publicznego jeździ w Polsce na gapę.

399 mln zł

– tyle wynosi dług polskich gapowiczów. Tak wynika z danych Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej.

311 tys.

– tyle było na początku lutego 2019 r. biletowych dłużników. To o ponad 24 tys. więcej niż rok wcześniej.



Puste kieszenie

Korupcja jest zmorą Kenii. Prezydent tego kraju, Uhuru Kenyatta, wpadł więc na pomysł, co zrobić, by korupcję ograniczyć. Zarządził daleko idące zmiany w policyjnym umundurowaniu. „Ponieważ ta grupa zawodowa słynie z przekupstwa, policyjne mundury mają zostać pozbawione kieszeni. Ma to uniemożliwić policjantom, szczególnie z drogówki, tak rozpowszechnioną zamianę mandatów na gotówkę" – informuje rp.pl. A co, gdy policjanci zaczną chować pieniądze w buty? Będą musieli ganiać bandytów na bosaka?



Czy się stoi, czy się leży...

Finowie przeprowadzili ciekawy eksperyment, który trwał dwa lata. 2 tys. bezrobotnych Finów, wybranych losowo, wypłacono co miesiąc 560 euro. Te pieniądze nie przepadały, gdy bezrobotny znalazł pracę. Wynik eksperymentu? Stały dochód nie zachęcił bezrobotnych do poszukania pracy. Bezrobotni, którzy otrzymywali gwarantowane 560 euro miesięcznie, byli szczęśliwsi i zdrowsi niż bezrobotni pozbawieni stałego dochodu. Serio potrzebny był tak kosztowny eksperyment, żeby dojść do tak banalnego wniosku? Mogłam powiedzieć Finom za darmo, że każdy, kto dostaje pieniądze, jest szczęśliwszy od tego, kto nie dostaje, ale kto bogatemu zabroni eksperymentować?



eprasa.pl 8765b03b4d



Bycie fit skraca życie

Na te badania czekały chyba wszystkie kobiety na świecie. Okazało się, że lekka nadwaga przedłuża życie, a kult bycia fit prowadzi do przedwczesnej śmierci. O sprawie informuje m.in. portal innpoland.pl. Wyniki najnowszych badań opublikowano na łamach prestiżowego czasopisma „Journal of the American Medical Association". Takie wnioski naukowcy wysnuli po przebadaniu 3 mln ludzi, a badania prowadził zespół dr Katherine Flegal. To światowej sławy ekspertka od epidemii otyłości, która pracuje w komórce amerykańskiego Centers for Disease Control and Prevention (czyli CDC). „Okazało się, że szybciej umierają ludzie otyli i z niedowagą, natomiast ci, którzy mają wagę normalną oraz lekką nadwagę, żyją dłużej. Co ciekawe, najdłużej żyją osoby, których wskaźnik BMI wynosi 26–27. A więc są nieco za grube według uznanych do tej pory norm" – informuje innpoland.pl. No to na najbliższy trening zabieram chipsy i żelki.

Człowiek wmawiający obywatelom swoje prawdy, który jednocześnie nie przestrzega prawa, nie może być wiarygodny – powiedziała Isabel Marcinkiewicz o swoim byłym mężu. I jak tu się z nią nie zgodzić?

Bez zgody

27-letni biznesmen z Bombaju, Raphael Samuel, chce pozwać rodziców za to, że poczęli go bez jego świadomej zgody – informuje BBC. Samuel w rozmowie ze stacją stwierdził, że sprowadzanie dzieci na świat jest złe, ponieważ skazuje je to na cierpienie do końca życia. Raphael Samuel przyznał, że jest świadom, iż człowiek nie może wyrazić zgody na własne poczęcie, ale z drugiej strony nie jest decyzją człowieka to, że się urodził. Ciekawe, czy Hindusowi uda się przekonać sąd, że jego rodzice, zresztą prawnicy, mogli jakoś skonsultować z nim kwestię jego przyjścia na świat. To może być ciekawa rozprawa...



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x5), mat. prasowe

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nieustraszeni tropiciele agentów

Rzadko się zdarza, aby media zwane mainstreamowymi uczyniły tyle dobra w tak krótkim czasie. Dziennikarze, którzy przez lata zwalczali tropienie współpracowników bezpieki, którzy przez dekady przekonywali, że lustracja to tylko wylewanie pomyj na porządnych ludzi, nagle – w ciągu zaledwie kilku dni – stali się gorącymi zwolennikami badania agenturalnej przeszłości osób publicznych.



Dominik Zdort

Mało tego – zaczęli się domagać poszerzenia zakresu lustracji, tak aby objąć nią kolejne urzędy, i sami, z neoficką gorliwością, przytaczali kolejne szczegóły esbeckich powiązań pewnego, szerzej nieznanego do niedawna obywatela.

Z przymrużeniem oka można by podejrzewać, że to jakiś twardy lustrator podrzucił informacje, iż były prezes spółki Srebrna w przeszłości współpracował z bezpieką.

W jakim celu miałby je podrzucić? Gdyby założyć scenariusz najprostszy, chodziło tylko o to, aby organ Adama Michnika dołączył do chóru prawicowych nienawistników powtarzających od lat, że agentów trzeba ujawniać i piętnować, bo współpraca z SB była nie tylko szkodliwa, lecz także moralnie obrzydliwa. Realizacja tego planu powiodła się na razie w 99 proc. – wciąż bowiem czekamy, aż sam szef „Gazety" uderzy się w piersi i odwoła zastrzeżenia wobec lustracji.

Można jednak rozważać również scenariusz piętrowy – że skłonienie „GW" do zmiany poglądów było tylko wstępem do prawdziwej operacji zniszczenia redakcji z Czerskiej. Chodzi o jej skompromitowanie, pokazanie, jak bardzo jest dwulicowa, jak łatwo jej posługiwać się innymi standardami wobec swoich, a innymi wobec wrogów.

Bo przecież nie żyjemy w orwellowskim świecie, czytelnik od 1992 r. karmiony tekstami potępiającymi lustrację i grzebanie w aktach IPN nie uwierzyłby, że coś, co przez tyle lat było złe, teraz stało się dobre. Odwróciłby się od pisma, które tak łatwo zmieniło poglądy w tak fundamentalnej dla siebie kwestii...

Jeśli brany był pod uwagę ten drugi scenariusz, to się raczej nie powiódł. Redakcja z Czerskiej dobrze oceniła swoich wiernych odbiorców. Słusznie uznała, że są jak złota rybka, która po opłynięciu akwarium nie pamięta, iż już była w tym miejscu. Że gotowi są przełknąć wszystko, co im ukochana gazeta podsunie.

Wierność godna podziwu. Tylko czy na pewno „Wyborcza" z takich czytelników powinna być dumna?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

epraca.pl 8765b03b4d

RZECZY POSPOLITE

Pamiątka buntu



Tomasz Łysiak

Przy okazji nagrań reportażu do TVP mogłem obejrzeć w Muzeum Wojska Polskiego niesamowity album ze zdjęciami z powstania styczniowego, zebranymi przez jednego z ówczesnych policmajstrów rosyjskich – Platona Fredericksa. Opowiadają one historię zrywu od jego zarania, czyli od okresu manifestacji patriotyczno-religijnych, aż po kres w 1864 r. Są tu fotografie przedstawiające żołnierzy powstania i cywilów, młodzież i starszych, całkiem nieznanych i tych najwybitniejszych uczestników zdarzeń. Mamy zatem i „pięciu poległych" (zdjęcia Karola Beyera), i naczelników insurekcji, i dowódców oddziałów, a z drugiej strony zwykłe rodziny czy kobiety w czarnych sukniach przywdziewanych jako symbol żałoby narodowej.

Ten album to nie tylko znakomite źródło historyczne z epoki, ślad powstańczego czasu bezcenny dla historyka, lecz także swego rodzaju relikwia, którą – o paradoksie – mamy w posiadaniu dzięki zbierackiej, kolekcjonerskiej pasji rosyjskiego urzędnika.

To tacy ludzie jak Fredericks łapali powstańców, przesłuchiwali godzinami przy użyciu najbrutalniejszych metod, a potem przekazywali w ręce rosyjskich sądów, które wydawały wyroki śmierci przez powieszenie lub zsyłały na Sybir. Innymi słowy: album ma też swoje drugie dno, to historia niedopowiedziana, która kryje się za postaciami ukazanymi najczęściej w pięknych pozach, w studiach fotograficznych, w pięknych ubraniach. Tej historii już nie da się tak łatwo odczytać, chociaż – co ciekawe – Fredericks w albumie „Pamiątka buntu" zawarł nawet zdjęcia stron z prasy zachodniej. Czy nie był to zatem jakiś zbiór wykonywany na potrzeby archiwizacyjne przez instytucje rosyjskie? Być może...

Tak czy owak, można by sobie wyobrazić inny album, równie obszerny. W nim znajdowałyby się fotografie tych samych ludzi, lecz już „odpowiednio" potraktowanych przez rosyjski reżim – powieszonych na szubienicach, głodzonych i bitych w więzieniach, umierających z zimna lub od chorób w trakcie długiego marszu etapami na Syberię. Ten drugi album nigdy nie zaistnieje realnie. Chyba że sami stworzymy dla niego przestrzeń i rzeczywistość – tą przestrzenią jest nasza pamięć.

Koniec ramienia



Piotr Cywiński

„Zastanawiałem się, jak wygląda ten specjalny pokój w piekle dla tych, którzy promują brexit bez nawet zarysu planu, jak to zrobić bezpiecznie" – tweetnął sobie „król Europy" Donald Tusk, bo lubi tweetować. Na to brytyjski „Guardian", że „sfrustrowany" szef eurorady „ma w sobie coś z chuligana", że już za młodu „włóczył się po ulicach, szukając guza". Mogłoby to zabrzmieć nawet jako komplement, ale komplementem nie było. Wrzawa, jaką raz po raz wywołuje Tusk, ma wszakże tę korzystną stronę, że coraz więcej różnojęzycznych polityków i nie tylko może poznać jego prawdziwą twarz. Twarz bezkrwistego germanofila.

W kraju już jest raczej znana, że wspomnę zaangażowaną postawę Tuska wobec demokratycznie wybranego rządu w Polsce, atak ekspremiera tuż przed Świętem Niepodległości na sprawujących władzę i jego apel o walkę ze – jak to określił – współczesnymi bolszewikami. Świadectwem odkrywanego dziś poza granicami emploi Tuska były m.in. list, który wystosował do liderów Unii przed szczytem na Malcie, otwarta krytyka w niemieckim duchu polityki amerykańskiej, zerwania porozumienia z Iranem oraz wypowiedzenia warunków wymiany handlowej z Europą. Padły też jego dobitne słowa w Sofii, gdy stwierdził, że Unia (czytaj: Niemcy i Francja) „pozbyła się wszelkich złudzeń" odnośnie do USA, czy buńczuczne zdania: „Jeśli potrzebujesz pomocnej dłoni, to znajdziesz ją na końcu własnego ramienia", „Jak się ma takich przyjaciół, to po co komu wrogowie?" adresowane do prezydenta Donalda Trumpa.

Najwyraźniej z końcem kadencji „król Europy" sporządza dla siebie alternatywny plan powrotu do Polski. Może się mylę, ale sądzę, że tak jak były kanclerz Gerhard Schröder, później cerber interesów rosyjskiego Gazpromu, tak i Tusk przyjąłby jakieś równie lukratywne stanowisko. Nie wiem – może doradcy czy lobbysty niemieckiego rządu, np. w sprawach zagranicznych inwestycji czy polityki energetycznej? W końcu to za jego premierostwa, poprzez tzw. milczącą akceptację, Polska zgodziła się na realizację niemiecko-rosyjskiego gazociągu Nord Stream 1, który uniemożliwia statkom o większej wyporności dostęp do świnoujskiego portu, że pominę budowę Nord Stream 2. Zamiast komentarza można by się posłużyć adekwatnymi do sytuacji słowami samego Tuska: jak się ma takich rzeczników interesów własnego kraju, to po co komu wrogowie?

eprasa.pl 8765b03b4d

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, FARABOLAFOTO/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK X2, ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

eprasa.pl 8765b03b4d



Zniszczyć autorytet Jana Pawła II

Papież z Polski coraz częściej obwiniany jest o tolerowanie i tuszowanie skandali homoseksualno-pedofilskich. Jan Paweł II ma się stać swoistym kozłem ofiarnym, na którego zrzuci się odpowiedzialność za klimat przyzwolenia dla licznych afer obyczajowych w Kościele



GRZEGORZ GÓRNY

W ostatnich miesiącach z kręgów watykańskich wychodzą przecieki, że szykowany jest atak na pamięć o Janie Pawle II. Jego kulminacja ma przypaść w okolicach 21 lutego, gdy w Rzymie rozpocznie się konferencja na temat nadużyć seksualnych w Kościele, na którą zjadą się przewodniczący episkopatów z całego świata. Polski papież ma się stać swoistym kozłem ofiarnym, na którego zrzuci się odpowiedzialność za klimat przyzwolenia dla licznych afer homoseksualno-pedofilskich w Kościele. Ich negatywnymi bohaterami okazują się księża, biskupi, a nawet kardynałowie. W związku z tym coraz częściej pojawia się pytanie o odpowiedzialność za ich nominacje, o wiedzę na temat ich zboczeń oraz ewentualne tuszowanie przestępstw.

Niedawno na antenie Telewizji Republika Paweł Lisicki powiedział, że przypomina mu to scenę ścigania sań przez stado wilków (czyli tropienia skandali obyczajowych w Kościele przez media). Gdy drapieżniki zbliżają się na niebezpieczną odległość, wówczas siedzący w saniach wyrzucają im na żer ofiarę (czyli pewni ludzie w Kościele poświęcają pamięć o Janie Pawle II, zrzucając odpowiedzialność na nieżyjącego już papieża, by odsunąć podejrzenia od siebie). Trzeba przyznać, że to śmiałe porównanie, ale w pewnej mierze usprawiedliwione.

„ŚWIADECTWO" VIGANÒ

Momentem przełomowym w tej sprawie był 26 sierpnia 2018 r. Tego dnia były nuncjusz apostolski w USA abp Carlo Maria Viganò opublikował swe głośne „świadectwo". Zarzucił w nim m.in. Franciszkowi, że przez pięć lat tolerował, a nawet delegował do różnych misji „homoseksualnego drapieżnika" kard. Theodore'a McCarricka mimo posiadania wiedzy na temat jego przeszłości. Autor tekstu obciążył również winą za tuszowanie przez lata skandali pedofilskich dwóch byłych sekretarzy stanu Stolicy Apostolskiej: kard. Angela Sodano i kard. Tarcisia Bertone.

Napisał też o wpływowej w Watykanie „lawendowej mafii", czyli lobby gejowskim, które także ma swój udział w ukrywaniu skandali, ponieważ samo jest w nie umoczone. Arcybiskup połączył homoseksualizm z pedofilią z dwóch powodów. Po pierwsze, ze wszystkich badań i raportów wynika, że zdecydowana większość przypadków wykorzystywania nieletnich przez duchownych (ok. 80 proc.) to dzieło pederastów. Po wtóre, istnieją dwie kategorie ofiar molestowania: dzieci oraz „bezbronni dorośli", np. klerycy napastowani w seminariach przez przełożonych wykorzystujących służbową zależność. Najczęściej sprawcami czynów wobec jednych i drugich okazują się ci sami ludzie.

Opisany przez Viganò przypadek kard. McCarricka postawił w centrum debaty odpowiedzialność Stolicy Apostolskiej. Zbyt wiele nitek w tej sprawie prowadzi do Watykanu, by można było dłużej ignorować alarmujące sygnały. Takie przypadki jak wykorzystywanie nieletnich chłopców przez abp. Józefa Wesołowskiego, homoseksualny coming out ks. Krzysztofa Charamsy czy aresztowanie ks. Luigiego Capozziego, przyłapanego na organizowaniu gejowskich orgii z narkotykami w apartamentach watykańskich, zdają się potwierdzać prawdziwość doniesień o aktywności „lawendowej mafii" za Spiżową Bramą.

„DZIEŃ SĄDU"

Odpowiedzią na „świadectwo" abp. Viganò stała się książka dwóch włoskich dziennikarzy: Andrei Torniellego i Gianniego Valente pt. „Dzień sądu", która ukazała się 6 listopada 2018 r. Wywołała ona duży rezonans zarówno z powodu tematyki, jak i osoby pierwszego współautora. Tornielli to bowiem wpływowy watykanista. W momencie opublikowania książki był nie tylko komentatorem religijnym dziennika „La Stampa", lecz także redaktorem naczelnym Vatican Insider – portalu realizującego nieoficjalnie politykę informacyjną Watykanu.

Autorzy „Dnia sądu" odpowiedzieli Viganò, nie tyle obalając jego tezy, ile broniąc Franciszka. Zauważyli, że kariera McCarricka przypadła na pontyfikat Jana Pawła II, który czterokrotnie nominował amerykańskiego duchownego na coraz wyższe stanowiska kościelne. Napisali, że odbywało się to poza obowiązującymi procedurami, na skutek bezpośrednich nacisków „z apartamentów" (w domyśle: papieskich). Podkreślili, że obraźliwe jest utrzymywanie, iż Jan Paweł II był wówczas tak schorowany, by nie orientować się w sytuacji.

Tornielli i Valente przywołali też opinię „jednego z najbardziej doświadczonych kanonistów kurii rzymskiej", obecnego sekretarza Sygnatury Apostolskiej bp. Giuseppe Sciacciego, że jest możliwe podważenie nieomylności kanonizacji. Chodzi konkretnie o ewentualną dekanonizację Jana Pawła II, gdyby udowodniono, że w swym życiu nie praktykował w stopniu heroicznym cnót mądrości i roztropności. Do tej pory takie pomysły padały raczej z ust antyklerykałów, teraz wypowiedział je jeden z wysokich rangą urzędników watykańskich.

Co ciekawe, autorzy „Dnia sądu" pominęli jakiekolwiek fakty, które mogłyby świadczyć na korzyść Jana Pawła II.

Fot. BOCCON-GIBOD/SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl 8765b03b4d

Nie wspomnieli np. o jego liście apostolskim „Sacramentorum Sanctitatis Tutela" z 2001 r., na którego podstawie po raz pierwszy wprowadzono normy postępowania w sprawie „ciężkich przestępstw" wykorzystywania seksualnego nieletnich przez osoby duchowne. Nie zapomnieli natomiast dodać, że za jego pontyfikatu kariery kościelne zrobiły takie osoby jak kard. Hermann Groer czy abp Juliusz Paetz.

Przypomnieli też, że 25 listopada 2004 r. (a więc pół roku przed swą śmiercią) Jan Paweł II przyjął na audiencji Marciala Maciela Degollado, któremu udzielił publicznie błogosławieństwa z okazji 60-lecia święceń kapłańskich, choć już wówczas urzędom watykańskim znana była mroczna przeszłość meksykańskiego duchownego. Maciel okazał się homoseksualistą, pedofilem, narkomanem i malwersantem finansowym. Gdy umierał w 2008 r., odmówił na łożu śmierci wyspowiadania się, przyznając, że jest niewierzący.

Księża, z którymi rozmawiałem o tym w Rzymie, uważają, że fakt publicznego wyróżnienia Maciela przemawia raczej na korzyść papieża: gdyby miał świadomość podwójnego życia kapłana, nigdy by tego nie zrobił. Co ciekawe, ten sam Tornielli w 2010 r. w swej książce „Atak na Ratzingera" (napisanej z Paolo Rodarim) twierdził, że Jan Paweł II nie miał świadomości, kim naprawdę jest Maciel.

> Janowi Pawłowi II, który zawsze starał się dostrzegać w swym rozmówcy lepszą stronę osobowości, nie mieściło się w głowie, że ksiądz katolicki może fałszywie przysięgać, klnąc się na Boga, i to w obecności samego papieża

Kilka tygodni po premierze „Dnia sądu", 18 grudnia, Franciszek mianował Andreę Torniellego nowym dyrektorem wydawniczym Dykasterii ds. Komunikacji. Został on de facto redaktorem programowym wszystkich mediów watykańskich, odpowiedzialnym za koordynację ich działań. To on będzie kierował polityką informacyjną Watykanu podczas szczytu na temat pedofilii w dniach 21–24 lutego.

„ANEGDOTA" W SAMOLOCIE

Kolejny rozdział tej historii został dopisany 5 lutego za sprawą samego Franciszka, który wystąpił na konferencji prasowej na pokładzie samolotu lecącego z Abu Zabi do Rzymu. Pytany o problem nadużyć seksualnych księży wobec zakonnic, nagle podjął wątek Jana Pawła II.

Powiedział: „Co do papieża Benedykta, to chciałbym podkreślić, że jest człowiekiem, który miał odwagę wykonać wiele pracy w tym temacie. Jest taka anegdota: miał wszystkie dokumenty dotyczące zgromadzenia, w którym dochodziło do nadużyć seksualnych i ekonomicznych. Udał się do nich, ale natrafił na przeszkody i nie mógł do nich dotrzeć. Papież Jan Paweł II, który pragnął poznać prawdę, poprosił go o spotkanie. Joseph Ratzinger przedstawił na nim dokumentację, wszystkie zebrane papiery. Gdy wrócił, powiedział do swojego sekretarza: »daj to do archiwum, wygrała druga strona«. Nie wolno nam się tym gorszyć, to są kroki w dłuższym procesie. Ale jeśli chodzi o papieża Benedykta, to pierwszą rzeczą, którą powiedział po wyborze, było: »przynieście mi z powrotem te papiery z archiwów« i rozpoczął śledztwo".

Wielu publicystów zwróciło uwagę na olbrzymi kontrast pomiędzy lekką niezobowiązującą formą wypowiedzi Franciszka (jako „anegdoty" rzuconej w trakcie konferencji prasowej) a ciężarem oskarżenia – sprawa dotyczy przecież największego skandalu w Kościele katolickim w XXI w.

Dwa dni później, 7 lutego, Vatican Insider wyjaśnił, że Franciszkowi chodziło o Legionistów Chrystusa oraz ich założyciela Marciala Maciela Degollado. Wiadomo, że akt oskarżenia przeciw niemu został przygotowany przez Kongregację Nauki Wiary, którą kierował kard. Joseph Ratzinger, 18 lutego 1999 r. Jednak 24 grudnia tego samego roku postępowanie zostało zawieszone. Wznowiono je dopiero w 2005 r. – już za pontyfikatu Benedykta XVI.

OTOCZENIE PAPIEŻA

Powstaje pytanie: kto stał za zawieszeniem postępowania w jego sprawie? Znawca problematyki ks. prof. Andrzej Kobyliński, pytany przez portal OKO.press, czy zrobiono to na polecenie Jana Pawła II, powiedział: „Tego wcześniej nikt nie mówił. Nie mówi też tego bezpośrednio papież Franciszek! Owszem, można taki wniosek wyprowadzić z przesłanek, ale trzeba zachować w tym względzie niezwykłą ostrożność intelektualną. Znając strukturę władzy w Stolicy Apostolskiej, trzeba postawić pytanie: kto może wydać polecenie prefektowi Kongregacji Nauki Wiary? Przy moim rozumieniu kościelnych zależności służbowych mógł to być papież, ale mógł to być równie dobrze ówczesny sekretarz stanu, kard. Angelo Sodano. Wydaje mi się, że w tak delikatnej sprawie św. Jan Paweł II mógł zachować pewną ostrożność. Moim skromnym zdaniem bardziej prawdopodobna jest hipoteza, że decyzję mógł podjąć kard. Angelo Sodano".

Znana meksykańska watykanistka Valentina Alazraki napisała kilka lat temu książkę, w której jeden z rozdziałów poświęcony był odpowiedzi na pytanie, czy Jan Paweł II znał prawdę o Macielu. Po długim śledztwie dziennikarskim doszła do wniosku, że papież nie miał świadomości, kim tak naprawdę był założyciel Legionistów. Pytała o to m.in. byłego rzecznika prasowego Stolicy Apostolskiej Joaquína Navarrę-Vallsa, który powiedział jej, że Maciel cynicznie oszukiwał Ojca Świętego – podczas spotkań z nim przysięgał na Boga, że jest niewinny, a wszystkie oskarżenia przeciwko niemu zostały spreparowane.

Janowi Pawłowi II, który zawsze starał się dostrzegać w swym rozmówcy lepszą stronę osobowości, nie mieściło się w głowie, że ksiądz katolicki może fałszywie przysięgać,

eprasa.pl 8765b03b4d



Fot. Grzegorz Galazka/East News

klnąc się na Boga, i to w obecności samego papieża. Miał wizję kapłana jako osoby przejrzystej i spójnej wewnętrznie, wykluczającej możliwość życia całymi latami w cynizmie i oszustwie. Pamiętał też z czasów komunistycznych, jak fabrykowano przeciw duchownym oskarżenia na tle obyczajowym, dlatego nie dawał wiary takim zarzutom, dopóki wina nie została udowodniona. Sam Maciel głosił natomiast, że padł ofiarą spisku ze strony wrogów Kościoła. Uwierzyli mu wówczas nawet ci, którzy zdecydowanie walczyli z plagą pedofilii, np. ks. Richard John Neuhaus z USA. Meksykanin był zresztą mistrzem kamuflażu: nawet jego dwie żony nie wiedziały, że jest księdzem.

Dużą rolę w utrzymywaniu coraz bardziej zniedołężniałego papieża w przekonaniu o niewinności Maciela mogło odgrywać jego otoczenie. W tym kontekście Valentina Alazraki na pierwszym miejscu wymienia ówczesnego sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej kard. Angela Sodano. Pisze ona, że to właśnie on miał wywierać na kard. Ratzingera presję, by nie badać sprawy Maciela. Podobnie uważa włoski watykanista Marco Politti. Jego zdaniem już wcześniej Sodano utrudniał dochodzenie dotyczące nadużyć kard. Groera w Austrii. Alazraki pisze też, że w 2006 r., już za pontyfikatu Benedykta XVI, gdy udowodniono winę Maciela, sekretariat stanu kierowany przez kard. Sodano do końca sprzeciwiał się upublicznieniu przez Watykan informacji na ten temat.

„ADVOCATUS DIABOLI"

Ta sprawa zapewne powróci na forum publiczne w tym tygodniu podczas watykańskiej konferencji. Jeszcze do niedawna przewidywano, że koncentrować się ona będzie wokół zarzutów abp. Viganò wobec Franciszka. Teraz wiadomo, że w centrum uwagi znajdzie się kwestia odpowiedzialności innego papieża – Jana Pawła II.

Tomasz Terlikowski, komentując „anegdotę" opowiedzianą w samolocie, stwierdził, że de facto niszczy ona autorytet Jana Pawła II. Zadał w związku z tym zasadne pytanie: „Jeśli było tak, jak mówi Franciszek, to kiedy dowiedział się o tym obecny papież? Przed czy po kanonizacji?".

Jeszcze bardziej zasadne wydaje się jednak inne pytanie: jeśli było tak, jak mówi Franciszek, to dlaczego Benedykt XVI, który o tym wiedział, doprowadził do beatyfikacji Jana Pawła II? Czy dopuściłby do wyniesienia polskiego papieża na ołtarze, gdyby był przekonany, że ten tuszował afery homoseksualno-pedofilskie?

Ks. Sławomir Oder, postulator procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego Jana Pawła II, pytany przez KAI, czy w trakcie dochodzenia brane były pod uwagę wątpliwości niektórych środowisk dotyczące postawy papieża wobec nadużyć seksualnych, np. Maciela, odpowiedział: „Proces został przeprowadzony z całym rygorem. Nie było tematów, które stanowiłyby tabu i wyłączone zostały z procesu. Wszystkie wymienione sprawy były gruntownie przebadane. Wynikiem było to, że Ojciec Święty nie miał wątpliwości co do podpisania dekretu o heroiczności cnót Jana Pawła II. Chyba jest to całkowicie jednoznaczne".

Podobnie mówił dla KAI były prefekt Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych kard. Angelo Amato, który nadzorował oba procesy: „Oskarżenia wobec Jana Pawła II, jakoby ukrywał skandale nadużyć seksualnych duchownych, są niesprawiedliwe. [...] Nie jest prawdą, jakoby cokolwiek ukrywał. Wręcz przeciwnie – był bardzo surowy pod tym względem. Trzeba też pamiętać, że świętość Jana Pawła II dotyczy jego osoby. Nie ponosi on odpowiedzialności za grzechy swoich współpracowników oraz innych kręgów. [...] Na szczęście grzechy mają głównie charakter osobisty".

Wiadomo, że podczas procesu beatyfikacyjnego istnieje funkcja tzw. adwokata diabła (advocatus diaboli), czyli oskarżyciela wysuwającego wszelkie wątpliwości, które mogłyby zostać wykorzystane jako argumenty przemawiające przeciw wyniesieniu sługi Bożego na ołtarze. Takie zarzuty zostały postawione w trakcie procesu także Janowi Pawłowi II. Papież przeszedł ów test pozytywnie i został ogłoszony świętym.

Szczegóły dotyczące tych spraw, ze swej natury drażliwych i delikatnych, nie są jednak znane opinii publicznej, ponieważ w większości pozostają objęte tajemnicą papieską i nie można ich ujawniać bez zgody samego papieża. Dotyczy to również urzędników watykańskich, którzy z racji wykonywanych funkcji posiedli wiedzę o różnych osobistych szczegółach dotyczących np. kandydatów na stanowiska biskupie. Dopóki obowiązuje klauzula tajności, musimy polegać na zdaniu takich osób jak kard. Amato czy ks. Oder, którzy mieli wgląd w akta i posiadają najwięcej wiadomości na ten temat.

Nikt nie zaprzecza, że za pontyfikatu Jana Pawła II dochodziło do skandali obyczajowych wśród duchownych. Spór toczy się o to, czy miał tego świadomość i jaką posiadał na ten temat wiedzę. Wielu osobom zależy na tym, by przypisać mu taką winę. Dlaczego? Po pierwsze, odsuwałoby to oskarżenia od rzeczywistych winowajców. Po drugie, w tej chwili opór środowisk ortodoksyjnych w Kościele wobec liberalnych projektów teologicznych i duszpasterskich opiera się w dużej mierze na nauczaniu Jana Pawła II. Jeśli zniszczy się jego autorytet, łatwiej będzie przeprowadzić rewolucję.

eprasa.pl 8765b03b4d



Katolicy a homoseksualizm

Fot. Shutterstock

Rok 2018 był bardzo trudny dla papieża Franciszka. Można powiedzieć, że nie był to łatwy czas dla całego Kościoła katolickiego. Od kilkunastu miesięcy jedną z głównych przyczyn zgorszenia i cierpienia moralnego katolików w wielu krajach świata są skandale seksualne biskupów, księży i zakonników



KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI

W ubiegłym roku takim najbardziej spektakularnym przypadkiem był szokujący dramat amerykańskiego kard. Theodore'a McCarricka. Emerytowany arcybiskup Waszyngtonu był przez ostatnich 30 lat jedną z najważniejszych postaci w Kościele katolickim na świecie. Odgrywał niezwykle ważną rolę w Stanach Zjednoczonych i Watykanie.

McCarrick jest osobą homoseksualną. Z powodu popełnienia poważnych przestępstw o charakterze obyczajowym może być karnie przeniesiony przez Watykan do stanu świeckiego. Dlaczego? Ponieważ przez kilkadziesiąt lat wykorzystywał seksualnie nieletnich chłopców oraz dorosłych kleryków i młodych księży. Ta bulwersująca historia byłego amerykańskiego kardynała rodzi wiele niezwykle trudnych pytań dotyczących obecnej kondycji moralnej Kościoła katolickiego. Jak wytłumaczyć tuszowanie przestępstw McCarricka przez 50 lat? Co należy uczynić, aby takie historie się nie powtórzyły? W jaki sposób

eprasa.pl 8765b03b4d

przygotowywać dzisiaj młodych ludzi do kapłaństwa i życia zakonnego? Jak wygląda problem homoseksualizmu w seminariach duchownych w Polsce i na świecie?

KRZYŻ GEJÓW

W marcu 2002 r. na łamach tygodnika „Wprost" ks. prof. Dariusz Kowalczyk opublikował ciekawy artykuł pt. „Krzyż gejów". W jednym z fragmentów tego opracowania ten znany jezuita opisał klimat dominujący w polskich seminariach diecezjalnych i zakonnych pod koniec ubiegłego stulecia, gdy chodzi o ocenę orientacji seksualnej kleryków i nowicjuszy. Analizy tego autora odnoszą się nie tylko do Polski, lecz także do wielu innych krajów w Europie i na świecie. Kowalczyk stwierdza, że w tamtym okresie za przeszkodę do święceń kapłańskich były uznawane jedynie akty homoseksualne, a nie sama tendencja homoseksualna. Kandydat do święceń kapłańskich czy życia zakonnego mógł spokojnie przedstawić przełożonym własną orientację homoseksualną, której nie towarzyszyła aktywność seksualna. Orientacja homoseksualna nie stanowiła przeszkody, aby zostać księdzem lub zakonnikiem.

„Niejasny – pisał Kowalczyk – pozostaje stosunek Kościoła do ujawniających się niekiedy wśród kleryków skłonności homoseksualnych. Jedni twierdzą, że jeśli osoba homoseksualna pragnie zostać księdzem i szczerze chce przyjąć wszelkie wymagania związane z tym stylem życia, to nie ma powodu, aby z góry uznawać ją za niezdolną do kapłaństwa. Inni uważają, że homoseksualiści – mimo dobrych chęci – nie nadają się do życia w celibacie, ponieważ przebywając zasadniczo w środowisku męskim, narażeni są na nieustanne pokusy, którym prędzej czy później ulegną. Praktyka w wielu seminariach wydaje się taka, że za dyskwalifikujące uważa się czyny homoseksualne, nie zaś skłonności, do których można się szczerze przyznać".

REWOLUCJA 2005

Przez 2 tys. lat nie było w Kościele katolickim formalnego zakazu kapłaństwa mężczyzn homoseksualnych. Zwrot nastąpił dopiero w 2005 r. Rewolucyjny charakter tej zmiany polega na tym, że za przeszkodę do święceń kapłańskich zostały oficjalnie uznane nie tylko akty homoseksualne, lecz także sama tendencja homoseksualna kandydatów do kapłaństwa. Przełomowy kilkustronicowy dokument był redagowany w Rzymie od 1996 r. Ostatecznie 31 sierpnia 2005 r. papież Benedykt XVI zatwierdził jego wersję końcową i nakazał publikację.

Oficjalny tytuł tego dokumentu, opublikowanego przez Kongregację Wychowania Katolickiego, brzmi następująco: „Instrukcja dotycząca kryteriów rozeznawania powołania w stosunku do osób z tendencjami homoseksualnymi w kontekście przyjmowania ich do seminariów i dopuszczania do święceń". Najważniejsze dwa zdania tego dokumentu, promulgowanego 4 listopada 2005 r., brzmią następująco: „Głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne, które spotykane są wśród pewnej liczby mężczyzn i kobiet, są także obiektywnie nieuporządkowane oraz, dla nich samych, często stanowią próbę. [...] Kościół, głęboko szanując osoby, których dotyczy ten problem, nie może dopuszczać do seminarium ani do święceń osób, które praktykują homoseksualizm, wykazują głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne lub wspierają tzw. kulturę gejowską".

Niezwykle ważnym elementem tego dokumentu jest odrzucenie rozróżnienia na homoseksualizm czynny i bierny, które – niestety – także dzisiaj pojawia się bardzo często w opracowaniach wielu teologów katolickich. Nowe kryterium podziału, które zostało wprowadzone w 2005 r., to skłonności homoseksualne przejściowe, zasadniczo wyleczalne i występujące najczęściej w wieku młodzieńczym, oraz skłonności homoseksualne głęboko zakorzenione, czyli trudniej wyleczalne, stanowiące część osobowości i stylu życia człowieka. Ten drugi rodzaj tendencji homoseksualnej został uznany za przeszkodę do święceń kapłańskich i życia zakonnego.

KRYTYKA I SPRZECIW

Warto w tym miejscu dodać, że instrukcji watykańskiej z 4 listopada 2005 r. towarzyszył ważny list kard. Zenona Grocholewskiego, prefekta Kongregacji Wychowania Katolickiego, adresowany do wszystkich biskupów i przełożonych zakonnych na całym świecie. W tym bardzo krótkim dokumencie Stolica Apostolska stwierdza, że księża homoseksualni nie powinni sprawować jakichkolwiek funkcji w seminariach duchownych.

Watykański zakaz udzielania święceń kapłańskich kandydatom homoseksualnym spotkał się z otwartym lub milczącym sprzeciwem wielu środowisk katolickich na całym świecie. Jeśli chodzi o krytykę tego dokumentu wyrażoną publicznie, można wskazać przykład episkopatów Belgii, Francji, Holandii czy Szwajcarii, które oficjalnie poinformowały, że dojrzały psychicznie homoseksualista, deklarujący chęć życia bezżennego, może być księdzem. Podobną opinię wyraziła Rada Przełożonych Zakonów Męskich w USA, która stwierdziła, że nie wolno dyskryminować pobożnych duchownych homoseksualnych, którzy są oddani pracy duszpasterskiej i nie podejmują aktywności seksualnej.

Warto zapytać, w jaki sposób dokument z 2005 r. został wcielony w życie w naszym kraju? Czy nowe rozwiązanie, zaakceptowane przez papieża Benedykta XVI i potwierdzone przez papieża Franciszka w 2016 r., zmieniło wcześniejsze bardzo liberalne podejście do kwestii homoseksualizmu w polskich seminariach i zakonach, o którym pisał ks. Dariusz Kowalczyk w roku 2002? Dlaczego duchowni i świeccy w naszym kraju zasadniczo nie interesują się tą problematyką?

PAPIEŻ BENEDYKT XVI

Pewną słabością dokumentu z 2005 r. jest przyjęty w nim rodzaj argumentacji, który wymaga pogłębienia filozoficznego i teologicznego. Dlaczego? Instrukcja watykańska uzasadnia zakaz święceń kapłańskich dla kandydatów homoseksualnych głównie koniecznością posiadania przez kleryków

eprasa.pl 8765b03b4d

dojrzałości emocjonalnej i zdolnością tworzenia zdrowych relacji z kobietami i mężczyznami. Nie wiem, czy taka argumentacja jest wystarczająca. Dojrzałość emocjonalna i relacje międzyludzkie nie dotykają jądra problemu. Osobiście piszę o tej kwestii w wielu moich artykułach naukowych, które dotyczą m.in. możliwości zachowania w Kościele katolickim tradycyjnej teologii kapłaństwa i sakramentów.

Jak należy definiować kapłaństwo, żeby zachować ważność sprawowanych sakramentów świętych, które decydują o istocie katolicyzmu? Czy zgodność osobowości kapłanów katolickich – nie na poziomie moralnym, ale ontologicznym – z Jezusem Chrystusem jako źródłem kapłaństwa koniecznie zakłada ich orientację heteroseksualną czy też nie? Na czym ma polegać owa zgodność? Jakie elementy osobowości księży stanowią konieczny warunek takiej zgodności? Czy orientacja seksualna jest takim składnikiem?

Ważne słowa na ten temat napisał papież Benedykt XVI w książce „Światłość świata" z 2010 r.: „Homoseksualizm jest nie do pogodzenia z powołaniem kapłańskim. Wtedy bowiem także celibat traci sens jako wyrzeczenie. Byłoby wielkim niebezpieczeństwem, gdyby celibat stawał się powodem wchodzenia w stan kapłański ludzi, którzy i tak nie chcą się ożenić, gdyż w końcu ich stosunek do mężczyzny i kobiety jest zniekształcony, zakłócony. […] Dobór kandydatów na księży musi być dlatego bardzo staranny. Musi panować tu najwyższa uwaga, aby nie doszło do pomyłki i w końcu bezżenność kapłanów nie była utożsamiona z tendencjami do homoseksualizmu".

WOJNA RELIGIJNA

Problem orientacji seksualnej księży i zakonników jest obecnie przedmiotem wielu dyskusji. Co więcej, można mówić dzisiaj o niezwykle ostrym konflikcie wśród katolików, gdy chodzi o moralną ocenę homoseksualizmu. To prawdziwa wojna, która dopiero się rozpoczyna. Spór wokół homoseksualizmu w Kościele katolickim dotyczy zasadniczo trzech kwestii. Po pierwsze, jak oceniać tendencję homoseksualną i akty homoseksualne? Po drugie, co sądzić o małżeństwach jednopłciowych, adopcji dzieci przez pary homoseksualne i zawieraniu takich związków w świątyniach katolickich? Po trzecie, czy wolno dopuszczać osoby homoseksualne do święceń kapłańskich i biskupich oraz życia zakonnego? Na te trzy pytania kardynałowie, biskupi, księża, siostry zakonne, zakonnicy i ludzie świeccy z wielu krajów udzielają bardzo różnych odpowiedzi. Niestety, jedność doktrynalna w tych kwestiach jest już dzisiaj niemożliwa.

Pod tym względem wspólnota katolicka nie jest wyjątkiem. Ostre spory dotyczące tych zagadnień występują obecnie we wszystkich kulturach i religiach. W 2003 r. rosyjski Kościół prawosławny zerwał wszelkie kontakty z Kościołem episkopalnym w Stanach Zjednoczonych z powodu wyświęcenia Gene'a Robinsona, duchownego o orientacji homoseksualnej, na biskupa diecezji New Hampshire. W 2005 r. Patriarchat Moskwy i całej Rusi zawiesił oficjalne kontakty z Kościołem ewangelicko-luterańskim w Szwecji, gdy władze tej wspólnoty wyznaniowej wprowadziły w swoich świątyniach błogosławieństwo związków homoseksualnych. W 2015 r. z tych samych powodów doszło do zerwania relacji między rosyjskim Kościołem prawosławnym a Kościołem prezbiteriańskim Szkocji i Zjednoczonym Kościołem Protestanckim Francji.

Interpretacja homoseksualizmu jest przyczyną wielu poważnych konfliktów także wśród chrześcijan należących do tych samych wspólnot wyznaniowych. Najbardziej spektakularna dyskusja na ten temat toczy się od wielu lat między członkami Kościoła episkopalnego na wszystkich kontynentach, szczególnie w Ameryce Północnej, Afryce i Azji. Ostre spory wokół homoseksualizmu dotyczą także baptystów, prezbiterian, metodystów, zielonoświątkowców, chrześcijan ewangelikalnych itd.

> Na razie ostra i brutalna wojna, która dotyczy przyszłości katolicyzmu, toczy się poza granicami Polski. Prędzej czy później dotrze ona do nas. Niestety, zdecydowana większość katolików w naszym kraju ciągle zatyka uszy

JEDNOŚĆ ALBO SCHIZMA

Wszystko wskazuje na to, że w przyszłości ocena homoseksualizmu w Kościele katolickim będzie się łączyć z jego synodalizacją i decentralizacją. Jednym ze skutków tego procesu będzie odmienne rozumienie niektórych prawd wiary i moralności w różnych regionach świata. Doprowadzi to m.in. do ukształtowania się różnorodnych modeli życia księży katolickich: heteroseksualnych, homoseksualnych, bezżennych, żonatych itp. Taki kierunek rozwoju katolicyzmu światowego może częściowo wskazać Specjalny Synod Biskupów dla regionu Amazonii, który odbędzie się w Rzymie w październiku 2019 r. Jedną z omawianych na synodzie kwestii będzie możliwość dopuszczania do święceń kapłańskich żonatych mężczyzn.

W najbliższych dziesięcioleciach będą się toczyć w Kościele katolickim wielkie dyskusje filozoficzne, teologiczne i doktrynalne. Jedna z najważniejszych spornych kwestii dotyczy rozumienia kapłaństwa i tożsamości seksualnej człowieka. Czy moralna ocena homoseksualizmu nie stanie się przyczyną schizmy w Kościele? Na razie ostra i brutalna wojna, która dotyczy przyszłości katolicyzmu, toczy się poza granicami Polski. Prędzej czy później dotrze ona do nas. Niestety, zdecydowana większość katolików w naszym kraju ciągle zatyka uszy. Trzeba czym prędzej obudzić się ze snu. Obecna wojna doktrynalna wśród katolików w Rzymie, Berlinie czy Nowym Jorku dotyczy także przyszłości Kościoła w naszym kraju. Czy mamy tego świadomość?

eprasa.pl 8765b03b4d



Fot. Michał Woźniak/East News

Z nożem w zębach

eprasa.pl 8765b03b4d

Roman Giertych – adwokat, polityk i biznesmen w jednym. Kim jest przede wszystkim? Hierarchia bywa różna, w zależności od sytuacji. Wykonując zawód adwokata, robi biznes na polityce. Niby porusza się po jej obrzeżach, ale wciąż jest gotowy wrócić na dobre. I powalczyć o najwyższą stawkę



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

W najnowszym serialu „Gazety Wyborczej" zatytułowanym „Taśmy Kaczyńskiego" kluczową postacią, choć niekoniecznie pierwszoplanową, jest Roman Giertych. W tej sprawie odgrywa rolę nie tylko pełnomocnika Geralda Birgfellnera, lecz także narratora, reżysera tej opowieści. Daje do zrozumienia, że zna kolejne wątki historii, które dopiero zostaną opublikowane. W mediach społecznościowych sypie intrygującymi zapowiedziami artykułów „Wyborczej", stara się podgrzewać atmosferę.

– Od dawna twierdzę, że Roman Giertych jest przede wszystkim politykiem. Jest wręcz politycznym narkomanem. Jako prawnik komercjalizuje swoje nazwisko. Wszystko po to, by do polityki wrócić – mówi nam jeden z przedstawicieli warszawskiej palestry. Inni adwokaci, których pytamy o rosłego mecenasa, mają kłopot z odpowiedzią. Z jednej strony jego metody są im obce, z drugiej – nie chcą otwarcie go krytykować, bo jakaś lojalność w środowisku jednak musi być zachowana. – Proponuję prosty test: zapytajcie zwykłego człowieka, czy poszedłby do mecenasa Giertycha, by powierzyć mu swoją sprawę, jakąkolwiek – mówi nam inny doświadczony prawnik. – Przecież on angażuje się w postępowania głośne medialnie, gra z mediami, a sprawy ludzi spoza świecznika są dla niego mało interesujące. Arogancję i wyższość ma wypisane na twarzy, tak tego zawodu uprawiać nie można – słyszymy.

Jarosław Kaczyński pytany przed tygodniem przez „Sieci", dlaczego austriacki biznesmen poszedł akurat do Romana Giertycha, zgodził się, że to wybór, który może sugerować grę polityczną. „To jest rzeczywiście poszlaka. Przede wszystkim adwokaci chcący po prostu bronić jego interesów zwróciliby się do sądu cywilnego i wytoczyli sprawę z roszczeniami. Jeśli zwrócili się do prasy, to cel w istocie był inny" – powiedział prezes PiS.

ODSZKODOWANIE DLA KRAUZEGO

Roman Giertych od dawna pojawiał się w sprawach, które dotyczyły najbogatszych Polaków. Dotarliśmy do dokumentacji sporu z warszawskiego Wilanowa, gdzie powstawała droga prowadząca do budowanej wówczas Świątyni Opatrzności Bożej. Jedną z kluczowych działek, na której owa ulica była planowana, miał w użytkowaniu wieczystym Ryszard Krauze. Za utratę tego prawa urząd miasta zaproponował biznesmenowi odszkodowanie w wysokości ok. 2 mln zł, czyli kwotę, którą ten za owo prawo zapłacił. Mec. Małgorzata Okoń, która reprezentowała Krauzego, zażądała ponad 11 mln zł. Do porozumienia nie doszło. Kilka dni później odbyła się rozprawa administracyjna w Biurze Gospodarki Nieruchomościami w warszawskim ratuszu, ale tutaj biznesmena reprezentował już Roman Giertych. Po niespełna trzech tygodniach ostry spór został rozwiązany poprzez ugodę administracyjną. Jak wyprostowano rozbieżność pomiędzy 2 a 11 mln? Jak to przy ugodach bywa – strony spotkały się „prawie" w połowie drogi i miasto zgodziło się zapłacić Krauzemu ponad 10 mln zł (1 tys. zł za m2). Ze strony miasta dokument podpisał okryty złą sławą w aferze reprywatyzacyjnej dyrektor BGN Marcin Bajko.

Złagodzenie stanowiska ratusza rządzonego przez Hannę Gronkiewicz-Waltz jest o tyle zaskakujące, że nie w każdym przypadku kontrahenci miasta mogą liczyć na podobne względy. Aby drogi publiczne na Wilanowie powstały, należało odkupić działki także od innych posiadaczy użytkowania wieczystego. Zapoznaliśmy się z dokumentami dotyczącymi 21 działek, do których wierzytelności odszkodowawcze przysługują luksemburskiej spółce PL Holdings. Ich wartość wyceniono na ponad 200 mln zł. Tutaj miasto nie kwapiło się z odkupieniem praw do użytkowania wieczystego, mimo że cena metra kwadratowego była niższa (od 25 do niemal 50 proc.) niż w przypadku działki Krauzego, a transakcję i tak należało przeprowadzić, bo drogi w Miasteczku Wilanów przecież musiały powstać. Spór toczy się do dziś. Odszkodowania za wywłaszczenie nie wypłacono, mimo że sądy administracyjne już 39 razy stwierdziły „rażące naruszenie prawa przez Prezydenta m. st. Warszawy", nakładając nań 39 grzywien na łączną sumę ponad 114 tys. zł. PL Holdings ocenia, że teraz jej roszczenia wobec Warszawy wynoszą już ponad 355 mln zł (ponad 200 mln to odszkodowanie, a prawie 140 mln zł to „szkoda PL Holdings w związku ze zwłoką w zaspokojeniu wierzytelności").

Ciekawa jest natomiast sytuacja, z której na pewno nie będzie zadowolona Hanna Gronkiewicz-Waltz, a którą (chyba niechcący) stworzył jej następca Rafał Trzaskowski. Już za jego kadencji miasto, brnąc w zawiłości proceduralne, próbuje przeciągnąć sprawę odszkodowania. Dlatego gdy wojewoda mazowiecki, jako organ odwoławczy, zlecił wycenę spornych działek staroście powiatu legionowskiego, miasto podważyło przesłane operaty jako... zbyt wysokie. Uznało, że 812 zł za m2 to zdecydowanie za dużo. Przypomnijmy:

eprasa.pl 8765b03b4d

w 2012 r. miasto wypłaciło Krauzemu odszkodowanie, licząc za metr kwadratowy 1001 zł.

Należy więc zapytać: na jakiej podstawie swoje miliony odebrał Ryszard Krauze? I jakie znaczenie miało to, że przy finalnej ugodzie pracował dla niego Roman Giertych?

PRZECHRZTA

W 2012 r. dokonała się publicznie polityczna wolta znanego mecenasa. Obserwatorzy widzą tu wypełnienie pewnej prawidłowości – najpierw musi być „szczery wywiad" w „Gazecie Wyborczej", w którym należy się ukorzyć i wyznać grzechy z przeszłości, a dopiero potem można być przyjętym w poczet przyjaciół liberalnej części sceny politycznej. I Giertych takiego wywiadu udzielił we wrześniu 2012 r. Tytuł znamienny: „Spowiedź Giertycha: Zrobiłem wiele błędów w polityce, żałuję swoich wypowiedzi, dojrzałem". Kokietuje w nim, że polityczna bezczynność właściwie mu odpowiada, a polityków zaprasza do siebie na grilla bez konkretnego celu. „Szczerze" wyznaje, że jego język z czasów LPR był zbyt cięty, że nie powinni wtedy z kolegami mówić o „zgejeniu" Europy, że wynikało to „ze zbyt dużego zabiegania o środowiska związane z Radiem Maryja". Mówi też o „dobrej kondycji" Donalda Tuska, sympatii do Grzegorza Schetyny i przestrzega przed PiS – że gdyby doszło do władzy, to „byłoby znacznie gorzej".

„Właściwie poglądów bardzo nie zmieniłem, przybyło doświadczenia życiowego. Jestem liberałem gospodarczym i konserwatystą, jeśli chodzi o wartości" – podsumowuje swoją sylwetkę.

Rzeczywiście, mimo pewnego zwrotu politycznego o jego konserwatywnych poglądach, przynajmniej w niektórych kwestiach, mówiło się dosyć często. Wśród znajomych krąży taka historia. Giertych z żoną znalazł się na imprezie urodzinowej u jednego z liberalnych przyjaciół. Zabawa toczyła się całkiem normalnie aż do momentu, gdy gospodarz zaprosił na występ artystyczny – zmysłowy taniec drag queen. Zanim transwestyta pojawił się przed gośćmi, oburzony mecenas wyszedł. Przebrany i obficie umalowany showman był dosyć postawny, więc potem w towarzystwie krążyły dowcipy, że mógł to być Roman.

„ZATRUTY PIES PO"

Wywiad dla „Wyborczej" uchodzi za moment przełomowy w sytuowaniu Giertycha na scenie politycznej. Rzeczywistość jest jednak bardziej skomplikowana. Kilka tygodni przed jego opublikowaniem Polskę obiegła wiadomość, że mecenas będzie reprezentował Michała Tuska w sporach z mediami. Zapanowało powszechne zdziwienie, czemu z kolei dziwił się Janusz Palikot, dobrze zorientowany w platformerskich sprawach, a że działający już na własne konto, chętnie dzielący się wiedzą.

> Giertych angażuje się w postępowania głośne medialnie, sprawy ludzi spoza świecznika są dla niego mało interesujące. Arogancję i wyższość ma wypisane na twarzy – słyszymy od jednego z przedstawicieli palestry

We wrześniu 2012 r. w Tok FM tak mówił o zatrudnieniu byłego szefa LPR przez Donalda Tuska jako prawnika dla syna: „To jest plan polityczny. [...] Giertych był takim człowiekiem Platformy także w latach 2005–2007. Pamiętam nieraz, jak Schetyna coś z Giertychem uzgadniał niekorzystnego dla PiS-u, dla koalicji, w której tkwił Roman Giertych". W TVN24 śmiał się, słysząc o „skuteczności" mecenasa, przekonywał, że adwokat przegrał z nim wszystkie procesy i ostatecznie z racji tej nieskuteczności potracił pełnomocnictwa, jakie otrzymał od byłej żony Palikota. I powtarzał: „To naturalny zasób kadrowy Platformy Obywatelskiej". Jeszcze dalej poszedł w czasie spotkania w Bytomiu: „Od dawna uważam Romana Giertycha za zatrutego psa Platformy Obywatelskiej, którym PO się posługuje, kiedy chce".

Słów Palikota nie wzięto zbyt poważnie. Jednak po kolejnych dwóch latach potwierdził je... sam Giertych. „Przyjaźnię się z czołówką PO już prawie z 10, nawet 13 lat. Współpracowaliśmy bardzo blisko w czwartej kadencji [w latach 2001–2005 – przyp. red.] – na przykład z Maćkiem Płażyńskim" – te sensacyjnie brzmiące słowa wypowiedział mecenas w „Newsweeku" w środku wakacji 2014 r. w wywiadzie zatytułowanym „Mój przyjaciel Donald". Jak dodawał, zawsze „bliżej współpracował" z Platformą niż z partią Kaczyńskiego, nawet w czasie koalicji PiS-LPR-Samoobrona. Okazuje się, że wcześniej mieli wspólne plany z liderem PO: „Planowaliśmy z Donaldem Tuskiem taki manewr, żeby robić spotkania wyborcze wspólnie – przeciwko sobie, żeby zdetronizować PiS. Tylko że ja nie mogłem startować, bo byłem za młody o pięć miesięcy".

To nie koniec ciekawych zwierzeń. Okazuje się, że zażyłość z szefem PO była naprawdę duża i skrupulatnie ukrywana: „My się przyjaźniliśmy z Donaldem Tuskiem, Rokitą, Schetyną itd., grywaliśmy z nimi po cichu w piłkę, w koszykówkę. Gdyby wówczas się o tym dowiedział nasz elektorat, toby nas rozszarpał. Ale taka była rzeczywistość. Jestem z Donaldem Tuskiem na »ty« od lat, a w rządzie PiS nie byłem z nikim na »ty«". Dalej mówi jeszcze, że to on „rozwalił" rząd Jarosława Kaczyńskiego i jest z tego dumny: „A ja z nożem w zębach czekałem na okazję, żeby mu się odwinąć".

Trudno się oprzeć wrażeniu, że ostrze tego noża wciąż lśni.

DO ZADAŃ SPECJALNYCH

Dziś mecenas jest trwale identyfikowany z politykami PO. Reprezentuje Donalda Tuska (którego przygotowywał też do przesłuchania przed komisją śledczą ds. Amber Gold), Michała Tuska i Katarzynę Tusk. Jest nadwornym adwokatem Radosława Sikorskiego, do

eprasa.pl 8765b03b4d

historii przeszedł tweet byłego szefa MSZ z lutego 2012 r.: „Nie doczekałem się przeprosin od rp.pl i GPC za sugerowanie, jakobym okłamał ministra Władysława Bartoszewskiego w sprawie b. ambasady PRL. Romek pisze pozwy". Bronił też interesów Sławomira Nowaka, Jana Vincenta-Rostowskiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego czy Stanisława Gawłowskiego. Niezła plejada przedstawicieli formacji, o której niegdysiejszy lider LPR mówił: „Ciamciaramciowatość – to jest właśnie PO – kompletna ciamciaramcia, nic nieznacząca". Głosowanie na nią nazywał „totalnym bezsensem", bo ta partia to, jak opisywał, „lurowata opozycja".

Po tamtym grubo ciosanym, wyszydzanym przez salon III RP polityku nie ma już śladu. Zmienił się w nowoczesnego, eleganckiego adwokata, autorytet od prawa i polityki, chadzającego w marszach z Bronisławem Komorowskim, regularnie goszczącego przy stoliku Moniki Olejnik, wesoło podrygującego na antyrządowych demonstracjach („Kto nie skacze, ten jest z PiS-em, hop, hop, hop!").

Śmiało można go nazwać adwokatem do specjalnych zadań politycznych. Reprezentował Europejski Związek Żydów, dla którego pisał wniosek do Rzecznika Praw Obywatelskich o skierowanie skargi do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zakazu uboju rytualnego zwierząt.

Przed kilkoma miesiącami zaistniał przy „aferze KNF" jako pełnomocnik jednego z najbogatszych Polaków, Leszka Czarneckiego. Scenariusz medialnego nadymania tej historii, w ścisłej współpracy z „Gazetą Wyborczą", był bliźniaczo podobny do aktualnej serii publikacji w sprawie Srebrnej.

Powiedzieć, że mecenas w swojej praktyce potrafi sięgnąć po metody kontrowersyjne, to nic nie powiedzieć. Z nagrań u Sowy & Przyjaciół wiemy, że to Giertych miał podpowiadać Sławomirowi Nowakowi, jak poradzić sobie z „aferą zegarkową". Radosław Sikorski opowiadał prezesowi Orlenu Jackowi K. (od kilku dni nie możemy już się posługiwać jego pełnym nazwiskiem): „Nawet mu wymyślił formułę, jak uniknąć tego wpisania do oświadczenia, prostą formułę […], by nie mogli mu zarzutu postawić. Zegarek? Tak. Żona kupiła, ale to jest własność wspólna. […] I udowodnij mu, że nie jest po połowie z żoną".

> Mecenas z polityki nigdy nie zrezygnował. Nie trzeba mieć legitymacji poselskiej ani ministerialnego gabinetu, by ją uprawiać. Giertych robi to nieustannie

Jego nazwisko pojawia się również przy jednej z głośniejszych spraw dotyczących mafii tytoniowej. Portal Kulisy24.com opisywał akcję Straży Granicznej z marca 2015 r. Uzbrojeni funkcjonariusze weszli do siedziby firmy Luxor, gdzie znaleźli największą nielegalną fabrykę papierosów w Europie. Właściciel Bogusław Cz. wezwał na miejsce swojego adwokata Romana Giertycha, który próbował nie dopuścić, by SG weszła do domu biznesmena, bo rzekomo mieli nakaz obejmujący tylko zakład produkcyjny (adres był identyczny). Gdy strażnicy w końcu weszli, znaleźli w domu 33 mln zł w gotówce. „Pieniądze ukryte były w domowych skrytkach oraz meblach i prawdopodobnie pochodziły z przestępczych transakcji" – czytamy w komunikacie SG. Proces Cz. był prawdziwą farsą, przedłużany z byle powodu, z wieloma odwoływanymi rozprawami. Gdy w końcu zmierzał ku końcowi, sędzia ogłosił, że... odchodzi z zawodu. Proces musiał ruszyć od początku. Niebywały fart! Tak bardzo przecież przydatny w karierze adwokata.

MILIARDERZY NA CELOWNIKU

Wspomniany wyżej wywiad w „Newsweeku" z 2014 r. służył jednemu celowi – zatarciu złego wrażenia po publikacji tygodnika „Wprost", w której ujawniono przebieg rozmowy Giertycha z dziennikarzem Piotrem Nisztorem. To jeden z najjaskrawszych dowodów na to, że można mieć poważne wątpliwości co do etyczności działań mecenasa Giertycha.

Michał Majewski i Sylwester Latkowski twierdzili, że adwokat chciał tworzyć grupę, która będzie wymuszała pieniądze od najbogatszych Polaków. W sierpniu 2011 r. w swojej kancelarii Giertych miał namawiać Nisztora, by wyciągnąć od Kulczyka pieniądze za niepublikowanie książki o nim. Cena: 400 tys. zł. Autor miałby dostać taką kwotę od podstawionej przez mecenasa spółki. Były wicepremier snuje dalekosiężne plany: „Spółka kupuje anonimowo. Oczywiście przez mojego człowieka, mojego nazwiska nie będzie. Kupuje, płaci podatki, wszystko. Za robotę masz zapłacone pięć razy tyle, co dostaniesz w najlepszym wariancie megabestsellerów. I zabieramy się za następnego gościa [miliardera – red.], tak? Bo dla mnie to jest biznes. Ja na tym zarobię. Nie ukrywam […]. W tej chwili modus operandi, że se bierzemy następnego gościa, tak? […] Bo możemy taki »way of life« zrobić. Ty będziesz pisał, a ja będę, słuchaj, sprzedawał to. Dawał ci support prawny".

Padają konkretne nazwiska: „Czy nie możemy napisać książki o Sołowowie? […] O Czarneckim można napisać trzecią książkę. […] No to słuchaj. Ja mam kogoś, kto do nich pójdzie. Rzucisz im pytania? Czy już rzuciłeś? […] Zadasz mu [Sołowowowi – red.] pytanie, czy w 1982 r. przewoził biżuterię w odbycie. Delikatnie. Dziewięć takich pytań […] Masz materiał na następną książkę, to możemy zrobić firmę, tak? Ja daję opiekę prawną. Wszystko załatwię tak, żeby było koszerne. Ty zbierasz materiały, ty piszesz, zadajesz pytania".

Nisztor nie skorzystał z oferty. Giertych zapowiadał proces z tygodnikiem „Wprost". Ostatecznie go nie wytoczył. Tłumaczył za to w „Rzeczpospolitej", że plan, który przedstawił Nisztorowi, był tylko „legendą" – mistyfikacją mającą na celu skłonienie go do sprzedania praw do książki, a zrobił to na zlecenie „osoby blisko zaprzyjaźnionej z Kulczykiem".

eprasa.pl 8765b03b4d



Austriacki biznesmen Gerald Birgfellner (w środku) w walce z Jarosławem Kaczyńskim i spółką Srebrna nie bez powodu sięgnął po pomoc prawną Romana Giertycha i Jacka Dubois

Fot. Mateusz Jagielski/East News

ŻONA BY CHCIAŁA…

Gdzie będzie Roman Giertych za jakiś czas? Na razie cierpliwie buduje swoją pozycję, korzysta z każdej okazji, by przykładać PiS, a zwłaszcza Jarosławowi Kaczyńskiemu. Jest bardzo aktywny w mediach społecznościowych, pisze dużo listów otwartych, głównie do politycznych przeciwników. W ostatnich latach opublikował też wymierzone w obóz władzy książki. Nie warto ich komentować. Może lepiej niech już pisze pozwy.

Doskonale idzie mu za to pomnażanie majątku. Mieszka w domu wartym kilka milionów, jeździ autem za kilkaset tysięcy, obsługuje spółki giełdowe, kilka banków w procesach o miliardy. Wynagrodzenia przy takich sprawach są ogromne.

Sam czasem powiada, że może za kilka lat wróci do polityki. Trochę sparzył się w 2015 r., gdy w okręgu podwarszawskim przegrał wybory do Senatu z Konstantym Radziwiłłem. Popierali go wówczas politycy PO.

Ale z polityki nigdy nie zrezygnował. Nie trzeba mieć legitymacji poselskiej czy ministerialnego gabinetu, by ją uprawiać. Giertych robi to nieustannie. Gdzie wypatrywać dla niego miejsca na scenie politycznej? Na razie takowego nie ma. Po prawej stronie jest nie do zaakceptowania. W Platformie też ma zbyt wielu niechętnych sobie ludzi. Dlatego cierpliwie czeka i wedle niektórych naszych rozmówców celuje w stanowisko niewymagające przypisania do konkretnego ugrupowania – prezydenturę. Ci bywający na wspólnych imprezach z Giertychami zauważają, że o fotelu pierwszego obywatela RP dla byłego wicepremiera marzy zwłaszcza jego małżonka. Mecenas lubi podkreślać, jak bardzo kocha żonę, na pewno więc zechciałby sprawić jej tę przyjemność i zamienić podwarszawską willę na najbardziej okazały adres: Krakowskie Przedmieście 48/50.

No, chyba że wcześniej kompletnie się zakiwa.

eprasa.pl 8765b03b4d

Zawodowy prowokator Tusk

Prowokacja to znak rozpoznawczy przewodniczącego Rady Europejskiej, byłego polskiego premiera



STANISŁAW JANECKI

Niebywały afront Donalda Tuska wobec Brytyjczyków nie był nieudanym żartem ani przypadkiem. Nie wynikał też z nieznajomości tego, co Brytyjczycy uważają za naruszenie ich godności i honoru. Nie był żartem w brytyjskim stylu. 6 lutego 2019 r., na zakończenie konferencji z premierem Irlandii Leo Varadkarem, przewodniczący Rady Europejskiej stwierdził, że „zastanawiał się, jak wygląda specjalne miejsce w piekle dla tych, którzy promowali brexit bez nawet zarysu planu tego, jak go bezpiecznie przeprowadzić". Varadkar przestrzegł Tuska, że brytyjskie media nie darują mu tych słów. Szef RE odparł, że o tym wie. Wiedział, gdyż celowo użył słów o piekle. Wiele razy w przeszłości prowokował: zarówno jako premier w Polsce, jak i w roli przewodniczącego Rady Europejskiej. Nie dlatego, żeby tylko drażnić, lecz także w ramach szerszych politycznych planów. Tylko z punktu widzenia Donalda Tuska jego kontakty z Davidem Cameronem pomagały ówczesnemu premierowi Wielkiej Brytanii przed referendum w sprawie brexitu. 23 czerwca

Fot. Shutterstock

epras

2016 r. podczas referendum Brytyjczycy w większości tę pomoc ocenili jako zachętę do opuszczenia Unii Europejskiej. Nieprzypadkowo Tusk mówił, że alternatywą dla twardego brexitu jest brak brexitu, co oznaczało, że wyjścia z UE na warunkach Brukseli nie będzie tylko wtedy, gdy w ogóle do niego nie dojdzie.

GŁOS BERLINA I PARYŻA

Czy działania Tuska przed i po referendum w sprawie opuszczenia UE były pomaganiem Cameronowi, a potem Theresie May oraz Brytyjczykom? Wiele wskazuje na to, że było wręcz przeciwnie, podobnie jak w wypadku długo negocjowanej umowy o warunkach wyjścia z UE. Gdyby umowa była korzystna dla obu stron i podpisywana bez presji czasu oraz bez szantażu, nie wywołałaby kryzysu wewnątrz rządzącej Partii Konserwatywnej, a w efekcie głosowania części torysów przeciw temu porozumieniu (przy okazji również głosowania wotum zaufania dla pani premier), przez co twardy brexit stał się całkiem realny. Samą umowę Brytyjczycy uznali za upokarzającą, a działania i słowa Tuska za potwierdzenie, że właśnie o upokorzenie chodziło. Aby udowodnić, że żaden kraj nie wyjdzie z UE na korzystnych warunkach, a jeśli wyjdzie mimo to, słono za to zapłaci. Zresztą wcześniej Tusk miał spory udział w upokarzaniu Greków, firmując bardzo twardy dla ich ojczyzny plan Niemiec, w którym w istocie chodziło o interesy niemieckich banków. Jeśli to wszystko wziąć pod uwagę, pojawia się pytanie, czy Tuskowi zależy na utrzymaniu Wielkiej Brytanii w UE, czy przeciwnie. Tym bardziej że od wielu miesięcy przewodniczący Rady Europejskiej ustawia Stany Zjednoczone i prezydenta Donalda Trumpa w roli największych przeciwników UE, wręcz jako zagrożenie dla Europy. A przecież przez dekady zdanie władz USA liczyło się w planach najważniejszych polityków Unii Europejskiej. Skoro USA są właściwie wrogiem, a Wielką Brytanię – najważniejszego sojusznika Ameryki w Europie – odstawia się i upokarza, nie może to być obojętne strategicznie.

Wiele wskazuje na to, że wyjście Wielkiej Brytanii z UE jest na rękę przede wszystkim Niemcom i Francji. A Tusk nie zrobił nic, żeby wzmocnienie tych dwóch państw członkowskich nie stało się faktem. Nieprzypadkowo przewodniczący RE jest w Berlinie i Paryżu chwalony, podczas gdy ma problem z Rzymem czy Madrytem, nie wspominając o Londynie. Bez sprzeciwu Londynu, i to z wnętrza Unii, znacznie łatwiejsze będzie jej przekształcanie w federację, w której najwięcej do powiedzenia będą miały Berlin i Paryż. Z Wielką Brytanią przekształcenie UE w federację byłoby niemożliwe, podobnie jak plany wypchnięcia Europy spod militarnego parasola Stanów Zjednoczonych. A Unię – praktycznie bezbronną militarnie, mimo potencjału Francji – byłoby łatwo ograć Rosji, tym bardziej że Berlin i Paryż zawsze miały do Moskwy słabość, niezależnie od tego, że przyłączały się do sankcji po ataku na Ukrainę.

Ustawianie Ameryki jako przeciwnika UE, co Tusk robi od dwóch lat, nie ma nic wspólnego z dbałością o bezpieczeństwo Europy, a tym bardziej Polski. Ponadto z Wielką Brytanią w UE praktycznie niemożliwe byłoby zmuszenie państw spoza strefy euro do przyjmowania rozwiązań służących wyłącznie tej strefie, kosztem państw spoza niej, w tym Polski. Po brexicie największe koszty takiej polityki płaciłyby Polska oraz Szwecja, i nie miałyby możliwości blokowania niekorzystnych rozwiązań. Na prowokacje Donalda Tuska wobec Wielkiej Brytanii, USA, Grecji czy Polski powinno się patrzeć w kontekście przyszłości Europy. A wtedy całkiem wyraźnie widać, że te prowokacje służą przede wszystkim Berlinowi i Paryżowi, w żadnym wypadku zaś Unii Europejskiej jako całości. Jeśli to wszystko weźmie się pod uwagę, można się zgodzić z brytyjskimi opiniami, że Tusk jest bezpośrednio odpowiedzialny za największy kryzys w dziejach UE. I nie wygląda to na przypadek.

PROWOKACJA JAKO METODA

Prowokacje jako metoda działania Donalda Tuska to nic nowego. Zaczęły się po wyborach parlamentarnych w Polsce w 2005 r., gdy późniejszy premier tak kierował negocjacjami koalicyjnymi między PiS a PO, żeby do żadnej koalicji nie doszło. Prowokacje polegały na ujawnianiu przez Platformę stanowiska negocjacyjnego drugiej strony oraz na stawianiu warunków nie do przyjęcia, np. rezygnacji z zajmowania się przez organy ścigania osobami z kręgów partii Tuska, a polityków tej partii objęcia swego rodzaju immunitetami. Prowokacje były potrzebne, by negocjacje zerwać i wepchnąć PiS w bardzo niestabilną oraz pod wieloma względami ryzykowną koalicję z Ligą Polskich Rodzin Romana Giertycha, a także z Samoobroną Andrzeja Leppera. I to się udało, a w efekcie PiS rządziło tylko dwa lata.

Dwa lata rządów PiS w koalicji z LPR i Samoobroną posłużyły jako materiał do kolejnych prowokacji, tym razem podczas kampanii wyborczej przed przyspieszonymi wyborami parlamentarnymi w 2007 r. Prowokacje polegały na odwróceniu sensu najgłośniejszych spraw tamtego czasu, czyli przyjęcia łapówki przez posłankę PO Beatę Sawicką, zatrzymania pod korupcyjnymi zarzutami kardiologa ze szpitala MSWiA dr. Mirosława Garlickiego, śmiertelnego postrzelenia się byłej posłanki SLD Barbary Blidy podczas czynności jej zatrzymania i przeszukania jej domu przez ABW oraz w związku z tzw. aferą gruntową (odrolnienie ziemi za łapówki), która doprowadziła do dymisji ówczesnego wicepremiera i ministra rolnictwa Andrzeja Leppera. W odwróconej narracji Sawicka stała się ofiarą agentów CBA (jako ofiara zalewała się łzami), dr Garlicki był ofiarą akcji dyskredytowania lekarzy, Blida okazała się niewinną ofiarą nadgorliwych funkcjonariuszy ABW, a Lepper, Janusz Kaczmarek (w 2007 r. szef MSWiA) i inni stali się ofiarami zbierania haków na koalicjantów.

W kampanii parlamentarnej w 2007 r. Donald Tusk oskarżał PiS i Jarosława Kaczyńskiego o to, że nie walczą z patologiami, lecz je tworzą, a u uczciwych ludzi wywołują zachowania niemoralne bądź niezgodne z prawem. Na podobnej zasadzie Tusk działał w kampanii prezydenckiej w 2010 r. oraz parlamentarnej w 2011 r., gdy prowokacje wobec upamiętniających ofiary katastrofy smoleńskiej przedstawiano jako ich ataki, Kaczyńskiego zaś jako odpowiedzialnego za „przemysł pogardy". Nieustannie dochodziło też do prowokowania

eprasa.pl 8765b03b4d

Jarosława Kaczyńskiego: w Sejmie, podczas uroczystości na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, pod Wawelem, a nawet pod jego domem.

PROWOKOWANIE LECHA KACZYŃSKIEGO

W latach 2008–2010 Tusk nieustannie prowokował prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Od początku swoich rządów obarczał prezydenta odpowiedzialnością za podpisanie w marcu 2007 r. podstawowych założeń pakietu energetyczno-klimatycznego. Prowokacje Tuska w tej sprawie nasiliły się po grudniu 2008 r., gdyż wtedy sam Tusk podpisał szczegóły wdrażania pakietu. Owszem, Lech Kaczyński poszedł w 2007 r. na ustępstwa, o czym sam mówił tak: „Zgodziłem się na politykę klimatyczną z punktu widzenia Polski ryzykowną. To był mój gest w stosunku do pani kanclerz Angeli Merkel". Tyle tylko, że przy podpisywaniu pakietu w grudniu 2008 r. Polska miała użyć weta, gdyby chciano jej narzucić niekorzystne szczegółowe rozwiązania. Tusk dużo wcześniej ogłosił, że weta nie zastosuje, więc tym samym zrezygnował z wszelkich możliwych korekt korzystnych dla Polski. Prowokacją było i zrezygnowanie z weta, i obarczanie odpowiedzialnością Lecha Kaczyńskiego, który na ostateczny kształt pakietu nie miał wpływu. Prowokacją wyższego rzędu było obarczanie odpowiedzialnością za pakiet prezydenta Kaczyńskiego już po jego śmierci. Jarosław Kaczyński tak wtedy to komentował: „Rozumiem, że Donald Tusk bardzo się wstydzi, że zgodził się na pakt klimatyczny, ale czy musi zrzucać winę na zmarłych? Czy musi wmawiać ludziom winę mojego brata? [...] Wstyd, panie premierze, trzeba trochę godności!".

W październiku 2008 r. doszło do kulminacji prowokacji premiera Tuska wobec prezydenta Kaczyńskiego w związku ze sporami o reprezentowanie Polski na zewnątrz. Premier Tusk nie udostępnił wtedy samolotu, którym prezydent miał lecieć na szczyt w Brukseli. „Nie potrzebuję pana prezydenta, na tym polega problem" – powiedział Tusk na lotnisku w Brukseli. Na co Lech Kaczyński odparł: „Polecę. Pewnie samolotem, nie umiem fruwać". „Proszę mnie zwolnić z odpowiedzialności za to, co będzie robił pan prezydent" – dopowiadał Tusk. A szef kancelarii premiera Tomasz Arabski konkludował: „Rząd nie udzielił prezydentowi rządowego samolotu do Brukseli, ponieważ jest to prywatna podróż głowy państwa. A kancelaria nie użycza samolotu na podróże prywatne". Prowokacje związane z odmową udostępnienia głowie państwa rządowego samolotu miały wpływ na to, co działo się przed podróżą Lecha Kaczyńskiego do Katynia w kwietniu 2010 r.

> Tusk wydaje się najbardziej szkodliwym i niebezpiecznym politykiem w dziejach III RP, a także największym szkodnikiem w UE, przynajmniej w ostatnich pięciu latach

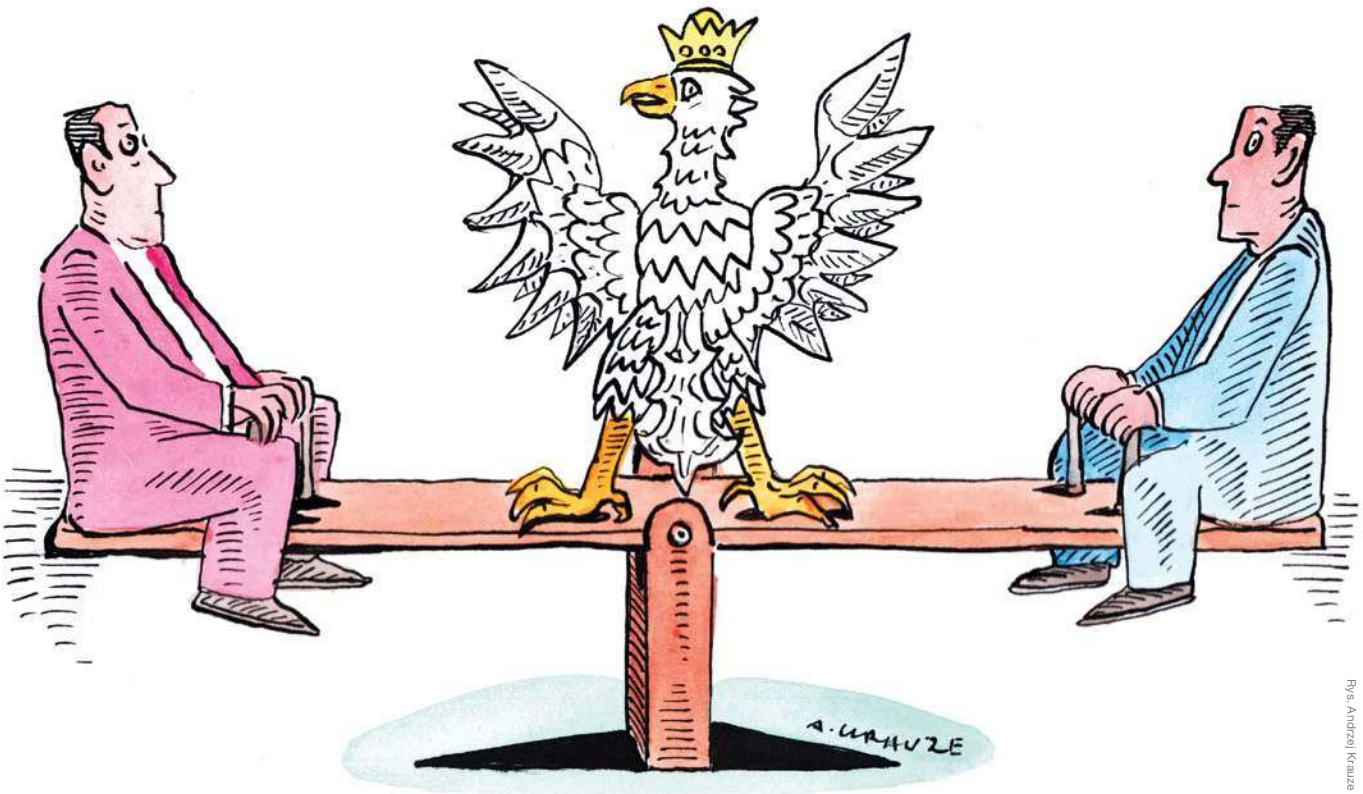
PROWOKACJA PROWOKACJI

W styczniu 2010 r. szef Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik oficjalnie zwrócił się do prezydenta Kaczyńskiego, by wziął udział w obchodach 70. rocznicy zbrodni katyńskiej. 27 stycznia 2010 r. Kancelaria Prezydenta wysłała do MSZ pismo informujące, że Lech Kaczyński chce być 10 kwietnia 2010 r. w Katyniu. Było to potwierdzenie planów prezydenta sformułowanych jeszcze na początku grudnia 2009 r. Dopiero 3 lutego 2010 r., rozmawiając z Tuskiem przez telefon, Władimir Putin zaprosił polskiego premiera na oddzielne obchody rocznicy zbrodni katyńskiej. „Była to osobista inicjatywa obu panów premierów" – poinformował ówczesny rzecznik rządu Paweł Graś. W następnych tygodniach ambasada Rosji, polskie MSZ oraz KPRM prowadziły kampanię promowania słusznej inicjatywy premierów Polski i Rosji oraz delegitymizowania oraz marginalizowania niesłusznej podróży Lecha Kaczyńskiego. Na początku marca 2010 r. Arabski stwierdził, że Tusk nie pojedzie na główne obchody katyńskie, jak było planowane, tylko trzy dni wcześniej weźmie udział w uroczystościach razem z Putinem. Rosjanie oświadczyli wówczas, że prezydencką wizytę 10 kwietnia 2010 r. będą traktowali jako prywatną, a więc o znacznie niższym poziomie zabezpieczeń. Prowokacja, przede wszystkim w wydaniu Tuska, polegała na grze z premierem obcego państwa przeciw prezydentowi własnego. Nie trzeba mówić, jak to wszystko się skończyło.

W polityce krajowej Tusk posługiwał się prowokacją aż do przeniesienia się do Brukseli (oficjalnie 1 grudnia 2014 r.), a po objęciu funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej nadal prowokował podczas wizyt w Polsce, czego kulminacją było wystąpienie we Wrocławiu 17 grudnia 2016 r., podczas tzw. puczu sejmowego opozycji. Tusk mówił wówczas: „Kto dziś podważa ten europejski model demokracji, gwałcąc konstytucję i dobre obyczaje, naraża nas wszystkich na strategiczne ryzyka. [...] Po wczorajszych wydarzeniach w Sejmie i na ulicach Warszawy, mając też w osobistej pamięci, co znaczą grudnie w naszej historii, apeluję do tych, którzy realnie sprawują władzę w naszym kraju, o respekt i szacunek wobec ludzi, wobec zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur i dobrych obyczajów".

Potem prowokował podczas kolejnych pobytów w Polsce, np. w związku z przesłuchaniami w prokuraturze i sądzie, prowokował na Twitterze i występując przed polskimi dziennikarzami. Prowokował po to, by wpływać na bieg wydarzeń. Jego prowokacje wobec Brytyjczyków są tylko echem tego, co robił wobec Polski. Z takiej perspektywy Tusk wydaje się najbardziej szkodliwym i niebezpiecznym politykiem w dziejach III RP, a także największym szkodnikiem w UE, przynajmniej w ostatnich pięciu latach.

eprasa.pl 8765b03b4d



Rys. Andrzej Krauze

Dawny ustrój i PiS

Czy ci nieliczni byli pezetpeerowcy, którzy zaangażowali się po stronie Prawa i Sprawiedliwości – czyli po stronie, która działa wbrew prestiżowym i materialnym interesom środowisk, z których wyszli – nie udowodnili poprzez to szczerości swego wyboru? I autentycznego zerwania z przeszłością?

Można by powiedzieć, iż czynienie Prawu i Sprawiedliwości zarzutów z tego, że czy to w samej partii, czy to na jej zapleczu znajduje się kilka postaci uwikłanych w dawny system, jest hipokryzją.



PIOTR SKWIECIŃSKI

1.

Bo przecież, po pierwsze, nie sposób nie dostrzec, że generalnie Polacy zaangażowani w PRL (a także ich dzieci i wnuki – skłonność do może mniej posiadania określonych poglądów, ile do niechęci wobec innych, określonych poglądów w Polsce z reguły się dziedziczy) są w ogromnej większości przeciw PiS. W tej grupie proporcje podziału politycznego są diametralnie inne niż w reszcie społeczeństwa. Nie sposób nie tylko tego nie dostrzec, lecz również się temu dziwić.

Może nie tyle wśród polityków, pod tym względem główna siła opozycyjna, czyli Platforma, zachowuje wciąż raczej profil ugrupowania postsolidarnościowego, ile na całym ogromnym zapleczu opozycji odsetek postaci o starosystemowych linkach jest ogromny, wielokrotnie bijący na głowę partię Jarosława Kaczyńskiego. Przy czym – podkreślmy – są to ludzie bardzo od siebie różni: od ubeckich czy aparatczykowskich pterodaktyli po spokrewnionych z nimi trzydziestolatków niemających do PRL żadnego sentymentu, a ideologicznie odległych od PZPR tak, że dalej już trudno. Łączy ich jedno – gwałtowna niechęć do ugrupowania, które stygmatyzuje ludzi dawnego systemu, i najczęściej również żywiołowa niechęć do Kościoła.

Zwolennicy tezy o pozorności pisowskiego antykomunizmu mogą w tym momencie albo iść w zaparte i twierdzić, że to

eprasa.pl 8765b03b4d

wszystko nieprawda, albo uznać, że zachowanie środowisk dawnosystemowych to jakaś nieracjonalna idiosynkrazja. Ale to nie tak. To postawa w pełni logiczna. PiS uderza przecież w ich prestiż, usiłuje (pytanie, czy nie należałoby tu użyć raczej czasu przeszłego) odwrócić hierarchię społecznego szacunku; oni mieliby się znaleźć na jej najbliższym piętrze. Ale uderza też w ich materialne interesy, wchodząc w konfrontację z wszelkimi zawodowymi i korporacyjnymi elitami, w których ludzie wywodzący się z dawnego systemu (pojmowani tak, jak to opisałem wyżej, czyli również jako ich potomkowie) często dominują, a niemal zawsze są w większości.

2.

W dodatku, jeśli prześledzimy całą polityczną drogę formacji PiS, znajdziemy kolejne – choć paradoksalnie jakby odwrotne – przyczyny, dla których oskarżanie tej partii o hipokryzję w tej mierze jest niesłuszne.

Pamiętam, jak pracując w połowie lat 90. w telewizji publicznej, zadzwoniłem do znanego polityka prawicy, wtedy w opozycji (był to czas rządu Pawlaka), dziś w PiS. Polityk był filarem grupy uważanej (wtedy i obecnie) za najradykalniej antykomunistyczną. Chciałem zyskać jego wypowiedź na temat trwającego wtedy zjawiska wypychania ze służb specjalnych młodych oficerów z podziemnym jeszcze rodowodem. Z pewnych względów nie mogłem sobie pozwolić na brak precyzji w delikatnym materiale, musiałem więc jeszcze przed nagraniem wiedzieć, co on powie. Przy próbie wypytania, co ma zamiar powiedzieć, nastroszył się na zasadzie: „No wie pan, powiem to, co będę chciał powiedzieć". Zapytałem więc: „To oczywiste, panie ministrze, ale czy ja bardzo się pomylę, jeśli powiem, że wtedy gdy budowali panowie nowe służby, bynajmniej nie chcieliście się pozbyć wszystkich dawnych pracowników? Zakładaliście, że bardziej fachowa, lepsza ich część pozostanie, ale do głowy wam nie przyszło, iż ludzie z przeszłością w SB będą w nowych służbach dominować?". Mój rozmówca był i jest człowiekiem bardzo inteligentnym, odpowiedział: „Oczywiście tak, ma pan rację, tak właśnie myśleliśmy". I był, jak mi się wydaje, szczery.

Dziś trudno w to uwierzyć nawet dobrze to pamiętającym, ale ówczesny Kaczyński daleki był od idei radykalnie dekomunizacyjnych. To nie od niego wyszły pomysły stworzenia ustawy zakazującej określonym kategoriom obywateli (najogólniej – członkom dawnego aparatu PZPR) kandydowania w wyborach i sprawowania pewnych funkcji w państwie. Narzucił mu je entuzjazm kongresu jego partii, Porozumienia Centrum, którego członkowie rozumowali właśnie w kategoriach antykomunistycznej rewolucji.

Natomiast sam Kaczyński... To nie on wymyślił zdanie: „Państwo silne to jest takie, któremu konformiści służą, a państwo słabe to jest takie, w którym konformiści rządzą", ale oddaje ono jego myślenie. Konformiści to dawni pezetpeerowcy, powinni zostać osłabieni i wkomponowani w układ pracujący dla państwa, ale o żadnych ich społecznych eksterminacjach Kaczyński nie myślał.

I przez krótki, króciutki moment mogło się wydawać, że historia pójdzie inaczej, niż poszła. W okresie wojny na górze opowiadano mi o jego spotkaniu (na tzw. offie oczywiście) z zespołem... tygodnika „Polityka" (dziś to w ogóle brzmi jak baśń o jakimś dziwnym świecie na opak). Część zespołu była podobno pod dużym wrażeniem dzisiejszego Naczelnika.

3.

Co szybko minęło. Nie tylko dlatego, że wojna na górze rozpaliła w społeczeństwie emocje dotyczące komunizmu, który odszedł przecież dopiero przed chwilą. Przede wszystkim dlatego, że błyskawiczna wolta Wałęsy, który odciął się od dawnego zaplecza, zaczął „wspierać lewą nogę" i uprawiać zaawansowane pieszczoty z mundurowymi oraz niemundurowymi dygnitarzami starego systemu, wlała w ludzi PRL nadzieję, bo pokazała im, że są ważni i jest ktoś, kto nie dopuści do zrobienia im nadmiernej krzywdy. Nie przeciągnęło ich to politycznie na stronę nowego prezydenta, dalej w większości nim pogardzali i nie cierpieli go. Ale spowodowało, że w swojej masie poczuli się ważni i przestali być podatni na propozycje wtopienia się w nowe państwo za cenę „posunięcia się".

Nieco podobną rolę, trochę wcześniej, odegrało spektakularne stanięcie w obronie dawnych komunistów Adama Michnika i związanych z nim środowisk. Ale wolta Wałęsy miała znaczenie wielokrotnie większe, bo była dokonywana z pozycji władzy. I to władzy, którą wówczas traktowano dość powszechnie jako potężną, wychodzącą poza konstytucję i w perspektywie, być może, niemal autorytarną.

Mało kto pamięta, że oprócz ugrupowania, które po wielu latach przekształciło się w SLD – Socjaldemokracji RP z Aleksandrem Kwaśniewskim na czele – z rozwiązywanej PZPR wyłoniła się też inna partia: Polska Unia Socjaldemokratyczna z byłym sekretarzem z Gdańska, Tadeuszem Fiszbachem (który, co znamienne, wiele lat później, w 2010 r., w czasie wyborów prezydenckich poparł Jarosława Kaczyńskiego). Była ona nastawiona znacznie bardziej ugodowo – upraszczając: na uznanie dominacji środowisk postsolidarnościowych i szukanie dla ludzi dawnego systemu miejsca w solidarnościowej Polsce. Fiszbach przegrał, bo zrezygnował z ubiegania się o część mienia b. PZPR, a dawny aparat skupił się wokół bogatszej SdRP i uznał go za odstępcę. Jestem jednak przekonany, że gdyby nie wolta Wałęsy, to i Fiszbach byłby silniejszy, i – przede wszystkim – Polska zaroiłaby się od innych, licznych Fiszbachów.

4.

Wszystkie opisane wyżej czynniki doprowadziły m.in. do tego, że najpierw Porozumienie Centrum, a potem PiS podniosły sztandar antykomunizmu. I było to chyba w jakimś zakresie nieuniknione. Bo do tych partii ciągnęli właśnie antykomuniści; bo rosnąca w latach 90. i na początku dwutysięcznych potęga obozu postpezetpeerowskiego wzbudzała silne emocje, wydawała się wielu moralnym skandalem, no i bywała rzeczywistym zagrożeniem. I dlatego, że właśnie stosunek do dawnych partyjniaków oraz ich politycznej formacji urósł do rangi głównego czy niemal głównego czynnika różnicującego polską postsolidarnościową prawicę od postsolidarnościowego liberalnego centrum.

eprasa.pl 8765b03b4d

Tu krótki wtręt osobisty. Byłem w tamtych latach zdecydowanym antykomunistą i zepchnięcie formacji postpezetpeerowskiej na śmietnik historii traktowałem jako najważniejsze polskie zadanie. Poddałem jednak to swoje nastawienie częściowej rewizji pod wpływem polityki tej formacji w okresie, kiedy sprawowała władzę. Mówiąc krótko: udowodniła ona wówczas, że spełnia pewne absolutne minimum – nie jest mianowicie powodowana z Moskwy; dowiodła tego, aktywnie kontynuując linię polskiej polityki, nakierowaną na integrację z NATO i Unią. Dlaczego postkomuniści przeszli na takie pozycje, to rzecz inna. Jednak przeszli, okazali się generalnie nie być „ruską agenturą". Od chwili, kiedy zaakceptowałem tę konstatację, było mi dalej z nimi zdecydowanie nie po drodze, z przyczyn natury światopoglądowej, a także ze względu na charakteryzującą ich rządy korupcję, ale nie byli już dla mnie niemal metafizycznym, największym złem.

> Gdyby niegdyś Wałęsa nie zaczął „wspierać lewej nogi", to ludzie dawnego systemu zintegrowaliby się lepiej z nową Polską. A wręcz – w jakiejś części również z polską prawicą

I coś jeszcze. Wyżej o ludziach dawnego systemu pisałem jako o konformistach. I nie wycofuję się z tego; konformizm był immanentną cechą formacji rządzącej PRL (nie idzie tu, rzecz jasna, o komunistów przedwojennych, których można oskarżyć o wiele, ale akurat nie o to) – choćby dlatego, że już sam akces do tej, powstałej wbrew woli zdecydowanej większości Polaków władzy miał rys konformizmu wobec silniejszego, a także karierowiczostwa. To prawda, tylko że to stwierdzenie – prawdziwe wobec większości kadr dawnego systemu – nie wyczerpuje całości opisu. Wydaje mi się, że część ludzi tej formacji, rządzącej polskim protektoratem przez 45 lat, nie była pozbawiona jakiegoś rodzaju dobrej woli. Ani pierwiastka jakiegoś rodzaju państwowego myślenia i państwowego rozsądku (z czym z kolei u dawnych antytotalitarnych opozycjonistów bywało różnie).

Dlatego szkoda, że poszło, jak poszło, choć być może tak pójść musiało.

5.

I tak wróciliśmy do pierwotnego pytania – o formułowane wobec Jarosława Kaczyńskiego i jego drużyny zarzuty z powodu utrzymywania – czy to w samej partii, czy to na jej zapleczu – kilku osób uwikłanych w dawny system lub mających problem lustracyjny. Krytycy mówią tu o hipokryzji, często przy tym sugerując, jakoby sama obecność tych postaci dowodziła, że cała walka PiS z dziedzictwem dawnego systemu to gra pozorów.

Z jednej strony zarzuty te łatwo odrzucić. Walka nie jest pozorna, bo przecież PiS naprawdę pozostaje w bardzo ostrym konflikcie z elitami III RP, temu nikt nie zaprzeczy, elity te zaś są w dużej mierze proweniencji starosystemowej. PiS naprawdę chciałoby odepchnąć te elity jak najdalej, a gdyby mogło zredukować ich znaczenie do zera, uczyniłoby to chyba bez wahania. Można oczywiście powiedzieć, że tak naprawdę nie o proweniencję elit III RP idzie, że to inny konflikt – społeczny i kulturowy – więc obustronna wrogość tak naprawdę wynika z czegoś innego. Tylko że nawet jeśli tak, to wszystkie motywacje zrosły się tak integralnie, iż próba ich oderwania od siebie jest bezsensowna.

O fałszywości zarzutu hipokryzji pisałem natomiast wyżej. Próba utożsamiania czy to samego Kaczyńskiego, czy to jego najstarszego, tego pecetowskiego, otoczenia z emocjonalnym antykomunizmem w wersji takiej, jaka dziś (i zresztą od dawna) się z nimi kojarzy, dowodzi po prostu braku wiedzy.

Oczywiście łatwo tu o sformułowanie kolejnego zarzutu hipokryzji, tym razem pod nieco innym tonem – że mianowicie Kaczyński uzurpuje sobie tutaj rolę arbitra, wydającego świadectwo niewinności akurat tym nielicznym byłym „czerwonym", którzy stoją po jego stronie.

Ale abstrahując nawet od tego, że część ludzi, o których tu mowa, już w okresie stanu wojennego znalazła się w antykomunistycznym podziemiu albo przynajmniej nie kontynuowała zaangażowania po rządowej stronie ówczesnego konfliktu (bo pamiętajmy, że to naprawdę bardzo różni ludzie, do jednego worka wrzuceni w jakimś zakresie sztucznie), można postawić pewne, dość zasadnicze pytanie. Czy mianowicie owi nieliczni byli pezetpeerowcy, którzy nie zmienili afiliacji w stanie wojennym, właśnie poprzez zaangażowanie się w III RP po stronie PiS – czyli po stronie, która generalnie działa wbrew prestiżowym i materialnym interesom środowisk, z których wyszli, zaangażowanie, które musiało zaowocować w ich dawnych środowiskach naciskiem na nich, a następnie ich potępieniem, co z kolei musiały negatywnie odczuć również ich rodziny – nie udowodnili szczerości swego wyboru? I autentycznego zerwania z przeszłością?

6.

Tylko że to nie kończy dyskusji. Bo zarazem bardzo pryncypialny antykomunizm tak zrósł się z PiS, stał się do tego stopnia podstawowym elementem wizerunku tej partii, czynnikiem odróżniającym ją od innych, że po ujawnieniu tego rodzaju faktów część jej zaplecza ma prawo czuć się zagubiona, może i rozczarowana.

Bo bywa, że z przyczyn politycznych trzeba używać uproszczonego obrazu rzeczywistości, który w zamkniętym gronie się niuansuje. Tylko że to ten uproszczony obraz kształtuje, wręcz wychowuje formację i jej ludzi. I trudno nie rozumieć, że na obrazie świata części tych ludzi powstała rysa. Taki jest koszt uprawiania polityki na najwyższym diapazonie emocjonalnym.

Tylko że – znów – czy można było ją uprawiać w inny sposób?

eprasa.pl 8765b03b4d

Warszawskie odwrócenie sojuszy



Fot. Tymon Markowski/MSZ (x2)

Konferencja w Warszawie pokazała, że w kształtowaniu się nowej konfiguracji na Bliskim Wschodzie Unia Europejska ma wszelkie dane nie odegrać żadnej roli



JAN ROKITA

Nie jest przypadkiem, że mimo łagodzących starań polskiej dyplomacji warszawska konferencja bliskowschodnia była niczym innym jak manifestacją tworzenia się nowego antyperskiego globalnego sojuszu.

I właśnie z tego powodu nie ma retorycznej przesady w pełnych emfazy słowach sekretarza stanu USA Mike'a Pompeo i premiera Izraela Beniamina Netanjahu, iż wraz z warszawskim spotkaniem otwiera się „nowa era" w stosunkach bliskowschodnich.

SOJUSZ ARABSKO-ŻYDOWSKI

Jeszcze nigdy dotąd monarchia saudyjska nie wysłała swojej delegacji na międzynarodową konferencję, na której czołową rolę odgrywałby urzędujący premier Izraela. Żydowski ekspert z uniwersytetu w Tel Awiwie prof. Emmanuel Navon mówi nawet o „niemal oficjalnym partnerstwie Izraela i Arabii Saudyjskiej", które (nie ma w tym żadnej przesady) wywraca do góry nogami polityczny porządek, jaki od dziesięcioleci panował na Bliskim Wschodzie. Ta zmiana jest bez wątpienia

1/0119/F

eprasa.pl 8765b03b4d

rezultatem strategii Donalda Trumpa, który za kluczowy cel amerykańskiej polityki uznał odwrócenie dotychczasowych sojuszy w tym rejonie świata.

W kuluarach warszawskiej konferencji doszło do precedensowej rozmowy Netanjahu z delegacją saudyjską. Istnienie tajnych kontaktów saudyjsko-izraelskich jest wprawdzie nie od dziś tajemnicą poliszynela. Ale tym razem nowość polega na tym, że Netanjahu publicznie zadeklarował intencje takiego spotkania i rozmowy. W październiku 2018 r. izraelski premier udał się po raz pierwszy na Półwysep Arabski, ale tylko po to, aby rozmawiać z najbardziej otwartym na Żydów sojusznikiem dynastii saudyjskiej – szejkiem Omanu. W Warszawie omański szef dyplomacji i Netanjahu nie kryli się już z wzajemnymi komplementami wygłaszanymi przed kamerami telewizyjnymi. Ale dobrze wiadomo, że ze strony Jerozolimy były to tylko „dyplomatyczne podchody", których celem miało być zbliżenie z Rijadem. Wydaje się, że w Warszawie doszło tym razem do kroku przełomowego, po którym wspólnota interesów i stałość kontaktów między dwiema wrogimi sobie w przeszłości stolicami stawać się będzie z czasem normalnością bliskowschodniej polityki.

Nie tak dawno dziennikarz izraelskiego „Kanału 13" ujawnił, że w 2014 r., po ostrej wymianie militarnych ciosów pomiędzy Izraelem i Hamasem w Strefie Gazy (tzw. Operation Protective Edge), Saudowie wystąpili tajnie do Netanjahu z projektem własnej inicjatywy pokojowej oraz mającego być jej następstwem antyperskiego sojuszu żydowsko-arabskiego. Miało wtedy nawet dojść do tajnego spotkania izraelskiego premiera z saudyjskim księciem Bandarem ibn Sultanem, na którym zrodziła się idea wspólnego wystąpienia przywódców obu państw z planem pokojowym dla Bliskiego Wschodu podczas sesji ONZ w Nowym Jorku. Do nieporozumień dojść miało jednak wtedy, gdy Saudowie zaczęli nalegać na większą ustępliwość premiera Izraela. Netanjahu odmówił ponoć jakichś poprawek w przygotowywanym wspólnym dokumencie i zerwał dalsze kontakty.

Dziś widać, że Arabowie bardziej niż pięć lat temu potrzebują sojuszu z twardym przywódcą Izraela. Rząd Trumpa wymyślił zaś warszawską konferencję po to, aby dać obu stronom szansę na ponowne zadzierzgnięcie nici współpracy. Swoją rolę odegrała tutaj zapewne antyirańska zaciekłość nowego saudyjskiego przywódcy – księcia Mohammada ibn Salmana, jak również przewlekła i krwawa wojna, jaką bez sukcesu wiedzie on z proirańską rewoltą w Jemenie.

Już samo określenie „sojusz arabsko-żydowski" brzmieć musi egzotycznie dla ucha nawykłego do słuchania przez lata o konflikcie na Bliskim Wschodzie. Jednak lista krajów arabskich, które pozytywnie odpowiedziały na amerykańsko-polskie zaproszenie do spotkania z największym (jak się przecież uważa) wrogiem świata arabskiego, robi spore wrażenie. Za Arabią Saudyjską poszli naturalni wasale Saudów – monarchowie z Emiratów Arabskich, Omanu, Kuwejtu, Jemenu

REKLAMA



KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Już teraz złóż wniosek!
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)
kasastefczyka.pl

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.
Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl 8765b03b4d



i Bahrajnu. Ale na warszawskim Stadionie Narodowym pojawili się także wysłannicy Egiptu, Jordanii, Maroka i Tunezji – którzy co prawda od czasu sławnego traktatu w Camp David nawykli już do zwykłych kontaktów z Izraelem, ale z kolei prowadzą suwerenną i niekoniecznie tożsamą politykę z Saudami. Do Warszawy przyleciała nawet delegacja śmiertelnie skłóconego teraz z Saudami Kataru, oskarżanego dotąd przez księcia Muhammada ibn Salmana o „spiskowanie z Persami".

> Choć politycy polskiej opozycji kpili, iż rząd wziął na siebie rolę tego, „kto daje salę i zapewnia catering", to realne polityczne znaczenie Warszawy okazało się całkiem niebłahe

Wszystko to pokazuje autentyczny strach, jaki zapanował w stolicach arabskich po tym, jak niekryjący swych mocarstwowych ambicji perscy ajatollahowie podporządkowali sobie Liban, wszczęli wojnę na śmierć i życie o Jemen, politycznie wygrali straszliwą wojnę domową w Syrii i powoli rozciągają swoje wpływy na w większości szyicki Irak. Wizja „szyickiego półksiężyca" (to określenie wymyślone przez króla Jordanii Abdullaha), roztaczającego swe wpływy od Zatoki Perskiej po Wzgórza Golan, jest właśnie tym, co zaczęło wywracać do góry nogami arabskie myślenie o strategicznych przyjaciołach i wrogach świata arabskiego. Tak dalece, że niektórzy – jak choćby młody władca saudyjski – są gotowi wykreślić Żydów i ich państwo z listy owych wrogów.

ANTYPERSKA KOALICJA

W tych warunkach polskie starania o to, by nie traktować nazbyt agresywnie Iranu podczas warszawskiej narady, musiały spalić na panewce. To właśnie strach przed Iranem sprowadził przecież do Warszawy większość uczestników konferencji. Netanjahu skorzystał z okazji, aby spektakularnie pokazać, że coś takiego jak arabski ostracyzm przeciw Izraelowi należy już do przeszłości. A on sam, któremu od lat zarzuca się organiczną niechęć do akceptowania wielostronnej dyplomacji, jest przecież chętnym uczestnikiem tego rodzaju „pokojowych konferencji".

Wielką i nieskrywaną satysfakcję mieli także Amerykanie. Wiceprezydent Pence wygłosił główną publiczną mowę podczas konferencji, w której nie tylko bezpardonowo potraktował Teheran jako „wiodącego sponsora terroryzmu na świecie", lecz jeszcze wprawił w zakłopotanie polskich gospodarzy, oskarżając po imieniu Berlin, Paryż i Londyn o nielojalność w walce z tym największym zagrożeniem dla wolności i pokoju. Nic dziwnego, że Europejczycy, przewidując zapewne taki rozwój zdarzeń, posłali do Polski co najwyżej wiceministrów lub nawet urzędników MSZ, zaś brytyjski szef dyplomacji Jeremy Hunt, który mimo wszystko przybył do Warszawy, przed mową Pence'a zdążył ją już opuścić. Unijna wspólna minister Włoszka Federica Mogherini od samego początku zapowiadała, że w żadnym razie na konferencję się nie stawi.

W Warszawie wyszła jednak na wierzch słabość Unii Europejskiej, co musiały przyznać nawet zachodnie gazety, niechętne w większości wszystkim kluczowym aktorom konferencji: Netanjahu, Trumpowi, księciu Muhammadowi ibn Salmanowi i w końcu także Kaczyńskiemu. Choć z owej czwórki, której duchy unosiły się nad Stadionem Narodowym, fizycznie obecny był tam tylko premier Izraela, to tak naprawdę ich polityka zbierała na konferencji swoje owoce. Fakt, że Kaczyński przyzwolił na to, aby Amerykanie mogli ów spektakl przeprowadzić w Warszawie, unaocznił właśnie ową polityczną słabość Unii. Podczas końcowej konferencji

1/0219/F

eprasa.pl 8765b03b4d

prasowej, przeprowadzonej wraz z sekretarzem stanu Pompeo, minister Czaputowicz wił się jak piskorz, próbując wykazać coś, czego wykazać się nie da, że mianowicie USA i Unia mają podobne zdanie na temat Iranu i rodzącej się antyperskiej koalicji.

Warszawska konferencja pokazała, że w kształtowaniu się nowej konfiguracji na Bliskim Wschodzie Unia ma wszelkie dane nie odegrać żadnej roli, ponieważ zakleszczyła się myślowo na wrogości wobec Trumpa i obronie nieistniejącej już umowy Obamy z Persami. Rację mają oczywiście ci liczni przeciwnicy obecnego rządu polskiego, zarówno w kraju, jak i za granicą, podkreślający, że konferencja sympatii do władz polskich w Brukseli nie przysporzy. Przeciwnie, raczej utrwali tam przekonanie, iż trzeba dołożyć wysiłków, aby jesienią tego roku doprowadzić do zmiany władzy w Polsce. W tym sensie polska opozycja może się czuć (dość przewrotnie) usatysfakcjonowana.

NOWY UKŁAD SIŁ

Warszawska konferencja ma więc cztery zasadnicze polityczne skutki.

Po pierwsze – jest zapowiedzią globalnej koalicji antyperskiej, o której sekretarz Pompeo mówi, iż: „nie uniknie skonfrontowania się z Teheranem" (cokolwiek ów czasownik „confront" miałby znaczyć w ustach amerykańskiego ministra).

Po drugie – otwiera perspektywę historycznego „odwrócenia sojuszy" na Bliskim Wschodzie, gdzie Arabowie i Żydzi mogą połączyć siły dla powstrzymania Iranu. Taki nowy układ sił będzie zapewne zwiastować wiele nowych „konfliktów zastępczych" z Iranem, ale może także doprowadzić pewnego dnia do kolejnej wielkiej wojny na Bliskim Wschodzie, w której jednak tym razem Żydzi i Arabowie staną po jednej wspólnej stronie.

Po trzecie – po Warszawie trudniejsza staje się sytuacja Palestyńczyków, których interesy nie zostaną zapewne całkiem „sprzedane" przez świat arabski, ale też presja na ich polityczną kapitulację wobec Izraela będzie zapewne rosła, przede wszystkim w państwach arabskich. Wydaje się, że palestyński przywódca Abbas popełnił błąd, bojkotując warszawskie spotkanie, miast nie tylko być obecnym, lecz także głośno przypomnieć nowym sojusznikom o prawach swojego narodu.

Po czwarte wreszcie – dość nieoczekiwanie Bliski Wschód stał się jeszcze jednym punktem wewnętrznej niezgody i słabości Unii Europejskiej. Więc choć politycy polskiej opozycji kpili, iż rząd wziął na siebie rolę tego, „kto daje salę i zapewnia catering" (były minister Siemoniak), to realne polityczne znaczenie Warszawy okazało się całkiem niebłahe. Ba, jeśli popatrzeć na polityczny układ dzisiejszego świata, to widać, że spotkanie o takich skutkach nie mogłoby się chyba odbyć w żadnym innym punkcie globu.

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

W tej wojnie nie mamy sojuszników



Sekretarz stanu USA Michael Pompeo

Przegrywamy wojnę o prawdę i pamięć o naszej martyrologii podczas II wojny światowej. Coraz częściej jesteśmy też oskarżani o współudział w Holokauście. Dlaczego tak się dzieje?



GRZEGORZ GÓRNY

Z międzynarodowej konferencji bliskowschodniej, która w zeszłym tygodniu odbyła się w Warszawie, w pamięci Polaków najmocniej zapadną zapewne dwie wypowiedzi gości ze Stanów Zjednoczonych. Najpierw sekretarz stanu USA Michael Pompeo wezwał władze Rzeczypospolitej, by „poczyniły postępy w zakresie kompleksowego ustawodawstwa dotyczącego restytucji mienia prywatnego dla osób, które utraciły nieruchomości w dobie Holokaustu" (przy okazji sławiąc jako polskiego bohatera narodowego stalinowskiego oprawcę). Następnie amerykańska dziennikarka telewizji MSNBC Andrea Mitchell stwierdziła w swej korespondencji, że żydowskie powstanie w warszawskim getcie wybuchło przeciw „polskiemu reżimowi nazistowskiemu".

Obie te wypowiedzi pokazują, że wojnę o prawdę i pamięć przegrywamy z kretesem. Trzeba sobie jasno powiedzieć: w tej wojnie nie mamy na świecie sojuszników. Przebicie się z prawdą o ówczesnych wydarzeniach stoi bowiem w sprzeczności z interesami innych krajów i dominującymi tam narracjami.

NIEMCY: TO NIE MY, TO NAZIŚCI

Niemcy chcą zdjąć z siebie odium winy za Holokaust. Ich przemyślana i długofalowa strategia, poparta olbrzymimi środkami, przynosi widoczne skutki na świecie, ponieważ coraz powszechniej za głównych sprawców ludobójstwa na Żydach uważa się już nie Niemców, lecz pozbawionych narodowości „nazistów" (przy czym owi nieokreśleni naziści mieli swoich współpracowników wywodzących się już z konkretnych narodów, np. Ukraińców, Słowaków, Litwinów czy – jak się dowiadujemy – Polaków).

ROSJA: RATUNEK PRZED „SĄSIADAMI"

Także władzom Rosji jest na rękę opowieść o krwiożerczym polskim antysemityzmie. Staje się on bowiem usprawiedliwieniem sowieckich zbrodni i polityki ujarzmiania Polaków przez Moskwę. Pamiętajmy, że dla Rosjan wojna nie zaczęła się w 1939 r., lecz w 1941 r. W tej narracji Armia Czerwona,

eprasa.pl 8765b03b4d

wkraczając 17 września 1939 r. na ziemie II Rzeczypospolitej, nie dokonywała agresji, lecz spieszyła z akcją ratunkową. Zasłużyła tym sobie na wdzięczność całej ludzkości, gdyż uratowała Żydów od pogromów, jakie niechybnie zgotowaliby im polscy „sąsiedzi", tak jak stało się to później w Jedwabnem. Gdyby nie parasol ochronny, jaki nad ludnością żydowską rozpostarła władza sowiecka, Polacy dopuściliby się jeszcze gorszych zbrodni.

W 2001 r. Krzysztof Teodor Toeplitz na łamach „Przeglądu" pisał, że w ludobójstwie Żydów brali aktywny udział ci policjanci polscy, którzy nie trafili wcześniej do Katynia i Miednoje. Cytując tę wypowiedź, rosyjski historyk Stanisław Kunajew doszedł do wniosku, że NKWD, mordując polskich oficerów, po prostu walczyło z odwiecznym polskim antysemityzmem.

Ta strategia okazała się skuteczna np. w lipcu 1946 r., gdy zbiegły się dwa wydarzenia: podniesienie sprawy Katynia podczas procesu w Norymberdze oraz pogrom Żydów w Kielcach. W tamtych dniach na świecie bardziej rozpisywano się o Polakach jako zbrodniarzach niż ofiarach zbrodni. To ułatwiło zachodnim sojusznikom odwrócenie się od Polski i pozostawienie jej na łaskę Stalina. W ich optyce sowiecka okupacja ziem polskich stawała się równie konieczna jak okupacja ziem niemieckich przez aliantów, ponieważ w obu przypadkach oznaczała jedyną realną tamę zdolną zahamować rozwój patologicznego antysemityzmu.

IZRAEL: TYLKO HOLOKAUST

Własną politykę historyczną prowadzi również Izrael, gdzie po wyczerpaniu się ideologii syjonistycznej i w obliczu słabości tradycyjnego judaizmu to pamięć o Holokauście stała się najważniejszym sposobem integracji narodowej oraz budowania tożsamości współczesnych Izraelczyków. Głównym celem istnienia tego państwa – jak zauważył rabin Irving Greenberg – jest to, by nigdy więcej nie powtórzył się Holokaust. Jedynym gwarantem tego może być zaś tylko istnienie własnego, silnego, niepodległego państwa. Wszędzie w diasporze Żydzi zawsze będą narażeni na to, że znów staną się ofiarami mordów. W tej optyce cała Europa przedstawiana jest jako miejsce niebezpieczne, a najbardziej nieprzyjazna pozostaje Polska, gdzie znajdowało się epicentrum Holokaustu.

Pamięć o ludobójstwie sprzed lat mobilizuje wciąż nowe pokolenia Izraelczyków do obrony własnego kraju, otoczonego przez wrogich mu arabskich sąsiadów. Do Polski na „Holocaust tours" regularnie przywożone są wycieczki szkolne młodzieży w wieku przedpoborowym, które odwiedzają Auschwitz, Treblinkę, Majdanek, Umschlagplatz czy cmentarz żydowski w Warszawie. Nie mają żadnej styczności z mieszkańcami Polski, którą widzą jako „ziemię przeklętą", jedno wielkie miejsce kaźni swych przodków. Przewodnicy dają im stale odczuć, że nienawiść otoczenia i groźba Zagłady to nie kwestia odległej przeszłości, lecz dnia dzisiejszego. Wkrótce potem ci młodzi ludzie trafiają do izraelskiej armii. Po tym, czego się naoglądali i nasłuchali nad Wisłą, ich motywacja do walki z nieprzyjacielem jest jeszcze większa.

USA: TAK JAK IZRAEL

Żydowska narracja o II wojnie światowej została przejęta całkowicie przez Stany Zjednoczone, które są najwierniejszym sojusznikiem Izraela na świecie. Trafiła na amerykańskie uniwersytety, do tamtejszych elit i kultury masowej, łącznie z Hollywood.

Mamy więc już kolejne pokolenie ukształtowane przez tę wizję. Nic więc dziwnego, że nawet Barack Obama mówił o „polskich obozach śmierci".

FRANCJA: NIECZYSTE SUMIENIE

Ukazanie historycznej prawdy o Polakach w czasie II wojny światowej nie jest wygodne również dla Francuzów. Porównanie ówczesnej postawy obu narodów, a zwłaszcza ich władz, nie wypadłoby bowiem korzystnie dla rodaków Moliera i Balzaka (podobny problem nieczystego sumienia dotyczy zresztą innych narodów europejskich, które pozostawały sojusznikami III Rzeszy). O ile Polacy byli jedynym narodem, który nie kolaborował z Hitlerem, a nasze władze, zarówno na emigracji, jak i w podziemiu, potępiały ludobójczą politykę Niemiec, o tyle rząd w Vichy aktywnie współpracował z Berlinem w wyniszczaniu Żydów. Brytyjski historyk David Cesarini pisał: „Państwo to wprowadziło specjalne przepisy regulujące status Żydów (były bardziej restrykcyjne niż ustawy norymberskie), jeszcze zanim Niemcy ich o to poprosili. Z własnej inicjatywy zgrupowali też Żydów w specjalnych obozach, a potem wydali ich Niemcom, choć ci wcale ich nie chcieli! Niewiele lepiej było w północnej, okupowanej części Francji".

Te fakty nie przebijają się jednak do zbiorowej świadomości, natomiast utrwala się w niej obraz Polaków jako współsprawców Holokaustu. W tym kontekście nie dziwi to, że francuskie kina odmówiły niedawno dystrybucji amerykańskiego filmu „Azyl", przedstawiającego historię małżeństwa Żabińskich, którzy w warszawskim zoo ukrywali Żydów przed zagładą ze strony Niemców. Obraz nie pasował do panującej tam wizji II wojny światowej.

POLSKA: SPRAWCA, CZYLI PŁATNIK

To wszystko ma swoje wymierne konsekwencje. Inny jest bowiem status ofiar, a inny sprawców. Jeśli na trwałe przylgnie do Polaków opinia współsprawców Holokaustu, wówczas szanse na uzyskanie jakichkolwiek reparacji wojennych od Niemiec zmalejają do zera. Poza tym okaże się, że jako sprawcy nie wypłaciliśmy jeszcze odszkodowań tym, którzy byli naszymi ofiarami. Otwiera się więc droga do żydowskich roszczeń wobec Polski, które trudno nawet oszacować.

W tej sprawie zostaliśmy więc sami, a problem jest bardzo poważny. Wymaga on długofalowych, przemyślanych działań na wielu poziomach, obejmujących ofensywę dyplomatyczną, badania naukowe, działalność popularyzatorską, stworzenie narzędzi soft power ukierunkowanych na zagranicę, politykę wizerunkową czy kulturę masową. Nie należy żałować na to pieniędzy. Bo w przeciwnym razie będziemy musieli zapłacić znacznie więcej.

Fot. Tomasz Jastrzębowski/REPORTER

eprasa.pl 8765b03b4d



Bombowa opcja



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Rozmieszczenie w Polsce wyrzutni pocisków przenoszących broń atomową jest – na razie – dość niepewną i odległą ewentualnością. Warto jednak pamiętać, że bezpieczeństwo Polski nie polega na tym, aby taką ewentualność odrzucać. Wręcz przeciwnie

Minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz udzielił 1 lutego wypowiedzi dla internetowej edycji tygodnika „Der Spiegel". Jak wynikało z tytułu publikacji, Czaputowicz miał jakoby wzywać Stany Zjednoczone do rozmieszczenia w Europie rakiet z głowicami nuklearnymi. Szybko się okazało, że redakcja niemieckiego tygodnika – jak to dziś często w mediach bywa – nieco „podkręciła" słowa ministra.

W przesłanym w odpowiedzi na tę publikację oświadczeniu polskiego MSZ wyjaśniono, że tytuł nie odpowiada treści rozmowy. Czaputowicz wcale nie wzywa Amerykanów do instalacji nowych wyrzutni, lecz takiej okoliczności „nie wyklucza". Byłaby to – jak przypomniano – reakcja na naruszanie przez Rosję traktatu o całkowitej likwidacji pocisków rakietowych pośredniego zasięgu (INF) i rozmieszczenie takich pocisków w obwodzie kaliningradzkim.

W niemieckim tygodniku czytamy też, że w związku z agresywną polityką Rosji Czaputowicz dopuszcza „pewnego dnia" dyslokację na terytorium Polski pocisków nuklearnych NATO. Minister zastrzega wprawdzie, że rząd polski wcale sobie takiego scenariusza „nie życzy", ale – jak dodaje – „wszystko zależy od tego, jak Rosja zachowa się w przyszłości i czy będzie kontynuować swoją agresywną politykę zbrojeń". W swoim oświadczeniu MSZ prostuje jednak, że minister nie mówił wprost o Polsce, lecz o „naszej części Europy". „Ewentualne decyzje w kwestii miejsca stacjonowania tego typu broni należą do wyłącznej kompetencji NATO" – podkreśla w reakcji na artykuł ministerstwo. MSZ przypomina też, że broń jądrowa znajduje się dziś na terenie kilku państw europejskich, a Polska nie uchyla się od swoich zobowiązań sojuszniczych i wspiera politykę NATO obejmującą komponent nuklearny.

Po wydaniu oświadczenia przez MSZ opublikowany w internecie artykuł został skorygowany i usunięto z niego większość kwestionowanych zdań. Niezależnie jednak od „podkręcenia" wypowiedzi polskiego ministra przez niemiecki tygodnik problem potencjalnego rozlokowania w Polsce broni nuklearnej NATO jest jak najbardziej realny.

eprasa.pl 8765b03b4d



Fot. Shutterstock

Wraz z naruszeniem przez Rosję traktatu INF i ogłoszonym w odpowiedzi na te naruszenia wycofaniem się Stanów Zjednoczonych z jego zapisów uruchomiony został bowiem ciąg zdarzeń, który rzeczywiście może (choć nie musi) doprowadzić do rozmieszczenia w Polsce amerykańskiej broni nuklearnej.

KONIEC ROZBROJENIA

Dożywający – jak wiele na to wskazuje – swoich ostatnich dni traktat INF został podpisany w grudniu 1987 r. między Stanami Zjednoczonymi a ówczesnym Związkiem Sowieckim. Na jego mocy obie strony zobowiązały się do zakazu produkcji i magazynowania odpalanych z lądu pocisków rakietowych średniego oraz pośredniego zasięgu, a więc takich, których zasięg rażenia wynosi od 500 do 5500 km. Wystrzeliwane z lądu pociski uchodzą – zdaniem ekspertów – za szczególnie groźne, przede wszystkim dlatego, że znacznie trudniej wykryć moment ich startu, a co za tym idzie – w razie ataku tymi rakietami czas reakcji obrońców jest krótszy niż w przypadku dozwolonych pocisków wystrzeliwanych z morza i powietrza. Dotyczy to zwłaszcza rakiet balistycznych i pocisków hipersonicznych, które dzięki dużej prędkości są w stanie bardzo szybko dotrzeć do celu.

Zgodnie z zapisami traktatu do połowy 1991 r. Amerykanie zniszczyli m.in. swoje pociski Pershing-1 i Pershing-2, a Rosjanie – SS-20, SS-4, SS-5 i wiele innych. A gdy w 1996 r. niebędąca sygnatariuszem układu Francja również wycofała swoje pociski tej kategorii, zakazana traktatem broń całkowicie zniknęła z Europy.

Rozbrojenie nie trwało jednak długo. Po objęciu władzy na Kremlu przez Władimira Putina Rosja zaczęła kwestionować zapisy układu INF, sugerując, że niepotrzebnie objęto jego zapisami pociski o zasięgu poniżej 1 000 km. Moskwa zwracała też uwagę – akurat nie bez pewnej racji – że zapisami traktatu nie są objęte inne państwa posiadające broń jądrową. W 2007 r., a więc rok przed agresją w Gruzji, Putin – podczas swojej słynnej przemowy w Monachium, zwiastującej zaostrzenie kursu w polityce międzynarodowej – podał w wątpliwość sens dalszego udziału Rosji w INF.

Pretekstem do dalszej eskalacji stało się podpisanie w 2008 r. umowy na rozmieszczenie elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce i Rumunii. Rosja rozpoczęła wtedy testy opracowanego już wcześniej systemu naziemnych wyrzutni rakietowych Iskander. W ich skład wchodzą pociski manewrujące o oznaczeniu 9M729 (będące częścią kompleksu rakietowego Iskander-K), których zasięg – w ocenie ekspertów Pentagonu – może dochodzić nawet do 2 500 km, a więc jest znacznie większy niż dopuszczony przez traktat INF. Zasięg przekraczający dozwolone 500 km mają prawdopodobnie także pociski 9M723 (Iskander-M) oraz przystosowane do wystrzeliwania z iskanderów rakiety balistyczne.

Początkowo Stany Zjednoczone nie reagowały na rosyjskie testy nowego uzbrojenia. Dopiero w 2014 r., po inwazji na Krym i wybuchu wojny na Ukrainie, Barack Obama wysłał do Władimira Putina oficjalny list zarzucający Rosji naruszenie traktatu INF. Sytuacja nabrała dynamiki po objęciu władzy przez Donalda Trumpa, który w październiku 2018 r. stwierdził, że Stany Zjednoczone, w odpowiedzi na rozwój pocisków średniego zasięgu przez Rosję i Chiny, mogą wystąpić z układu INF. Ostatecznie – po nieudanych próbach porozumienia się z Rosjanami – 1 lutego Amerykanie rozpoczęli oficjalną procedurę wyjścia z INF, która ma potrwać pół roku, dając tym samym Rosji czas na reakcję. „Być może możemy wynegocjować inne porozumienie, dodając do układu Chiny i innych. A może nie możemy. Jeśli tak, to wydamy więcej pieniędzy i prześcignięmy innych w innowacyjności" – zapowiedział podczas tegorocznego orędzia o stanie państwa Trump. Wydaje się jednak, że Kreml podjął już decyzję, ponieważ zgodnie z zapowiedzią Putina Rosja również zamierza wystąpić z układu.

STREFA ŚMIERCI

Testy i produkcja rosyjskich pocisków średniego zasięgu łamiących postanowienia traktatu INF stanowią poważne zagrożenie dla równowagi sił oraz bezpieczeństwa w Europie. Pociski 9M723 kompleksu Iskander-M zostały w 2018 r. rozmieszczone m.in. w Czerniachowsku na terenie obwodu kaliningradzkiego. Mogą one stamtąd razić cele w niemal całej Polsce i to nawet przy założeniu, że ich zasięg – według oficjalnych zapewnień Rosji – nie przekracza dozwolonych 500 km. Jednak zdaniem ekspertów zasięg tych pocisków jest większy i wynosi co najmniej 700 km. Pociski te – jak informują rosyjskie źródła – mogą pędzić do celu z siedmiokrotną prędkością dźwięku na wysokości dochodzącej do 50 km, a więc poza zasięgiem amerykańskich systemów antyrakietowych Patriot. Na ich podstawie Rosja zamierza rozwijać inne – bardziej zaawansowane – konstrukcje pocisków hipersonicznych.

Równie dużym zagrożeniem są rakiety balistyczne przystosowane do wystrzeliwania z wyrzutni kompleksu Iskander. Choć oficjalnie ich zasięg również wynosi 500 km, nigdy nie testowano ich maksymalnych możliwości, aby nie naruszać tym samym traktatu INF. Wszystko jednak wskazuje na to, że te możliwości są znacznie większe niż

eprasa.pl 8765b03b4d

500 km. Podobnie rzecz się ma z pociskami 9M729 (Iskander-K), które stały się jedną z głównych przyczyn wycofania się Stanów Zjednoczonych z układu INF. Gdyby wystrzelić je z obwodu kaliningradzkiego (na razie ich tam nie ma), bez trudu dostarczą ładunek jądrowy nad dowolne miasto w Niemczech, we Francji, Włoszech czy w Wielkiej Brytanii. Amerykanie muszą mieć na to twarde dowody. Świadczy o tym to, że zdołali oni przekonać do swojego zdania wszystkich – nawet najbardziej sceptycznych – członków NATO. Nic zatem dziwnego, że w odpowiedzi na działania Rosji państwa należące do Sojuszu zaczęły rozważać modernizację potencjału nuklearnego NATO.

W przypadku Polski zagrożenie jest dwojakiego rodzaju. Jak wspomniałem, cała Polska jest już dziś w zasięgu pocisków 9M723 rozmieszczonych w obwodzie kaliningradzkim. Oznacza to nie tylko, że każde polskie miasto może się stać celem uderzenia jądrowego, lecz również, że celem mogą się stać jednostki NATO na naszym terytorium – zarówno te, które byłyby rozmieszczone w stałych bazach, jak i te, które będą zmierzać z odsieczą na wypadek wybuchu konfliktu. Inaczej mówiąc – obwód kaliningradzki stanowi coś w rodzaju twierdzy artyleryjskiej, z której można ostrzeliwać zaplecze NATO. Graniczącą z obwodem Polska jest narażona na najcięższe uderzenia. Można się domyślać, że Rosjanie przewidują przekształcenie naszego kraju w strefę śmierci, która ma oddzielać ich od pozostałych państw NATO i zniechęcać do podjęcia kontrofensywy.

Jednak dopiero testy pocisków 9M729 o większym zasięgu (Iskander-K), które mogą razić cele aż po Madryt, uprzytomniły członkom NATO, jak poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa w Europie mogą być rosyjskie wyrzutnie w obwodzie kaliningradzkim.

GWARANCJA BEZPIECZEŃSTWA

Zapowiedziane na ten rok wycofanie się Amerykanów z układu INF pozwala zareagować na to zagrożenie, choć może się to wiązać z wybuchem nowego wyścigu zbrojeń. Amerykanie będą mogli opracować własne pociski średniego zasięgu i rozmieścić je w Europie. O tym, że jest to skuteczna metoda odstraszania, przypomina historia samego traktatu INF, który Moskwa zdecydowała się podpisać dopiero wtedy, gdy Stany Zjednoczone rozmieściły w Europie pociski Pershing-2 i bezpośrednio zagroziły Związkowi Sowieckiemu.

> Polska jest narażona na najcięższe uderzenia. Można się domyślać, że Rosjanie przewidują przekształcenie naszego kraju w strefę śmierci, która oddzieli ich od pozostałych państw NATO

Niewykluczone, że i tym razem może być podobnie. Nowe amerykańskie pociski mogą ponownie trafić do Europy jako odpowiedź na rosyjskie iskandery. Jeśli do tego dojdzie, pojawi się pytanie, gdzie je rozmieścić. Jednym – choć z pewnością niejedynym – miejscem, w którym mogłyby stanąć amerykańskie wyrzutnie, jest Polska. Jak powinniśmy zareagować, gdyby pewnego dnia taka propozycja się pojawiła? Czy ją odrzucić? Moim zdaniem nie.

I nie chodzi tu tylko o kwestię solidarności wewnątrz NATO, lecz o zapewnienie Polsce jak najlepszej ochrony przed hipotetyczną agresją ze strony Rosji. Atak na wyrzutnie w Polsce oznaczałby wybuch wojny i natychmiastową odpowiedź ze strony NATO. Bez tych wyrzutni Rosja może się łudzić – pytanie, na ile zasadnie, nurtuje chyba wszystkich w Polsce – że Sojusz nie zaryzykuje globalnego konfliktu w naszej obronie. Oczywiście nie twierdzę tutaj, że musiałoby to się skończyć tak samo jak z zachodnią pomocą w 1939 r., ale nastroje w społeczeństwach zachodniej Europy, choćby sondaże wskazujące, że niewielu jej mieszkańców gotowych byłoby walczyć w obronie Polski i państw bałtyckich, powinny dawać nam do myślenia.

Rzecz jasna hipotetyczna zgoda Polski na przyjęcie amerykańskich wyrzutni nie oznacza automatycznie, że pociski trafią do naszego kraju. Jak słusznie zauważył minister Czaputowicz, decyzję o ewentualnym rozmieszczeniu takiej broni podejmują wspólnie państwa NATO. Nie zdziwiłbym się więc, gdyby niektóre kraje Sojuszu sprzeciwiły się rozlokowaniu rakiet w Polsce. Z różnych powodów. Na pewno pojawiłby się tradycyjny argument, aby jeszcze bardziej „nie rozdrażniać" Rosji. Usłyszelibyśmy też na pewno, że Polska jest zbyt „niestabilna politycznie", aby ryzykować umieszczanie tu wyrzutni. I fakty nie będą miały tu znaczenia. Trwająca od kilku lat kampania rozpowszechniania bzdur na temat naszego kraju za granicą wskazuje, że nie mamy skutecznych środków, aby się przed nią bronić. Należy się też spodziewać, że ewentualna debata na temat rozmieszczenia rakietowej broni jądrowej w Polsce natychmiast zostałaby włączona w wewnętrzny spór polityczny. Świadczyć o tym mogą utrzymane w drwiącym tonie komentarze w liberalnych mediach po wypowiedzi Jacka Czaputowicza dla „Spiegla" czy wcześniejsze – całkiem już otwarte ataki – na zgłaszane pomysły przyłączenia się Polski do natowskiego programu Nuclear Sharing (udostępnianie bomb jądrowych członkom NATO, którzy takiej broni nie posiadają). Można też być pewnym, że Rosja natychmiast rozpoczęłaby szeroką akcję dezinformacyjną, podobną do tej, którą Związek Sowiecki prowadził w Europie Zachodniej, gdy rozmieszczano tam pershingi. Również dziś – także w Polsce – znalazłoby się zapewne całkiem spore grono „pożytecznych idiotów" gotowych demonstrować „w obronie pokoju".

Rozmieszczenie w naszym kraju wyrzutni pocisków przenoszących broń nuklearną jest – na razie – jedynie dość niepewną i odległą ewentualnością. Warto jednak pamiętać, że bezpieczeństwo Polski nie polega na tym, aby taką ewentualność odrzucać. Wręcz przeciwnie.

23/0119/F

eprasa.pl 8765b03b4d

Parkuj koncertowo

na Lotnisku Chopina



bezpośrednio przy Terminalu

taniej przy zakupie on-line

Podróż zaczyna się od… postoju. Skorzystaj z wygodnego parkingu tuż przy Terminalu i ciesz się spokojnym lotem.

Szczegóły na: lotnisko-chopina.pl

LOTNISKO CHOPINA WARSZAWA

eprasa.pl 8765b03b4d

Komuna warszawska w natarciu

„Armia Ludowa pokonała Lecha" – obwieściła „Gazeta Wyborcza" z iście urbanowską satysfakcją, relacjonując zmianę nazwy alei Kaczyńskiego. Na warszawskie ulice wróciła komuna. A miało być tak postępowo...



MARZENA NYKIEL



Postępowa Warszawa dla wszystkich Rafała Trzaskowskiego zadziwia każdego dnia bardziej. Tęczowy tramwaj różnorodności pędzi zrekomunizowanymi ulicami, a w szkołach, które niebawem mają wprowadzić ograniczenia dla lekcji religii, tańczy się równościowego poloneza. Jeszcze trochę, a marksistowska ideologia lewicy rozsiądzie się w stolicy na dobre.

Na razie z wielkim hukiem zrzucono tablice z nazwiskami postaci ważnych i godnych upamiętnienia, a w ich miejsce umieszczono tych, o których wstyd wspominać. Zamiast alei Lecha Kaczyńskiego mamy więc znowu Armii Ludowej. Prezydent Warszawy nie widzi w tym nic niestosownego. „Żołnierze Armii Ludowej wykrwawiali się za moje miasto" – rzucił w jednym z wywiadów. Jak słusznie skwitowali tę światłą myśl internauci, żołnierze Wehrmachtu też się swego czasu wykrwawiali.

Trzaskowskiemu nie przeszkadza też najwyraźniej uczestnik wojny bolszewickiej, stalinowski agent formujący sędziów wydających później wyroki śmierci na żołnierzy niezłomnych. Teodor Duracz zastąpił Zbigniewa Romaszewskiego, legendarnego antykomunistycznego opozycjonistę. Nie ma też ulicy bohaterskiego Hieronima Dekutowskiego „Zapory". Znów będzie nosiła imię Wacława Szadkowskiego – członka KPP, PZPR, zastępcy komendanta Centrum Szkolenia Oficerów Polityczno-Wychowawczych w Łodzi, walczącego w czasie II wojny światowej po radzieckiej stronie. Agenci sowieccy goszczą znów dumnie na ulicach wolnej Polski, a wszystko to dzięki staraniom i przy akceptacji członków partii, która nie przestaje wykrzykiwać sloganów o wolności.

Czy decyzję Rady Warszawy można uznać jedynie za wypełnianie prawa, jak przekonuje Platforma Obywatelska? Radni PO twierdzą, że przywracają jedynie naruszone przez wojewodę prawo, który zmienił nazwy ulic wbrew ratuszowi. Argumentują, że zmiany nie zostały wystarczająco uzasadnione. Dlaczego więc nie podjęli własnej inicjatywy, nie zaproponowali własnych nazw ulic? Mieli na to rok. Gołym okiem widać, że celem nie było załatwienie sprawy, ale wywołanie kolejnej wojny oraz pogardliwe zamanifestowanie Prawu i Sprawiedliwości mocy decyzyjnej władz stolicy. I choć ustawa dekomunizacyjna pozostaje w mocy,

eprasa.pl 8765b03b4d



Fot. Marcin Smulczyński/Super Express/East News

warszawskie ulice są czerwone i sławią komunistycznych „bohaterów".

Cała sprawa ma jeszcze jeden, boleśnie symboliczny aspekt – mimo że zmiany wdrażane są w ostatnich dniach, decyzja zapadła 13 grudnia 2018 r. Rafał Trzaskowski zaproponował powrót do nazw ulic sprzed dekomunizacji dokładnie w rocznicę ogłoszenia stanu wojennego. Pozostał przy tym głuchy na wołanie kombatantów, którzy w dniu posiedzenia Rady Miasta zwrócili się z apelem o nieprzywracanie nazw ulic i obiektów, które w jakikolwiek sposób upamiętniają osoby, organizacje czy miejsca propagujące zbrodniczy system totalitarny.

„W naszej wolnej ojczyźnie każda próba przywrócenia jakichkolwiek symboli komunistycznego zniewolenia przekreśla testament żołnierzy niepodległości" – tłumaczył wówczas zasłużony weteran, sędzia Bogusław Nizieński. „My, weterani walk o Niepodległość Rzeczypospolitej, represjonowani za wierność Polsce przez niemieckich, sowieckich i komunistycznych zbrodniarzy, zwracamy się z gorącym apelem do pana Rafała Trzaskowskiego, prezydenta Warszawy, przewodniczącej rady m.st. Warszawy oraz wszystkich radnych stolicy, o nieprzywracanie nazw ulic i obiektów, które w jakikolwiek sposób upamiętniają osoby [...] propagujące zbrodniczy system totalitarny, jakim był komunizm" – brzmiał apel odczytany przez sędziego Bogusława Nizieńskiego, dwukrotnie odznaczonego Orderem Odrodzenia Polski, żołnierza Armii Krajowej oraz Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. „Nadawanie ulicom [...] stosownych nazw i patronów ma cel budujący tożsamość kulturową i historyczną miejsca. [...] Doświadczenie historyczne Polski, a także jej niezwyciężonej stolicy, ma skłaniać do troski o pamięć także w sferze praktyki nazewnictwa ważnych dla stolicy miejsc" – apelowały środowiska kombatanckie w swoim liście. Nie pomogło...

Głos weteranów odbił się echem od stalowych serc i umysłów członków Platformy Obywatelskiej. Gorący i dobitny był za to odzew niepopierających Trzaskowskiego warszawiaków. „Byłeś w ZOMO, byłeś w ORMO, Teraz jesteś za Platformą. Na wniosek @trzaskowski_ w przedzień 13 grudnia nie będzie w Warszawie ulic Danuty Siedzikówny »Inki«, Grzegorza Przemyka, Stanisława Pyjasa, H. Dekutowskiego »Zapory«, Boh. z kopalni Wujek, Anny Walentynowicz, Zbigniewa Herberta" – napisał na Twitterze jeden z internautów. „#13grudnia ci, których rękoma wprowadzano #stanwojenny, nazywani przez posła PO »bohaterami państwa polskiego«, w przeddzień rocznicy @trzaskowski_ podpisuje się pod likwidacją ulic: Danuty Siedzikówny »Inki«, Bohaterów z kopalni Wujek, Anny Walentynowicz, Zbigniewa Herberta..." – napisał inny. „Za wykreślenie ulicy im. Danusi Siedzikówny wieczna hańba, prezydencie Trzaskowski" – dodał ktoś jeszcze.

„Danuta Siedzikówna »Inka«, Marek Edelman, Hieronim Dekutowski »Zapora«, Lech Kaczyński, Zbigniew Herbert, Jacek Kaczmarski, Grzegorz Przemyk i wielu innych Bohaterów Naszej Wolności straciło ulice w Warszawie. Wrócili komunistyczni patroni. To łajdactwo. Wstydź się, Warszawo" – napisał wiceminister sprawiedliwości Maciej Wąsik.

Refleksja nie przyszła. Równo dwa miesiące po tej skandalicznej decyzji zdemontowano tablice z nazwiskami Polaków walczących o wolną, suwerenną, niekomunistyczną Polskę. „Jaruzelski z Kiszczakiem pękaliby z dumy" – podsumował jeden z internautów. „Jeszcze pomnik »czterech śpiących« i będzie komplet" – dodał inny.

Kolejny rów, świadomie i dobrowolnie, został wykopany łopatą Rafała Trzaskowskiego. Faktem jest, że na początku grudnia ubiegłego roku Naczelny Sąd Administracyjny podtrzymał uchylenia WSA ponad 40 zarządzeń wojewody o zmianach nazw ulic w Warszawie. Według sądu sporządzenie opinii IPN, na której oparto zarządzenia, było niewłaściwe. Nikt jednak nie unieważnił ustawy dekomunizacyjnej. Ta przecież nadal obowiązuje. Można więc było albo pozostawić zmienione nazwy, albo zaproponować inne. Warszawska Platforma z Rafałem Trzaskowskim na czele wybrała inną, najgorszą opcję.

Czy coraz bardziej czerwona Warszawa Trzaskowskiego jest miastem dla wszystkich, jak zapowiadano w kampanii? Każdego dnia stołeczny ratusz udowadnia, że priorytetem programowym jest ideologia. Takie założenia nie sprzyjają porozumieniu. A to przecież dopiero początek...

eprasa.pl 8765b03b4d

Jan Olszewski i „okrągły stół”

Zmarł Jan Olszewski, polski patriota, socjalista niepodległościowiec, pierwszy premier III Rzeczypospolitej



PROF. ANDRZEJ NOWAK

Obalenie jego rządów przez obrońców układu z właścicielami PRL, jakie dokonało się 4 czerwca 1992 r., było dla mojego pokolenia czwartym wielkim doświadczeniem formacyjnym. Po natchnieniu, jakie przyniosły wybór Jana Pawła II, a potem jego pielgrzymka w czerwcu 1979 r., przyszło złamanie nadziei „Solidarności” przez stan wojenny. Po nadziei, jakie przynosił wynik głosowania 4 czerwca 1989 r., przyszedł wybór twórcy stanu wojennego na prezydenta – przez formalnych reprezentantów dziedzictwa „Solidarności”. A potem przyszło głosowanie przerażonych perspektywą lustracji „Bolka”, Tuska, Niesiołowskiego: właśnie 4 czerwca 1992 r. I zobaczyliśmy wtedy, tak jak to powiedział tamtej nocy premier Olszewski: czyja jest Polska. Pod czyją „serdeczną kontrolą” się znajduje.

Przypominam te doświadczenia, by nie dać zakłamać wspomnienia o wielkim polskim patriocie, dziedzicu Okrzei i Piłsudskiego. On był znakiem sprzeciwu wobec domowej hańby – „transformacji” PRL. Za zablokowanie umowy, jaką prezydent Wałęsa chciał zawrzeć wiosną 1992 r. z Moskwą, kosztem polskiej suwerenności, i za próbę lustracji zapłacił błyskawicznym odsunięciem od władzy przez koalicję strachu: strachu przed prawdą i strachu przed niepodległością. To trzeba dzisiaj przypomnieć.

Ponieważ śmierć premiera Olszewskiego zbiegła się z triumfalnie przypominaną 30. rocznicą rozpoczęcia obrad „okrągłego stołu” i próbą ponownej deifikacji tego mebla (oraz jego politycznych stolarzy), pozwolę sobie przypomnieć dotyczący tej właśnie kwestii fragment jednej z rozmów, jaką miałem zaszczyt przeprowadzić z Janem Olszewskim w 1996 r. (opublikowana została wówczas pod tytułem „Wyjście z szarej strefy” w „Arcanach”; dziś można ją przeczytać w całości w tomie „Filary Niepodległości”). Oto odpowiedź Premiera na pytanie o ocenę „okrągłego stołu”:

„Moje wątpliwości zaczęły się dużo wcześniej. Widzi Pan, od samego początku uczestniczyłem w imprezie, która najpierw tak się jeszcze nie nazywała, ale która na zasadzie naszego odpowiednika wobec tworzonej przy Jaruzelskim Rady Konsultacyjnej przybrała formę Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Różnice między mną a większością uczestników prac tego gremium zaczęły się rysować gdzieś w roku 1986, kiedy na fali pieriestrojki, tego, co się działo w Rosji, zaczęły się wyraźne tendencje, by i u nas szukać jakichś kompromisowych rozwiązań, wejścia w jakieś porozumienie z władzami. Ja wyrażałem wtedy przekonanie, że nie należy się do tego spieszyć, że coś się tutaj zaczęło naprawdę ważnego, w Rosji uruchomiony został początek jakiegoś ważnego procesu – wraz z pieriestrojką, wraz z głasnostią. Uważałem, że trzeba poczekać, aż się ten proces bardziej wyklaruje w swoich intencjach i celach, że za wcześnie w to wchodzić. W tym duchu występowałem na posiedzeniu Komitetu, apelowałem do Lecha Wałęsy. Ten sceptycyzm zachowałem do samego końca, do pojawienia się idei Okrągłego Stołu. Nie uważałem samej tej idei za złą, uważałem tylko, że czas pracuje dla nas, my się spieszyć nie potrzebujemy, tamci się spieszą. I to był główny powód, dla którego odmówiłem propozycji, by objąć kierownictwo grupy, która miała z naszej strony omawiać przy Okrągłym Stole sprawy wymiaru sprawiedliwości itp. – tzw. podstolika prawnego. Natomiast kiedy profesor Adam Strzembosz to objął, uznałem, że nie mogę nie udzielić jego grupie pomocy w zakresie mojej wiedzy czy doświadczenia, w charakterze eksperta. W ten sposób mogłem przynajmniej na takim roboczym pułapie obserwować, jak przebiegała cała ta procedura. Muszę powiedzieć, że ten przebieg nastroił mnie jeszcze bardziej sceptycznie do całej sprawy. Zobaczyłem, że nagłośnienie tego, danie temu oprawy propagandowej do czegoś zmierza. Zobaczyłem, że to nie jest wcale tak, że toczy się tutaj ostra walka, by wyrwać im jakieś ustępstwa, że oni się bronią, że my walczymy o jak najwięcej, oni o to, by dać jak najmniej. Zobaczyłem zamęt, zobaczyłem, że my wchodzimy w coś, w co nas się wprowadza, ale nie wiemy w gruncie rzeczy w co. Sądziłem wówczas, że to jest sytuacja całej naszej ekipy przy Stole, że cała nasza strona podobnie jak ja nie orientuje się do końca, w jaką grę jesteśmy wciągani. Zastanawiającą rzeczą było, jak przy Okrągłym Stole odnawiały się bliskie stosunki, odżywało ponad Stołem dawne koleżeństwo zetempowskiego pokolenia, tych ludzi, którzy kiedyś się podzielili; wydawało się, że są śmiertelnie skłóceni, a teraz okazywało się, że to są koledzy. Nagle odnaleźli się koledzy z dawnych lat, odżyły wspomnienia z lat młodości, wspólne doświadczenia z obozów wakacyjnych, wspólne



dziewczyny itd. Stopień zrozumienia i współżycia wzrastał szybko, pogłębiała się dobra komitywa. To był dla mnie następny sygnał alarmowy, że coś tu jest niedobrze. Rozmowy przy Stole nie były wcale takie ostre, obie strony starały się sobie wychodzić naprzeciw. Na to natomiast nakładała się ta niesłychanie nachalna oprawa propagandowa, która starała się przekazać odbiorcy przy telewizorze obraz ludzi, którzy spierają się gwałtownie ze sobą, ostro polemizują – przed tymi kamerami o wiele bardziej niż w rzeczywistości, przy stoliku. Coś było w tym fałszywego, nieautentycznego. Nie można było nie mieć wątpliwości. Kiedy obrady Okrągłego Stołu zostały ostatecznie przełożone na propozycję »niekonfrontacyjnych« wyborów, jeszcze okazało się, że w tych wyborach nawet w owym wąskim zakresie, w jakim społeczeństwo zostało dopuszczone, żeby wyrazić swoją wolną wolę, nie zostawiamy mu jednak żadnej swobody, tylko idziemy jako blok i żądamy od ludzi poparcia bez warunków i bez pytań: macie nas poprzeć, bo my jesteśmy waszymi reprezentantami z racji tego, że dopuszczono nas do stolika... Uznałem, że tego jest już trochę za wiele. To jest coś, w czym po prostu nie można wziąć udziału. Wielu ludzi mówiło mi wtedy: nie bądź idiotą, jeżeli teraz odmówisz udziału w tych wyborach, to nie będziesz miał żadnego wpływu na rzeczywistość. To był taki argument, który przypomniał mi rok 1956. W czasie odwilży po okresie stalinowskim wielu ludziom, nawet z opozycji, proponowano, żeby wstąpili do partii, bo przecież idzie nowy czas i ci, którzy zostaną z boku, nie będą mieli wpływu na rzeczywistość, bo można ją zmieniać tylko od środka... Nie miałem wątpliwości ani wtedy, ani w 1989 r. Wiedziałem, że proponuje nam się udział w naprawianiu czegoś, czego naprawić się nie da. Uważałem też, że do zmiany całego układu można się przyczynić, oddziałując nań z zewnątrz, a nie koniecznie w nim uczestnicząc. Okazało się, że od środka na pewno nie można go zmienić, ale tylko konserwować..."

Fot. Jacek Herok/Newsweek Polska/REPORTER

Pomoc powinna przyjść na czas

Młodzi ludzie w Polsce mają coraz większe problemy ze zdrowiem psychicznym. Dane są niepokojące. Okazuje się, że 3–5 proc. nastolatków cierpi na depresję, a prawie 20 proc. osób do 18. roku życia doświadcza przynajmniej jednego depresyjnego epizodu. Jest pomysł, jak im pomóc



Fot. Shutterstock

Autopromocja

eprasa.pl 8765b03b4d



DOROTA ŁOSIEWICZ

Można zatem założyć, że w każdej 30-osobowej klasie uczą się jedna lub dwie osoby z chorobowo obniżonym nastrojem. Trudno się dziwić. Psychologowie często zwracają uwagę, że dzisiejsze czasy obfitują w ilość bodźców, których nasz układ nerwowy nie może pomieścić. A co dopiero młody, rozwijający się organizm. Dziś dzieci, zamiast zarywać noce z powodu zaczytania ukochaną książką, niedosypiają z powodu Facebooka. Zajmują się lajkowaniem cudzych postów lub czekają na lajki pod własnymi. Albo publikują, albo sprawdzają, co inni opublikowali. Te lajki często budują poczucie ich wartości, są wyznacznikiem akceptacji w grupie rówieśniczej. Do tego dochodzi cyberprzemoc. Badanie 40-letnich trendów samobójczych w Polsce wykazało, że w latach 1970–2009 wskaźnik samobójstw wzrósł dwukrotnie. Dane statystyczne z wielu krajów wykazują, że samobójstwo jest drugą lub trzecią przyczyną zgonów przed 18. rokiem życia. Według GUS w Polsce w 2013 r. było 6 215 zgonów spowodowanych samobójstwami, w tym 23 w grupie wiekowej 10–14 lat; 195 w grupie 15–19 lat i 365 w grupie 20–24 lata. Dwa lata wcześniej prawie 600 młodocianych próbowało odebrać sobie życie. Wstrząsające statystyki dotyczące samobójstw wśród dzieci od lat nie ulegają poprawie i nie dają powodów do optymizmu. Wiele z ofiar cierpiało na depresję. Pomoc nie przyszła na czas. 23 lutego przypada Ogólnopolski Dzień Walki z Depresją.

TRZEBA REAGOWAĆ WCZEŚNIEJ

– W Polsce jest bardzo dużo dzieci i osób młodych, które potrzebują pomocy, a jednocześnie możliwości tej pomocy są bardzo ograniczone – mówi dr Artur Wiśniewski, lekarz psychiatra ze Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży Warszawa-Bielany. – Problem polega na tym, że dzieci nie dostają tego, co by mogły, na zupełnie podstawowym poziomie. Mamy poradnie, szpitale, ale brakuje całej reszty. To, co jest, należałoby określić systemem interwencyjnym, czyli pomoc pojawia się dopiero wtedy, gdy młody człowiek już się potnie czy w inny sposób targnie na swoje życie – dodaje dr Wiśniewski.

Tymczasem trzeba i można reagować wcześniej. „Depresja u dzieci, podobnie jak u dorosłych, wiąże się z długotrwałym obniżeniem nastroju. W przeciwieństwie do osób dorosłych u dzieci mogą się nasilić zachowania agresywne, destrukcyjne, autodestrukcyjne (np. samookaleczanie) i buntownicze, a także wzrasta drażliwość. Takie objawy nie mieszczą się w ramach klasyfikacji dotyczącej depresji. W związku z tym zdarza się, że u dzieci cierpiących na depresję stwierdza się zaburzenia zachowania lub nadpobudliwość psychoruchową, na przykład ADHD" – czytamy na stronie twarzedepresji.pl.

By pomoc przychodziła szybciej, pojawił się pomysł stworzenia w Polsce sieci środowiskowych centrów zdrowia psychicznego. Takie centra opierają się na nowatorskim w Polsce, ale sprawdzonym przez lata w krajach skandynawskich, Niemczech czy we Włoszech, modelu pomocy. Zakłada on odejście od zamkniętego leczenia szpitalnego, gdyż większość problemów, tak jak w przypadku chorób fizycznych, można rozwiązywać, nie wyłączając pacjenta z życia rodzinnego, społecznego czy zawodowego. Te nowoczesne centra zostały uruchomione w ramach wielu projektów unijnych. Głównym ich celem jest stworzenie i przetestowanie środowiskowego modelu świadczenia usług medycznych i społecznych dla osób z doświadczeniem kryzysu psychicznego – dorosłych oraz dzieci i młodzieży. Projekt w Polsce prowadzi Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie wraz z partnerami. Wśród nich są m.in. Fundacja „Leonardo", szpitale, instytucje naukowe, organizacje pozarządowe i jednostki samorządu.

– Mamy w kraju dużo aktywnych środowisk szukających rozwiązań. Zebraliśmy się więc razem, żeby opracować wspólną koncepcję pomocy dzieciom. Czerpiemy wzorce z Europy, dopasowując je jednocześnie do naszych potrzeb i problemów społecznych. I tak powstał pomysł stworzenia sieci środowiskowych centrów zdrowia psychicznego. Chodzi tu głównie o to, żeby myśleć o potrzebach dzieci i dorosłych. Zwrócić uwagę na zaniedbane relacje, wszyscy bowiem padamy ofiarą zbyt szybkiego tempa życia – mówi Mariusz Panek, prezes Fundacji „Leonardo", inicjator i współtwórca modelu usług środowiskowych, dyrektor

W POLSCE PL
Wspieraj nas, oglądając w sieciach kablowych
CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196
eprasa.pl 8765b03b4d



W Polsce realizowany jest projekt stworzenia sieci środowiskowych centrów zdrowia psychicznego. Otwarto już pierwsze placówki, w których pomoc specjalistów można otrzymać za darmo

Fot. Shutterstock

Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego Dorosłych w Wieliczce.

BEZPŁATNA POMOC TAKŻE W DOMU

O tym, że popyt na taką pomoc jest wielki, przekonał się mój rozmówca dr Artur Wiśniewski z pilotażowego Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego, które niedawno wystartowało na warszawskich Bielanach przy ul. Daniłowskiego 31. Od września 2018 r., czyli od momentu uruchomienia placówki, do końca roku pojawiło się w niej 500 potencjalnych pacjentów, prawie 300 dzieci objęto stałą opieką, odbyło się również ponad 980 wizyt domowych.

– Czym takie centra mają się różnić od już istniejących placówek? Podpowiedź jest w nazwie: „środowiskowe", czyli działające na miejscu, tam, gdzie młody człowiek najbardziej potrzebuje pomocy. W jego otoczeniu. Za uzyskanie pomocy w takim centrum nie trzeba płacić, w przeciwieństwie do prywatnej konsultacji psychiatrycznej – tłumaczy dr Wiśniewski.

W środowiskowych centrach zdrowia psychicznego działają zespoły, które składają się z doświadczonych psychoterapeutów, lekarzy psychiatrów, terapeutów środowiskowych, pielęgniarek i asystentów zdrowienia. Gdy trzeba, lekarz wypisze receptę, a osoba z zespołu pomoże w załatwieniu najpilniejszych spraw, które są niezbędne, by odzyskać zdrowie i wrócić do codziennego życia. Wsparcie dostępne jest dla wszystkich mieszkańców z obszaru działania danego centrum – bez opłat i skierowania. Wystarczy zadzwonić lub odwiedzić taką placówkę. Co więcej, w środowiskowych centrach zdrowia psychicznego nie ma kolejek – pomoc można otrzymać do 72 godzin od zgłoszenia. Gdy osoba potrzebująca pomocy nie może przyjść osobiście, zespół mobilny przyjedzie do niej. Czas rozmowy i liczba spotkań – to wszystko jest dostosowane do indywidualnej sytuacji, potrzeb i oczekiwań. Wizyty odbywają się z zachowaniem dyskrecji i poufności – zespół nie jest w żaden sposób oznakowany.

– Istotą naszego modelu jest to, że jest on inkluzywny, tzn. łączy wszystkie usługi związane ze zdrowiem psychicznym, jakie dostępne są na danym terenie. Chodzi o to, żeby udrożnić przepływy między podmiotami tak, by połączyć w jedną usługę cyklu terapeutycznego obszar medyczny, edukacyjny i społeczny. Tak, by pacjent, bez względu na to, czy to jest dziecko, czy dorosły, miał wrażenie ciągłości terapeutycznej. Chodzi o jak najlepszy rezultat terapeutyczny – tłumaczy Mariusz Panek.

PLAN POWROTU DO ZDROWIA

W Polsce po leczeniu szpitalnym tylko ok. 13 proc. osób wraca do pracy, pozostałe znów trafiają do szpitala psychiatrycznego. Tymczasem za granicą w ciągu pięciu lat aż 86 proc. pacjentów leczonych metodą „otwartego dialogu" wróciło do poprzedniej aktywności, a 82 proc. nie doświadczyło żadnych utrzymujących się objawów.

Na czym polega ta metoda? Wspólnie z osobą doświadczającą kryzysu psychicznego i jej bliskimi tworzy się indywidualny plan zdrowienia. To plan wspólnej pracy nad jak najszybszym powrotem do codziennego życia i włączenia na nowo do lokalnej społeczności. Decyzje są podejmowane otwarcie, w obecności pacjenta i rodziny. Poczucie bezpieczeństwa daje możliwość wypowiedzenia się i bycia wysłuchanym.

– Nasz projekt ma trzy główne filary: profilaktyka, usługi medyczne i usługi społeczne. Profilaktyka jest zaplanowanym i ważnym elementem przeprowadzanym w większości szkół na danym obszarze – wyjaśnia Mariusz Panek.

Przy rozwijaniu środowiskowych centrów zdrowia psychicznego konieczna jest dobra współpraca z samorządem. „Znam Bielany. Wiem, jak ogromne tu są potrzeby w zakresie opieki psychiatrycznej dla dzieci i dorosłych oraz dla rodzin w różnych obszarach. Sam projekt jest innowacyjny i daje coś nowego. Wszystkie jednostki w kraju będą nam za kilka lat zazdrościć" – mówił Grzegorz Pietruczuk, burmistrz dzielnicy Bielany, tuż przed otwarciem Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego. „To jest jak z Kolumbem, ktoś musi dopłynąć do Ameryki pierwszy" – nie krył optymizmu Pietruczuk.

W kryzysie psychicznym nieocenione jest wsparcie osób, które same go doświadczyły. Dlatego w centrach dla dorosłych oprócz lekarzy i psychoterapeutów pracują asystenci zdrowienia – osoby po kryzysach psychicznych, które po specjalistycznym szkoleniu są w stanie wesprzeć w pracy nad powrotem do zdrowia. Ważne jest także wsparcie dla rodziny osoby, która doświadcza lub doświadczyła kryzysu. Działania terapeutyczne obejmują więc pacjenta oraz jego bliskich.

eprasa.pl 8765b03b4d



Żeby to aż bolało

Gdyby nie wariactwo dziadka, jego szczególny patriotyzm, jakiś rodzaj choroby na Polskę – bo kto to widział, żeby prosty rymarz z jakiejś maleńkiej wsi zapisywał się jako jeden z pierwszych do Polskiej Organizacji Wojskowej, a potem, na ochotnika, szedł walczyć z bolszewikami – to jego syn Wacław Szewczyk zostałby zapewne inaczej wychowany... Rozmowa z Janem Jakubem Kolskim o filmie „Ułaskawienie”

Fot. Maciej Kosycarz/KFP/REPORTER

eprasa.pl 8765b03b4d



Z reżyserem, scenarzystą i producentem filmowym
***Janem Jakubem Kolskim** rozmawia*
Jolanta Gajda-Zadworna

Odbierając na ubiegłorocznym festiwalu w Gdyni nagrodę za scenariusz, przywołał pan słowa córki, która ustaliła, że „scenariuszostwo" jest przed „reżyserstwem". W pana przypadku trudno to jednak rozdzielić.

Jan Jakub Kolski: Prawdę mówiąc „reżyserstwo" jest nieco ważniejsze. Można nim zakryć słabości „scenariuszostwa", a już odwrotnie – nie bardzo. Ale... jeszcze nie umieram. Jeszcze ćwiczę mięśnie – co jest rzeczą kluczową w „reżyserstwie" – więc może się zdarzą nagroda za „reżyserstwo" i wspinanie się po schodach w Gdyni.

„Ułaskawienie" otrzymało jeszcze dwie statuetki: aktorską i za kostiumy (dla Moniki Onoszko). Ucieszyła pana nagroda za główną rolę dla Grażyny Błęckiej-Kolskiej?

Nadzwyczajnie, kosmicznie. Gdybym sam nie dostał żadnej nagrody, a ona by ją dostała, to i tak byłbym bardzo, bardzo szczęśliwy.

Pokazał pan „Ułaskawienie" w Gdyni, zebrał nagrody i... musiało minąć pięć miesięcy, by film trafił do widza.

Najważniejsze, że w końcu trafił.

Pięć miesięcy to i tak niewiele w perspektywie kilku dekad spędzonych z historią, która stała się podstawą scenariusza, a potem kilku lat przymierzania się do realizacji. Dlaczego trwało to tak długo?

Prawdę powiedziawszy, ten film przerastał wcześniej moje możliwości. Nie wiem, czy ostatecznie udało się dosięgnąć miary, którą wyznaczył, ale długo był poza moim ludzkim zasięgiem. Musiałem sięgnąć do rezerwuaru sił, który w wojsku nazywa się ZN – zapasem nienaruszalnym. I sięga się po niego tylko na czas wojny.

Przy „Ułaskawieniu" ZN pan naruszył?

Sięgnąłem do rezerwy zupełnie nieprzeznaczonej dla filmu. To był zapas dla mojego prywatnego życia: dla domu, dziecka, kotów. Zapas nienaruszalny.

Wierzy pan w to, że nic w życiu – czy to zawodowym, czy prywatnym – nie dzieje się bez przyczyny?

Wierzę, że każde wydarzenie czemuś służy, że Rozdawca wydarzeń, jakkolwiek go sobie wyobrażać – czy jako chmurę, czy starszego pana z brodą, czy energię amorficzną o jakimś kolorze i przezierności... – ma określony zamysł, coś chce we mnie, w każdym z nas, powołać. I zastanawiam się, co tak szczególnie ważnego chce mi powiedzieć, fundując mi w ostatnich pięciu latach takie masakrujące, ścierające w pył doświadczenia. Resztką sił wierzę, że to, co z tego wyniknie, będzie ważne; że ten film też ulokuje się pośród ważnych zadań, którym miałem sprostać, resztką sił, sięgając do zapasów nienaruszalnych.

Ten projekt jest z panem od dawna. Czy jego tytuł znaczył dawniej to samo, co dzisiaj?

Znaczył zupełnie co innego. Pierwsze „Ułaskawienie" napisałem świeżo po dostaniu się do szkoły filmowej, w latach 80. ubiegłego wieku. Nie byłem wówczas pewien, czy w ogóle uda mi się robić filmy. Napisałem scenariusz, z którego zostały tytuł i może przeczucie jednego wątku.

Ile miał pan wtedy lat?

27, może 28.

Coś się już w takim wieku o życiu wie, ale czy wystarczająco dużo?

Zdecydowanie za mało. I całe szczęście, że wówczas nie miałem możliwości zrobienia tego filmu. Jeden wątek się stamtąd przechował – człowieka siedzącego pod ziemią; zbrodniarza, który usiłuje odkupić swoje winy, odcinając się od świata, a z czasem tak się z tym oswaja, że już nie wychodzi do ludzi. Potem napisałem nowelę filmową do zbioru, który ukazał się w formie książki, ale i tego „Ułaskawienia" nigdy nie zrealizowałem. Na szczęście. Trzeci zapis pochodzi sprzed pięciu–sześciu lat.

Co się stało, że wrócił pan do tego pomysłu?

Coś. Jakaś szczególna matematyka. Ułożył się algorytm uruchamiający proces, na końcu którego jest ekran, a na nim film. Pododawały się różne zdarzenia. Żadnego pojedynczego nie potrafię uchwycić.

A pięć lat temu co dla pana znaczyło „ułaskawienie"?

eprasa.pl 8765b03b4d

Nie myślałem o tym. Wie pani, o tym się myśli później, jeżeli w ogóle się myśli. W procesie twórczym jest taka przemożność, która opiera się na rachubie intelektualnej. Sensy objaśnią nam krytycy, filmoznawcy. Ja się tym nie zajmuję. Czy pani zdaniem to jest mało intymny film?

Jest bardzo intymny.

To proszę mnie nie namawiać na kolejną intymność. Już wszystko, co miałem intymnego do powiedzenia, jest na ekranie. Teraz czekam na refleks od widzów.

Pytanie o sens tytułu wiązało się z przekazem, jaki niosły wcześniejsze wersje.

Ułaskawienie od poczucia winy, ułaskawienie od cierpienia, ułaskawienie od płaczu. Ułaskawienie od niespania w nocy, od pustki, która zawisła między bohaterami. Ułaskawienie od tego wszystkiego, od czego można je było dać, spełniwszy pragnienie, potrzebę, by dziecko pochować w spokojnej ziemi... I moje osobiste ułaskawienia, związane z moim życiem, z tragiczną śmiercią córki...

Nie musimy o tym mówić...

Ale... to już się stało częścią naszej rozmowy. Więc tak, to mnie wyposażyło w narzędzia, którymi mogłem „obsłużyć" opresję bohaterów. Grażyna też miała świadomość, że swoją opresją, swoim mrokiem, swoją rozpaczą wyposaża postać Hanki.

Domknijmy tę sprawę: bohaterowie znajdują ukojenie, spokój. Pan je dzięki temu filmowi znalazł?

Nie dedykowałem „Ułaskawieniu" takiego zadania.

20 lat temu na festiwalu w Gdyni odebrał pan Złote Lwy za „Historię kina w Popielawach" – film, którym wprowadził pan widzów w rodzinną przestrzeń i historię, współgrając ze świętowanym trzy lata wcześniej stuleciem kina. „Ułaskawienie" odwołujące się do dramatycznego wątku historii pana dziadków trafiło do Gdyni w stulecie odzyskania niepodległości. Przypadek?

Nie sugerowałem się rocznicowymi okolicznościami, bo to jest na zewnątrz. Miałem ważniejszy, wewnętrzny synchron. Mój dziadek, Jakub Szewczyk – ten z ekranu „Ułaskawienia" – był ochotnikiem w I Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. W czasie Bitwy Warszawskiej brał udział w szarży pod Arcelinem. Tej, w której 300 wariatów na koniach – wśród nich właśnie on, Jakub Szewczyk, 160 cm wzrostu – odwróciło losy bitwy, bo ruszyli na grupę bolszewików liczniejszą od nich ośmiokrotnie. I rozbili ją w pył. Pewnie miło by było, gdybym zrobił o tym film i gdyby trafił on do kina w stulecie odzyskania niepodległości. Ale... nie zrobiłem. „Ułaskawienie" jednak też się ze stuleciem synchronizuje.

W jaki sposób?

Bezpośredni. Gdyby nie wariactwo dziadka; jego szczególny patriotyzm, jakiś rodzaj choroby na Polskę – bo kto to widział, żeby prosty rymarz, z jakiejś maleńkiej wsi zapisywał się jako jeden z pierwszych do Polskiej Organizacji Wojskowej, a potem, na ochotnika, szedł walczyć z bolszewikami... Więc, gdyby nie ten dziadek, z jego zadziwiającym patriotyzmem, to jego syn Wacław Szewczyk zostałby zapewne inaczej wychowany.

Nie zostałby „Odrowążem".

I nie pojechałby 1 września bronić Warszawy, razem ze swoim ojcem, a potem jako 19-letni chłopiec nie poszedłby walczyć w AK, nie skończyłby szkoły Kedyw, czyli kierowania dywersją, nie zrezygnowałby z prawa i ekonomii na Uniwersytecie Łódzkim i nie poszedłby do lasu jako żołnierz podziemia niepodległościowego. I nie byłoby tego filmu. Inaczej potoczyłby się los moich dziadków, którego promieniowania doświadczałem jak mało kto, ponieważ w dzieciństwie u nich się wychowywałem. Mieszkaliśmy w izbie, która miała, ja wiem, 4 × 4 m.

Trafił pan do dziadków w wieku, w którym sporo już można zrozumieć.

Miałem 11–12 lat. To czas wyrzynania się wyobraźni, wrażliwości. Byłem więc tak blisko zdarzeń i rozmów, jak tylko można, bo w izbie 4 × 4 trudno zmieścić dwa łóżka. Miałem kozetkę. W moich nogach spały na przemian koty i psy. W nogach dziadków spały na przemian psy i koty. Dziadkowie spali w jednym łóżku, ja pod kątem prostym, przy drugiej ścianie. Wszystko było na wyciągnięcie ręki. Współczesność i przeszłość.

W „Ułaskawieniu" pogrążeni w bólu rodzice wyruszają w drogę, wioząc trumnę z ciałem syna.

Wcześniej stracili córkę, ciocię Stasię, też przez... miłość do Polski, przez bezrozumne jej oddanie. Muszę o tym powiedzieć: ciocia Stasia, młodsza o dwa lata od Wacka, też była w konspiracji, w Związku Walki Zbrojnej. Kiedy dziadka Niemcy wtrącili do Auschwitz (był szefem rejonu AK, doszło tam do wsypy i trafił do obozu). Wujo był wtedy ciężko ranny, ukrywał się w stodole w Popielawach, więc – dla bezpieczeństwa – Stasia została wysłana do szpitala w Piotrkowie, żeby ją tam przechował znajomy lekarz, ordynator chirurgii, który był w konspiracji. Na wszelki wypadek ten lekarz zrobił jej fikcyjną operację na ślepą kiszkę i biedactwo umarło. Wdała się infekcja, potem było zapalenie płuc. Jej śmierć była konsekwencją tej rodzinnej choroby na Polskę.

Taka miłość to złe wyposażenie?

Nie potrafię tego ocenić. Nie mam perspektywy; żyję w wolności, bez wielkiego ryzyka. Ale patrzę na tę moją biedną babcię: jedno dziecko jej właśnie umarło, mąż w Oświęcimiu i trzeba chodzić do Tomaszowa Mazowieckiego – 25 km – po bochenek chleba. I przechodzić przez granicę (między Generalną Gubernią a Rzeszą). I szabrować, żeby móc wysyłać mężowi paczki do Oświęcimia. I jeszcze doglądać rannego syna. A najmłodsza, czyli moja mama, wywieziona do rodziny w Lubochni, siedzi na kamieniu i czeka na swoją matkę. Opowiadała mi o tym. To mógłby być temat na kolejny film, ale go nie zrobię.

Dlaczego?

Nie chcę już wracać do przeszłości.

eprasa.pl 8765b03b4d



W „Ułaskawieniu" rodzice znajdują upragniony spokój w klasztorze, u najstarszego syna.

Ta część jest domyślana, „przyszyta" do prawdziwej historii. W rzeczywistości był on w oddziałach wartowniczych Armii Andersa.

Na ekranie, kiedy UB po raz kolejny profanuje grób syna, rodzice postanawiają przewieźć trumnę w bezpieczne miejsce i ruszają w długą drogę.

Dziadkowie nie wieźli trumny ze swoim dzieckiem. Odbyły się dwie lub trzy ubeckie ekshumacje, dotarłem do ich zapisu w IPN. Pomogli mi je znaleźć dr Bednarek i pan Jarosław Pązik, bardzo dociekliwy badacz, który zajmuje się dokumentacją takich rzeczy. UB w końcu uznało, że Wacław rzeczywiście nie żyje, przygotowało m.in. dokument z zaznaczonymi miejscami, gdzie trafiły kule. Tak się to wtedy robiło. Dotarłem też do zdjęcia wuja w trumnie. Dziadek nie wytrzymał, zamówił metalową trumnę i zalutował w niej syna. Ja poszedłem za marzeniem babci, która mówiła: „Synku, ja bym cię chciała pochować w spokojnej ziemi". W jakimś sensie spełniłem to jej pragnienie.

Pana wcześniejsze filmy łączą często materialny konkret z czymś niewymiernym, magicznym. W „Ułaskawieniu" magiczność zastąpiła metafizyka.

To pani osobiste doposażenie mojego filmu, ale... dziękuję. Mówiąc pewnym skrótem: by zdarzyła się metafizyka, musi być najpierw fizyka, więc starałem się o to zadbać, by to było tak prawdziwe, namacalne, by strach, cierpienie tak wyglądały przez oczy tych bohaterów, żeby to aż bolało. Za tym poszły moje starania. A mgła metafizyczna... no cóż – albo się rodzi, albo nie, w pojedynczych spotkaniach filmu z widzami.

Naprzeciw widzom wychodzą znakomicie dobrani aktorzy, rewelacyjnie współtworzący tę opowieść: Grażyna Błęcka-Kolska i Jan Jankowski, niesłusznie – jak widać po „Ułaskawieniu" – postrzegany jedynie jako aktor serialowy.

To był mój stanowczy wybór, mimo „dobrych rad", a nawet nacisków, jakich doświadczałem od różnych ludzi, no bo wcześniej jakieś komedyjki, jakieś seriale, ale co mnie to obchodzi. Trzeba umieć znaleźć w aktorze właściwe „wyposażenie" do roli i zostać przy swoich intuicjach. Znałem Janka – zagrał w moim debiutanckim „Pogrzebie kartofla".

Filmie z 1990 r., czyli parę lat minęło...

Tak, ale to coś ważnego zostaje, to szczególne złożenie cech przydatnych dla roli.

Czego przede wszystkim szukał pan u odtwórcy roli dziadka?

Nie da się tego zapisać skrótem, jak w tzw. briefie castingowym. Istotne, że to się odnalazło w postaci Jakuba, że odnaleźli to widzowie.

Realizując „Ułaskawienie", oddał pan to, co należne dziadkom?

Oddałem. I zobaczyłem też – to bardzo ważne – reakcję ludzi na ich historię. Spotkałem się z moim filmem poprzez widzów. Na innym poziomie. Doświadczyłem refleksu. To banał, ale go powtórzę, bo bardzo w niego wierzę: film ożywa dopiero pod naciskiem spojrzeń i serc widzów. I ten refleks, który odbija się od ekranu, to jest jedyna prawda filmu. Nie ma innej.

Powiedział pan kiedyś o doświadczeniu odbioru w kinowej sali: „Doskonała cisza i ciemność, która pozwala zobaczyć, kim się jest". Mam wrażenie, że w „Ułaskawieniu", wydobywając się – dosłownie i w przenośni – z bólu i ciemności grobu, sporo się dowiadujemy nie tylko o bohaterach.

Ja też sporo rzeczy w sobie zobaczyłem, ale skoro są prywatne, zachowam je dla siebie. Natomiast słyszę i widzę, jak mocno „Ułaskawienie" wpływa na ludzi. W rozmaite miejsca można chodzić po doświadczenia i po rozum. Jeśli ktoś pójdzie do mojego filmu, to może coś tam znajdzie.

Skoro nie chce pan już wracać do przeszłości, to co pan teraz pokaże?

Świat uciekinierów z domu dziecka; dzieci, które nie chcą, żeby je rozdzielono, więc postanawiają założyć własną republikę. Myślą, że to dość proste: wystarczy napisać konstytucję, wybrać rząd i już ma się ojczyznę. A potem odkrywają, jak wiele w tej ojczyźnie jest deficytów.

Bliżej panu w tym projekcie do „Króla Maciusia Pierwszego" czy „Władcy much"?

Do Maciusia. Pan Korczak jest nawet wprost cytowany.

Chyba nie muszę pytać, z myślą o kim pracuje pan teraz filmowo. Na koniec Gdyni usłyszeliśmy: „Jutro wracam do domu. Do... kotów, do kaczki, ale przede wszystkim do dziecka, do córci swojej, Poli. Wracam do ważnych spraw".

105/0119/F

eprasa.pl 8765b03b4d



STABILIZACJA, INNOWACYJNOŚĆ I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem najwyższej jakości paliw i produktów chemicznych. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Od lat działamy na rzecz wzmacniania bezpieczeństwa energetycznego państwa, w tym dywersyfikacji dostaw ropy naftowej.
Naszym celem jest stabilny i zrównoważony rozwój.
Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl 8765b03b4d

Zgrzyt w duszy



„Synu mój najmileńszy, nie poglądaj ku prawej stronie ani ku lewej nie patrz. Źli oni, jedni jako drudzy [...]" – tak Trela zaczyna to zaskakujące „Wyzwolenie". Zaskakujące, bo jak na siłę tego tekstu bardzo wyciszone. I wystawione dla pogodzenia obu stron polskiego sporu



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Czasami przed zapowiadaną premierą tytułu z arsenału narodowych arcydramatów aż trudno się powstrzymać przed obstawianiem, jakie będą intencje reżysera. Tak było przed „Weselem" Jana Klaty sprzed już niemal dwóch lat, które okazało się opowieścią o katastrofie hucznie zapowiadanych ideowych programów ostatnich lat, i chyba każdy się spodziewał, że takie właśnie będzie, choć przy okazji przerodziło się również w pożegnanie Klaty z dyrekcją w Starym Teatrze. W jakim sensie było więc tamto „Wesele" gestem wkurzonego, i wkurzonych – w tej roli wystąpili najlepsi aktorzy sceny przy placu Szczepańskim. Zresztą Klata, najprościej mówiąc, przedstawił dramat Wyspiańskiego wedle swych przećwiczonych publicystycznych chwytów. Nie było to złe, chociaż było dość oczywiste.

Ale z „Wyzwoleniem" jest znacznie trudniej. Tekst ten nie osadził się w naszej pamięci tak gruntownie, to jeden z kilku najbardziej zagmatwanych dramatów z naszego kanonu i więcej w nim nie tylko rozważań, lecz i formy na miarę dialogu filozoficznego, i to w duchu sofistycznym. Niemal każde zdanie zostaje natychmiast podważone, rozłożone na czynniki pierwsze, a wypowiadający podaje w wątpliwość sens własnej konstrukcji myślowej, nękany przez wątpliwości wobec wspólnoty, przed którą przemawia. Sofistyka – to uproszczenie, coś jednak jest w tym, że w „Wyzwoleniu" Konrad prezentuje ówczesną Polskę (tytuł ten Wyspiański wystawił dwa lata po „Weselu"), umieszczając zdarzenia na scenie krakowskiej, w centrum wyobrażeń narodowej zbiorowości, pozostając zatem wierny romantycznej egzaltacji, podczas gdy jednocześnie jego tyrady stają się kłębkiem logicznych sprzeczności. Czy to nie Wyspiański nazwał Wielką Improwizację z „Dziadów" „szaleństwem myśli"? W takim razie jak nazwać walkę Konrada z „Wyzwolenia"? To zagmatwanie protagonisty, tak naprawdę nieoferujące żadnego dobrego rozwiązania, jest chyba nazbyt skomplikowane jak na strukturę czegoś, co nazywamy dramatem. Bo w pewnym momencie Wyspiańskiemu już zabrakło przestrzeni, by myśl Konrada ciągnąć w nieskończoność. A wrażenie jest właśnie takie, jakby ona nigdy miała się nie skończyć. Słynne Maski z aktu drugiego pojawiają się niemal jak ostatnia deska ratunku; będą się zbliżać do bohatera, zadawać pytania, podrzucać polskie problemy do przepracowania, a on tej grze ulegnie. Niełatwo rozróżnić, czy Maski są kolejnymi odsłonami stanu umysłu Konrada, czy też symbolizują narodowe postawy i mity. Jedno jest pewne: ta męczarnia, którą on przeżywa z nimi, jest zazwyczaj torturą dla reżysera, który z „Wyzwoleniem" chce się zmierzyć.

Dlatego tego dramatu raczej nie da się potraktować publicystycznie, ale jeśli ktoś tak uczyni, pokaże strzęp „Wyzwolenia". Mimo to i tak obstawiałem, że Anna Augustynowicz w swojej wersji

eprasa.pl 8765b03b4d



Fot. Kasia Chmura-Cegielkowska/teatralna.com

opowie się po którejś ze stron naszych sporów, postawi na co mocniejsze cytaty, zredukuje wątpliwości autora i wyciągnie z niego esencję, czyli to, co u Wyspiańskiego odczytujemy jako swoisty akt oskarżenia Polaków.

Stało się inaczej i zapewne po premierowym pokazie w warszawskim Teatrze Polskim niejeden ideowy zakapior był zdezorientowany. Przede wszystkim Anna Augustynowicz wcale nie potraktowała „Wyzwolenia" jako tekstu, do którego miałaby podchodzić na zasadach innych niż te, które wybrała dla swego teatru. Ten spektakl jest konsekwencją jej poszukiwań, które można nazwać próbą zbadania, na ile słowo na scenie stwarza rzeczywistość i na ile sama ta rzeczywistość podlega aktorowi, reżyserowi, twórcom. To zatem dla artysty także powiedzenie sobie: sprawdzam. Czy w ogóle jestem w stanie powiedzieć coś więcej, niż zapisał autor? Dokładnie takie wątpliwości były ważne w „Ślubie" Gombrowicza, który wystawiła Augustynowicz w 2016 r. Z kolei Konrad z tego „Wyzwolenia" mógłby być nawet kolejnym wariantem Henryka z tamtego przedstawienia. Bo podobnie weryfikuje semantykę, a i jedną z jego udręk jest ciągła niepewność, czy poprawnie nazywa świat dookoła. Grzegorz Falkowski grający wtedy Henryka i teraz Konrada idzie tym tropem. Tyle że tym razem do scenopisu trzeba by jako hasło przewodnie dorzucić zdanie Konrada: „Dla mnie myślenie jest powietrzem", równocześnie pamiętając o słowach jednej z Masek: „Świadomość, która mu była śmiercią".

Siłą Grzegorza Falkowskiego jest precyzyjna wiedza o tym, że sceniczna obecność wynika z przetrenowania w sobie kwestii sensu i rangi każdej frazy. Inaczej mówiąc: nie da się rozmawiać z publicznością o ważnych sprawach, jeśli wcześniej nie przeprowadzi się dialogu wewnętrznego. Aktor najpierw musi przyznać wobec siebie: jeśli chcę im coś przekazać, powinienem wiedzieć, co to znaczy dla mnie. A jeśli nie wiem, także uczciwie byłoby pokazać to przed nimi. Chyba trzeba to nazwać po prostu pokorą.

W pierwszym akcie Grzegorz Falkowski zresztą pokorą musi się wykazać, bo po uzgodnieniach z Muzą i Reżyserem uruchamia na scenie widowisko, po czym zasiada na metalowych schodkach (takie same były dla niego miejscem kreowania rzeczywistości w „Ślubie") i obserwuje galerię narodowych typów. Anna Augustynowicz ustawiła wszystkich w głębi na obrotówce, która zatrzymuje się w momencie, gdy następna postać zaczyna przemawiać, stąd wrażenie, jakby wszyscy byli elementami katarynki. Podpowiada to też zacinająca się muzyka. Nie ulega jednak Augustynowicz chęci uproszczeń. Kaznodzieja, Prezes, Karmazyn czy inni nie są przerysowani, są raczej więźniami odwiecznych postaw i póz, tym bardziej że w jednej z końcowych sekwencji spektaklu noszą korony cierniowe... Pomiędzy ich oczywistymi gestami pojawiają się gesty trudniej zauważalne, lecz świetnie w tę zbiorowość wpisane: Karmazyn położy się Rejtanem, w którymś momencie Harfiarka (w fenomenalnej interpretacji Elizy Borowskiej) pojawi się w hełmie Małego Powstańca. Ale próżno szukać w tej realizacji zdecydowanych naddatków, nie jest ona bowiem jeszcze jednym przeglądem polskich traum, pokazywanym nam z uciechą godną reżysera teledysków. Chyba każdy wie, ile tego dziś w teatrze.

Jednak i dla konserwatystów to zadanie niełatwe. Rozmowa Konrada z Maskami to najtrudniejsze, co czeka nas w teatrze nastawionym na ideowy spór. Anna Augustynowicz postąpiła tu wyjątkowo odważnie, bo Masek nie ma, a ich słowa przejął Reżyser. Spowodowało to co prawda zakłócenia w proporcjach dialogu, bo Marcin Bubółka został wyznaczony jako ten, który uruchamia Konrada za każdym razem w podobny sposób, lecz ma to uzasadnienie, kiedy przyjmiemy, że Maski mogą mieć różny status.

Z kolei czerń i odcienie szarości, na których Anna Augustynowicz zawsze buduje przestrzeń, mogą się wydać zgranym chwytem, ale nie da się zaprzeczyć, że po raz kolejny, gdy ta artystka sięga po opowieść również o samej istocie teatru, działają i kierują uwagę na istotę scenicznej sprawy. Konfliktu racji. Mimo to czarna bluzka z długim rękawem i czarne spodnie Konrada/Falkowskiego nie są żadnym kostiumem buntownika, który wpaja nam, że teatr winien być ogołocony z wszelkich ozdobników. To bardziej zaproszenie do spotkania, bo w ten sposób – nie upodabniając się szczególnie do nikogo – aktorzy pozwalają nam na bycie blisko nich, bez barier i bez specjalnej misji. I kiedy Jerzy Trela, który w 1974 r. grał Konrada w niedoścignionym „Wyzwoleniu" Swinarskiego (dlatego teraz Augustynowicz nazwała rolę Treli Duchem Ojca nawiązując do „Hamleta"), tym razem w finale jako Stary Aktor w poruszających zdaniach o przemijającej sławie tego zawodu wyzna, że prawdziwie wielkie czyny zdarzają się jedynie w świecie realnym, okazuje się, iż nie pozostaje nam nic innego, jak po wyjściu z teatru zdobyć się na coś więcej. Inaczej cała ta iluzja nie ma najmniejszego sensu. Inaczej możemy tylko wraz z Konradem zacząć to przedstawienie od początku.

Stanisław Wyspiański, „Wyzwolenie"
reż. Anna Augustynowicz
Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana (Duża scena)
premiera: 29 stycznia 2019 r.

eprasa.pl 8765b03b4d



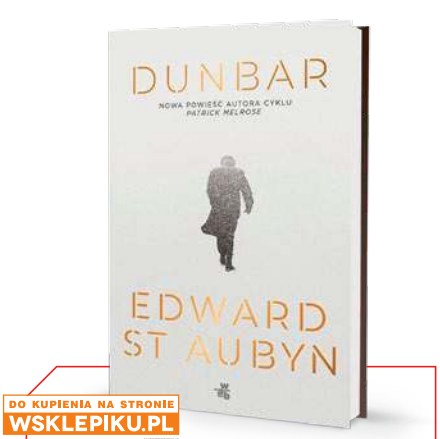
Wojciech ***Stanisławski***

„Mówili mi, że byłem wszystkim”

Kondycja króla Leara odradza się w wielu odmianach starości. Ale zasługą Edwarda St. Aubyna jest bardziej wnikliwe niż dotąd odmalowanie tych, którzy go detronizują

Nie mam zaufania do powieści, którym zafundowano zbyt huczną kampanię prasową i załatwiono miejsce we wszystkich witrynach. Tłoczenia i złocenia okładki nie wywołują we mnie szczególnego respektu, o ile nie mam do czynienia ze starodrukiem czy reprintem. To, że poprzednie książki St. Aubyna właściwie od ręki posłużyły za kanwę fabularną miniserialu, w którym amant o zbolałej twarzy usiłował, jak podają streszczenia, „wyzwolić się od demonów przeszłości” (fakt, który bez ogródek przypominany jest już na stronie tytułowej najnowszego dzieła), budzi we mnie podejrzenie, że powieściopisarz zrozumiał już, gdzie stoją konfitury, i w swojej twórczości będzie się odtąd zajmował wyłącznie pisaniem scenariuszy, dla prestiżu tylko przedstawianych jako wysoka literatura.

Uważna lektura „Dunbara” nie skłania do odszczekania tych podejrzeń. O, patroni sztuki powieściopisarstwa! Nie trzeba nawet zbytnio podkręcać diapazonu, apelować o pomstę do duchów Flauberta, Henry’ego Jamesa i Tomasza Manna; wystarczyłoby wykładowcy creative writing na studiach zaocznych, byle obdarzonego pewną dozą magnetyzmu, by ten spuścił na głowę St. Aubyna stosowny tuzin gromów za niechlujność narracji, pozostawienie licznych nierozwiniętych, urwanych w połowie scen, pojawianie się znikąd papierowych bohaterów, za niczym nieuzasadnione skoki fabuły lub jej fastrygowanie po to, by połączyć rozproszone wątki. I nie, nie mam wrażenia, by te kiksy były odważnym zabiegiem w rodzaju tych, na jakie ważyli się francuscy awangardziści sprzed pół wieku, którzy wywracali na nice swoje dzieło, by za pomocą dekonstrukcji ukazać „kryzys powieści”: widzę tylko sceny i kadry, które dzięki dobrej obsadzie zawalczą o Oscary za dwa, trzy lata. A że profesjonalny operator kamery potrafi pokazać więcej niż średniej klasy pisarz, widzowie, uwolnieni od konieczności przebijania się przez pretensjonalne zdania w rodzaju: „Nagie drzewa, z czarnymi gałęziami sterczącymi histerycznie na wszystkie strony, wyglądały jak ilustracje ośrodkowego układu nerwowego spustoszonego przez chorobę – anatomiczne szkice ludzkiego cierpienia wyrysowane na zimowym niebie”, zerkną po prostu przelotnie na kontury bezlistnych jesionów – i uwierzą.



Edward St. Aubyn, „Dunbar”, tłum. Maciej Płaza, Wydawnictwo W.A.B., 2018

Uwierzą, bo – w tym cały szkopuł – „Dunbar” jest powieścią, która nie pozwala się odłożyć na półkę, zmusza do zarwania nocy, chociaż domyślamy się przecież, jak się skończy, bo topos króla Leara, jak na razie, nieźle jest jeszcze osadzony w pamięci zbiorowej, a nawiązania doń są w książce St. Aubyna oczywiste. W istocie, jedną z większych zalet tej powieści jest przełożenie szekspirowskich scen z legendarnego, „bezczasowego” średniowiecza na realia całkowicie współczesne: jest to przekład celny i szczegółowy, a przy tym nieostentacyjny ani nieniewolniczy. Prywatni ochroniarze o kwalifikacjach komandosów i luksusowe domy opieki nie mają analogii w eposach i kronikach arturiańskich, w których pierwszy raz wspomniano o Learze; a jednocześnie nie mamy wątpliwości, że najprawdziwsze dramaty związane z przekazywaniem władzy i fortuny potomstwu nie rozgrywają się dziś w świecie koronowanych monarchów, których zadaniem stanie się dostarczanie treści magazynom ilustrowanym, lecz

eprasa.pl 8765b03b4d

wśród potentatów świata mediów i technologii, suwerenów Doliny Krzemowej, panów na bitcoinie i Amazonie.

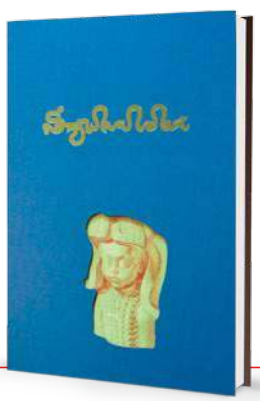
Jednym z nich jest właśnie pyszny, osaczony, posiwiały tytułowy Dunbar, który doświadcza w głębi umysłu „wojny niemocy z wszechmocą", mieszaniny pospolitej słabości i rozpadu osobowości, padając zarazem ofiarą zawiązanej przez dwie starsze córki intrygi. Jej szczegóły wydają się zbyt efekciarskie i mętne zarazem, jakby wzięte raczej z prawniczych thrillerów Johna Grishama niż należące do literatury wysokiej, podobnie jak końcowe wstrząsy przyspieszającej gwałtownie intrygi. Obraz współczesnych naśladowczyń szekspirowskiej Goneryli i Regan, które niedbale i wzgardliwie wyobrażają sobie „olbrzymią, niezróżnicowaną, banalną ludzką masę", kłębiącą się daleko poza szańcami ich ekscytującego świata daje natomiast mocno do myślenia i wydaje się bliższy prawdy niż fantazje na temat możnych i arystokratów, jakimi karmiły się przed wiekiem czytelniczki Mniszkówny. Całkiem niewykluczone, że myślącym podobnie jak bohaterowie St. Aubyna multimiliarderom poddane są dziś potężniejsze dziedziny niż szekspirowskie księstwa Kornwalii i Albany – a skoro tak, warto poznać ich sposób widzenia świata.

Orszaki, dworaki, szum orlich piór

„Dla niektórych obecna światowa sława Jorge Luisa Borgesa wiąże się nierozerwalnie z poczuciem osobistej utraty" – rozpoczął George Steiner jeden ze swoich esejów, pisanych w latach 70. Przypominają mi się te słowa, kiedy patrzę na rozgłos towarzyszący wydaniu albumu poświęconego dorobkowi Stanisława Szukalskiego. Mimo podejmowanych w ostatnich latach wysiłków (wydanie przez Lechosława Lemańskiego zbioru tekstów artysty, a następnie jego biografii), mimo pokazania na warszawskiej wystawie w 2017 r. tego, co ocalało z twórczości rozproszonej przez wojnę i emigrację, Stach z Warty pozostawał w znacznej mierze „artystą ukrytym", o którym więcej wiedzieli wtajemniczeni.

Zastanawiam się, co się stanie w sytuacji, gdy dorobek Szukalskiego będzie bardziej znany. Fala bezkrytycznego entuzjazmu wydaje się dość prawdopodobna – szczególnie wśród odbiorców zdystansowanych wobec postępów i labiryntów „sztuki współczesnej", tak nużąco pogrążonej w grze kryptocytatów i ujmującej wszystko w ironiczny cudzysłów. Przeciętny tradycjonalista osłania się przed tymi bezeceństwami, niczym puklerzem, solidnym płótnem Matejki (w lepszym przypadku – Gierymskiego), czując jednak niejasno, że twórcy ci powiedzieli już swoje ostatnie słowo jakiś czas temu i że warto byłoby mieć bardziej współczesnych „swoich artystów". Szukalski spada mu jak z nieba: rzeźbiarz nowoczesny, a figuratywny – ale widać, że to nie prosty realizm, nawet niewprawne oko zauważy cytaty z kubizmu, z art déco, z niepojętej sztuki prekolumbijskiej, a przy tym wszystko olśniewa przerysowaniem. Jak skrzydła, to na pół nieba, jak fontanna – to z rozmachem urbanistycznym godnym Nerona lub Sigalina; polichromowany gips, jedyne tworzywo, na jakie mógł sobie pozwolić Szukalski na wygnaniu, szkli się i błyska, ornamenty mrowią się niczym fraktale. A jeszcze ta obfitość polskich kontekstów i znaczeń: orły i toporły, Marszałek i muskularny Jan Paweł II, i jeszcze to, co najboleśniejsze: Katyń.

Mam nadzieję (choć może nie pewność), że sam Szukalski świadom był groteskowości swoich poszukiwań, że posługiwał się nią świadomie lub zamykał w autoironiczny cudzysłów. Obawiam się zarazem, że wielu jego entuzjastów może nie dostrzec lub po prostu „puścić mimo oczu" wszelkie te udziwnienia, fryzy i nadmiary. Pogodzą się i z resztą: animowane przezeń skandale można puścić w niepamięć albo złożyć je na karb skazy temperamentu, jego nieznośne filipiki antysemickie przysypał kurz. Wyzwania, jakie rzucał „artystom akademickim", budzą podobne rozbawienie, co jego ambicje słowotwórcze i językoznawcze, jakby żywcem wzięte z dorobku Hoene-Wrońskiego (choć przecież w tych poszukiwaniach zdarzało mu się trafić w sedno: „Młocarz", nazwa, jaką opatrzył swój projekt pomnika Jana Pawła II, dźwięczy i trwa). Co zatem począć, jeśli jakiś prostoduszny entuzjasta rozpocznie zbiórkę na wzniesienie na



„Szukalski" (posłowie Wawrzyniec Rymkiewicz), Fundacja „Evviva L'arte", 2018

podstawie zachowanych materiałów pomnika, który mógłby konkurować z dorobkiem p. Andrzeja Pityńskiego, specjalisty od wizerunków wytrzewionych niemowląt?

Trafiającej w sedno odpowiedzi udziela na to pytanie dopiero „Posłowie" do albumu, które nie tylko osadza artystę w kontekście poszukiwań, prowokacji i sporów artystycznych II RP (to potrafiłby zrobić i kompetentny historyk sztuki), nie tylko oddaje sprawiedliwość jego talentowi, technice, lecz i ograniczeniom. Wawrzyniec Rymkiewicz nazywa to, co jego zdaniem dostrzegł Szukalski, doświadczając nowoczesności w Chicago początku XX w., a co okazuje się znacznie ostrzej widoczne wiek później: jednym z największym współczesnych wyzwań jest potrzeba ocalenia tożsamości (własnej i wspólnotowej) przeciw transgresyjnej sansarze, kołowrotowi bezustannych przemian.

eprasa.pl 8765b03b4d

Adamski



Przejmujący obraz cierpienia

„Historia kina w Popielawach", „Jańcio Wodnik", „Jaśminum", „Pornografia", „Wenecja" – tytuły te zapewniły Janowi Jakubowi Kolskiemu miano jednego z najbardziej uznanych polskich reżyserów. Twórca magicznego realizmu w polskim kinie stworzył swój osobny język. Rozkochiwał widzów w ciepłej i magicznej prowincji. Po tragicznej śmierci córki Kolski nakręcił przejmujący „Las, 4 rano". Było też „Serce, serduszko" nagrodzone, co znamienne, na katolickim Międzynarodowym Festiwalu Filmów „Niepokalanów" we Wrocławiu. Obie produkcje nie wzbudziły jednak specjalnego entuzjazmu krytyki. Inaczej jest z nagrodzonym na festiwalu w Gdyni (scenariusz, główna rola kobieca, kostiumy) „Ułaskawieniem", w którym zagrała niewidziana w kinie Kolskiego od ośmiu lat jego była żona Grażyna Błęcka-Kolska.

W końcu się doczekaliśmy naprawdę dobrego filmu o żołnierzach wyklętych. Taka myśl mnie naszła po obejrzeniu osobistego dzieła Kolskiego. A przecież określenie „żołnierz wyklęty" nie pada nawet na ekranie. Kolski jest zbyt subtelny, by kręcić kino polityczne i propagandowe. Piotr Zaremba napisał, że „Ułaskawienie" to „hołd złożony wyklętym, bez sztampy i zbędnego patosu, a i z delikatnym przesłaniem: próbujmy zrozumieć i przebaczyć. Choć nie każdemu, bo czasem się nie da".

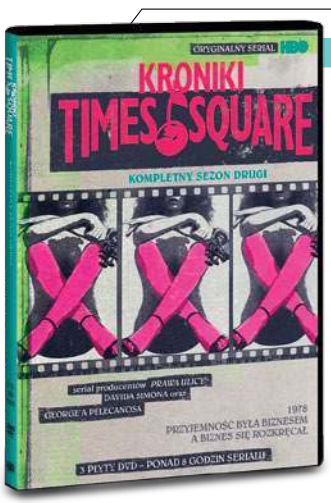
1946 r. Hanna (Błęcka-Kolska) i Jakub (Jan Jankowski) Szewczykowie muszą pochować syna. Zadenuncjowany przez konfidenta UB chłopak, nie godząc się na rządy komunistów, poszedł do lasu. Tego czerwoni oprawcy nie wybaczają i nie dają rodzinie spokoju nawet po śmierci syna. UB trzykrotnie odkopuje trumnę. Rzekomo po to, by kolejni świadkowie identyfikowali zwłoki. Chodzi o ostateczne upokorzenie rodziny. Szewczykowie zabierają więc trumnę z Popielaw i jadą na drugi koniec Polski, by syn mógł spokojnie spocząć w ziemi. Zamordowany Wacław Szewczyk był żołnierzem AK i bratem matki Kolskiego.

Kino



Reżyser nie ukrywa, że „Ułaskawienie" jest bardzo osobistym filmem nie tylko w warstwie historycznej. Kolski sam jest narratorem i wkomponował w akcję nakręcone na 16-milimetrowej taśmie ujęcia stylizowane na dokumentalne. To jednak opowieść znacznie bardziej symboliczna. Podróż Szewczyków przez Polskę jest podróżą po zatopionym w krwi kraju, ale też podróżą do własnej duszy. Kolski i Błęcka-Kolska przepracowują traumę po śmierci ich dziecka. „Ułaskawienie" staje się przez to filmem eschatologicznym i mitologicznym. Nie jest to tylko moralitet w podobnych narracyjnie „Trzech pogrzebach Melquiadesa Estrady" Tommy'ego Lee Jonesa. Kolski sięga po chrześcijańską koncepcję grzechu, kary, odkupienia i przebaczenia. Realizm utopionego w błocie i we krwi kraju miesza się z poetyką typową dla Kolskiego, tworząc jedną z najbardziej przejmujących filmowych wizji powojennej Polski.

„ULASKAWIENIE",
REŻ. JAN JAKUB KOLSKI, DYSTR. VELVET SPOON



DVD

Nowojorska Sodoma i Gomora

Nie byłem wielkim fanem pierwszego sezonu „The Deuce", który nie mówił o Sodomie i Gomorze Nowego Jorku lat 70. XX w. nic nowego ponad to, co widzieliśmy w kultowym „Taksówkarzu" Scorsese. Jednak kontynuacja opowieści o przemyśle pornograficznym Ameryki tamtego okresu intryguje. W latach 70. hipisowska rewolucja seksualna była melodią przeszłości. Postulaty wolnej miłości z flower power wpadły w sidła komercjalizacji i uprzedmiotowienia kobiet. Biznes pornograficznych filmów wyświetlanych wówczas w kinach (sic!) przejęła włoska mafia. Eldorado kończyło się wraz z rodzącym się na nowojorskich ulicach AIDS i erupcją narkomanii. Siłą serialu jest obraz zdumiewającej przemiany tzw. The Deuce, czyli 42. ulicy na Manhattanie. Kiedyś było to piekło. Dziś jest to lśniąca neonami, droga i turystyczna część okolic Times Square. Ten serial doskonale uzmysławia, jakiej przemiany doświadczył Nowy Jork po polityce „zero tolerancji" republikańskiego burmistrza Rudiego Giulianiego w latach 90. Warto obejrzeć też dla świetnych ról Maggie Gyllenhaal i Jamesa Franco.

„KRONIKI TIMES SQUARE",
REŻ. DAVID SIMON, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 8765b03b4d

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Przedziwna baśń



Kino

To jeden z najbardziej zdumiewających filmów, jakie kiedykolwiek oglądałem. Oparty na opowiadaniu popularnego autora powieści grozy Johna Ajvide Lindqvista zaczyna się jak klasyczny dramat obyczajowy. Potem przechodzi w thriller i ostatecznie staje się mroczną baśnią. Duńsko-szwedzka „Granica" Alego Abbasi opowiada o szwedzkiej celniczce Tinie. Kobieta wygląda, jakby cierpiała na rzadką chorobę genetyczną deformującą jej posturę. Ma wyjątkowo wyczulony węch i nieludzkie umiejętności łapania na granicy przemytników. Gdy trafia na podobnego do niej wyglądem włóczęgę, zaczyna się zastanawiać nad swoją przeszłością.

Abbasi opowiada uniwersalną historię nieprzystosowania się do społeczeństwa. To historia poszukiwania własnej tożsamości i oswajania inności. Na ile jesteśmy w stanie zaprzeczyć swojej naturze w imię norm społecznych? Czy da się żyć w oderwaniu od własnych korzeni? Czy można się wyrzec swoich kulturowych i etnicznych korzeni? To film o granicach geograficznych i granicach człowieczeństwa. Abbasi zanurzył temat w skandynawskim folklorze i mitologii, co daje mu zupełnie inny wymiar.

„Granica" to film o trollach znanych z nordyckich baśni Petera Christena Asbjørnsena, Selmy Lagerlöf czy Hansa Christiana Andersena. Zawsze wykluczone, wyobcowane, będące pomiędzy bogami a ludźmi trolle idealnie nadają się do popkulturowego tygla. Ich mitologia daje ogromne pole do interpretacji, wariacji i popisów wizjonerskich, co właśnie widać w gatunkowo eklektycznym (horror, romans i czarna komedia) filmie szwedzkiego reżysera. Co ciekawe, Abbasi nie używa mitologii trolli do jednoznacznej ideologicznej walki. Przecież mogłaby to być przenośnia sytuacji nieprzystosowanych imigrantów, których dyskryminuje społeczeństwo. W „Granicy" „inni" nie są potulnymi barankami. Są agresywni i zioną nienawiścią do ludzi. Gardzą ludzką kulturą i normami społecznymi. Chcą odwetu i destrukcji. Ich zemsta ma jednak uzasadnienie. „Granica" nie jest ani pro-, ani antyimigrancką przenośnią. W kontekście eugenicznej przeszłości Skandynawii można film interpretować jeszcze szerzej. Więcej jest w tej baśni pytań niż odpowiedzi. Więcej znaków zapytania niż moralizatorstwa. Mroczna to bajka i zmuszająca do nietuzinkowych refleksji.

„GRANICA", REŻ. ALI ABBASI, DYSTR. AURORA



Braterska miłość

DVD

„Jak pies z kotem" Janusza Kondratiuka wpisuje się w modę na tragikomiczne hollywoodzkie kino o umieraniu i chorobie. Kilka lat temu bliski perfekcji tego gatunku film nakręciła Kinga Dębska („Moje córki krowy"). Filmowi Kondratiuka do perfekcji wiele brakuje, choć dostaliśmy poruszający i bardzo osobisty obraz. Reżyser nie tylko obnaża swoją (w roli Kondratiuka Robert Więckiewicz) szorstką relację z bratem Andrzejem (znakomity Olgierd Łukaszewicz), lecz także snuje uniwersalną opowieść o cierpieniu – zarówno fizycznym, jak i psychicznym. To największa siła tego obrazu. Widok bezbronnego, wyniszczonego chorobą reżysera „Hydrozagadki", totalne obnażenie psychiki legendarnej Igi Cembrzyńskiej (fenomenalna Aleksandra Konieczna) powodują, że ten film jest czymś więcej niż kolejną słodko-gorzką opowieścią o kresie życia. Zaglądamy za drzwi sypialni polskich artystów, którzy kształtują naszą kinematografię od kilku dekad. Dla wielkiego aktorstwa i niezwykle osobistego wymiaru warto ten film jednak obejrzeć.

„JAK PIES Z KOTEM", REŻ. JANUSZ KONDRATIUK, DYSTR. GALAPAGOS

eprasa.pl 8765b03b4d

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Pani Ptak w kościele

Obejrzałem „Lady Bird" w stacji Canal+. Po pięciu nominacjach do Oscara i zachwytach Łukasza Adamskiego, zresztą nie tylko jego, myślałem, że padnę na kolana. Tymczasem film aktorki Grety Gerwig wydał mi się przyzwoitym zbiorem starych prawd, typowym dla dwóch amerykańskich tematycznych przemysłów: rodzinnego i szkolnego.

W dziedzinie fabuły jest pełen znanych archetypów. Konflikt dorastającej dziewczyny (Saoirse Ronan) z przeżywającymi kłopoty rodzicami. Dziewczyna musi się przekonać, że są sobie potrzebni, a nie ma lepszego leku niż rozłąka. Konflikt z chłopakiem (w tej roli modny dziś Timothée Chalamet), który za wcześnie wprowadza ją w dorosłość. Przeciwstawienie nieefektownej otyłej przyjaciółki przyjaciółce nowej, atrakcyjnej, ale takiej, na której trudno polegać. Gdybym prowadził kronikę takich filmów oglądanych wcześniej, wszystko bym znalazł. Nie jest to nawet zarzut, bo wszystko już było.

No dobrze, Łukasza rozumiem. Ciekawe, inne wydało mu się zakończenie. Filmy rodzinne i szkolne często bywają w swoisty sposób tradycyjne, bo radzące młodym ludziom, także w życiu uczuciowym, kierowanie się rozsądkiem, ale na ogół ta kalkulacja nie wynika z jakiegoś szczególnego systemu wartości. Tu Christine McPherson, która każe się nazywać Lady Bird (tak nazywano żonę prezydenta Lyndona Johnsona) chodzi do katolickiego liceum w kalifornijskim nudnym Sacramento, ale co rusz łamie zasady tej szkoły i odnosi się do nich z lekceważeniem. Posłano ją tam nie z pobożności, ale z przekonania, że jest w niej spokojniej. Na końcu jednak, już na studiach, dziewczyna poszuka nie tylko kontaktu z dawnym światem, lecz i z Kościołem.

Prawda to nietypowe, choć sprawia wrażenie raczej odruchu, nie jest zresztą pociągnięte. Wcześniej mamy jednak standard prawd dla nikogo niekłopotliwych. Prawda, zakonnice i księża są tu mniej antypatyczni niż w wielu innych produktach popkultury. Skądinąd przyjrzenie się takiej szkole, mocno już kapitulującej przed duchem cywilizacji, zachowującej bardziej pozory niż realne zasady, jest obserwacją ciekawą, może najbardziej interesującą, nawet jeśli zdawkową. Pokrywa się z grubsza z innymi obrazami filmowymi o takich miejscach – od ironicznego kryminału „Szkoła zgorszenia" po pogodną opowiastkę „Mów mi Vincent". W tym ostatnim katolicka szkoła przyjmuje chłopca Żyda i nie wie, czy egzekwować od niego prawdy wiary, i tak sprowadzone do paru banalnych haseł.

Zgadzam się, że coś w „Lady Bird" wychwycono, może mimochodem, łącznie z przewijającymi się w tle obrazkami z wojny irackiej (rzecz dzieje się za prezydentury Busha juniora), a więc z kawałkiem epoki. I nadal nie dostrzegam powodów do aż takiej ekscytacji. Konserwatystę Adamskiego jakoś rozumiem, nawet jeśli wyolbrzymia swoje „objawienia". Co szczególnego odkryła w „Lady Bird" normalna, często liberalna publika?



Tego dnia obejrzałem też na Kino TV film „Steel City" Briana Juna z roku 2006. Bardzo solidna opowieść z Johnem Heardem grającym faceta, który opuścił żonę i synów, a teraz próbuje to w szczególny sposób odpokutować. Wyznam, że bardziej utrafiła w moje emocje, nawet jeśli kościec fabularny też nie powalał na kolana oryginalnością. A oscarowych nominacji nie miał, prawdę mówiąc nie słyszałem o nim. Godząc na koniec wszystkich: po prostu Amerykanie są wciąż specjalistami od takich historii. I niech tak pozostanie jak najdłużej.

Piotr Zaremba



[…] ponieważ żyli prawem wilka
historia o nich głucho milczy
został na zawsze w dobrym śniegu
żółtawy mocz i ten trop wilczy

„Wilki", Zbigniew Herbert

TROPEM WILCZYM

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

PARTNERZY DODATKU

KGHM POLSKA MIEDŹ

PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY

FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

eprasa.pl 8765b03b4d

Pobiegnij z wilkami

3 marca 2019 r. odbędzie się największy bieg pamięci w Polsce. W VII edycji imprezy „Tropem Wilczym" wystartuje 70 tys. osób w ponad 360 miejscach w kraju i poza granicami RP



MARCIN WIKŁO

Dzisiaj trudno w to uwierzyć, ale pierwsza edycja biegu nie spotkała się z masowym zainteresowaniem uczestników. Nie dopisała pogoda, a na starcie zameldowało się niespełna 20 osób. Była jednak iskrą, która obudziła determinację sporej grupy ludzi, by budować potencjał biegu. Wtedy też zapadła decyzja, że nie można się poddać, że ideę uczczenia żołnierzy wyklętych w dniu ich święta należy kontynuować. Z roku na rok impreza jest coraz większa, dołączają kolejne miasta, kraje, kontynenty.

– Patrzymy z uznaniem, jak ten bieg się rozwija. To miał być po prostu ciekawy sposób na oddanie hołdu żołnierzom antykomunistycznego podziemia, a tymczasem urosło wydarzenie, które uczy i angażuje całe rodziny – mówi pomysłodawca imprezy Michał Dworczyk, były prezes fundacji Wolność i Demokracja, obecnie poseł i szef kancelarii premiera.

Rzeczywiście co roku mamy coraz to nowe oblicza biegu. Kolejne miasta prześcigają się w pomysłach na najciekawiej zorganizowane miasteczko biegowe, na terenowe gry rodzinne i oprawę artystyczną. W Warszawie w Forcie Bema dla biegaczy, ich rodzin i kibiców zaśpiewa zespół Tulia. Będzie też możliwość zatopienia się w wirtualnej rzeczywistości. Historyczne pokazy VR to coś, co zapiera dech w piersiach.



eprasa.pl 8765b03b4d

W tym roku organizatorzy szczególny nacisk kładą na mądre rozwijanie postaw patriotycznych. Misja edukacyjna już się właściwie powiodła, o wyklętych wiemy coraz więcej, czas zrobić kolejny krok. – Poza upamiętnianiem i uhonorowaniem naszych bohaterów od najbliższej edycji biegniemy z misją sztafety rozpoczętej przez niezłomnych. Sztafety, którą jest świadoma, patriotyczna postawa opierająca się na wykorzystaniu swoich talentów, realizacji pasji, wspieraniu słabszych, czyli budowaniu Polski i obywatelskiej postawy. Należy sobie zadać pytanie, jak nasi bohaterowie żyliby dzisiaj. Przecież to jasne, że poświęcaliby się dla innych, robili coś dla wspólnoty – mówi Barbara Konarska, rzecznik prasowy biegu.

NOWE OBLICZE

Jak ma wyglądać kontynuacja postawy żołnierzy wyklętych? Można oczywiście pobiec, by zamanifestować swój patriotyzm, by dać sygnał, że ich walka jest przez nas doceniana. Ale może się zdarzyć, że komuś nie uda się zapisać na bieg, bo każdy z lokalnych organizatorów ma określoną liczbę pakietów startowych. Co wtedy? – Proponujemy inne aktywności, z których popłynie wymierna korzyść – zapowiada Barbara Konarska. Prowadzone będą także akcje charytatywne. Ich beneficjentami będą potrzebujący, których lokalnie wyłonią ambasadorzy biegu.

Cała Polska skupi się na dwójce dzieciaków. Jednym z nim jest siedmioletni Bartek Orzechowski, który urodził się bez stopy, ale dzięki determinacji rodziców Karoliny i Damiana oraz hojności kieleckiej społeczności biegaczy ma fundusze na korygowaną wciąż protezę i rehabilitację. Dziś sam biega, ale nadal potrzebuje ćwiczeń, a to kosztuje. Chłopiec wie, jak wiele zawdzięcza dobrym ludziom, dlatego sam stara się odpłacać za dobro, które go spotyka. W tym roku on pobiegnie dla Małgosi Późnieckiej. To drugie dziecko, dla którego zbieramy finanse podczas VII Biegu „Tropem Wilczym". Dziewczynka cierpi na rzadką genetyczną chorobę, która dzień po dniu wyniszcza jej organizm. Jedynym ratunkiem na dzisiaj jest kosztowna kuracja w klinice w Stanach Zjednoczonych.

„Czas ucieka, a choroba postępuje, sprawiając ból i wyrządzając coraz więcej krzywd. Dla nas życie Małgosi jest bezcenne. Z punktu widzenia medycyny ma jednak swoją cenę. 4 mln zł – kwota, której nigdy nie mieliśmy i której nigdy mieć nie będziemy" – piszą ze smutkiem rodzice dziewczynki na platformie siepomaga.pl, gdzie można dokonywać wpłat.

– Tam, gdzie będzie to możliwe, miasteczka biegowe będą odwiedzane przez pracowników regionalnych stacji krwiodawstwa, każdy będzie mógł oddać krew – zapowiadają organizatorzy. Rzeczywiście, krew to dar bezcenny. Nie da się go kupić, ale można od kogoś dostać albo komuś dać i w efekcie uratować mu życie. Czy może być piękniejszy sposób na uczczenie pamięci tych, którzy wiele lat temu przelewali swoją krew, by ratować innych?

Z KRWI I KOŚCI

Kto kiedykolwiek zetknął się z Biegiem „Tropem Wilczym", wie, że duży nacisk kładziony jest na oprawę graficzną



Barbara Otwinowska

sanitariuszka i łączniczka AK (ps. Baśka, Witek Błękitny), maturę zdała na tajnych kompletach w 1944 r. Po powstaniu wywieziona na roboty przymusowe do Niemiec. Po powrocie do Polski w 1945 r. podjęła studia polonistyczne i romanistyczne, przerwane w 1947 r. aresztowaniem na trzy lata w związku z procesem rtm. Witolda Pileckiego. Więziona w Fordonie do 1950 r. Po zwolnieniu kontynuowała studia na Uniwersytecie Warszawskim. Pracowała w Instytucie Badań Literackich PAN. Uzyskała stopień doktora, następnie habilitowała się, a w 1986 r. otrzymała tytuł profesora. Zaangażowana w działalność środowisk kombatanckich. Odznaczona Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Armii Krajowej, dwukrotnie Medalem Wojska oraz Warszawskim Krzyżem Powstańczym. W 2005 r. otrzymała nagrodę Kustosz Pamięci Narodowej.

Bohaterka VII Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym" – 2019



Jerzy Stawski

kapitan Wojska Polskiego i Konspiracyjnego Wojska Polskiego, artysta, malarz. W czasie wojny działał w Szarych Szeregach, od 1 lutego 1943 r. zaprzysiężony na żołnierza AK przez Wacława Wrońskiego „Babinicza". Brał udział w akcjach wywiadowczych i sabotażowych. Więziony za udział w likwidacji szefa Gestapo w Radomsku. Brał czynny udział w akcji „Burza". Do 17 stycznia 1945 r. przebywał w lesie w oddziale pod dowództwem por. Karola Kutnickiego „Kruka".

Po 1946 r. zamieszkał w Łodzi, gdzie ukończył szkołę handlową. Poszukiwany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, przerwał studia ekonomiczne na Uniwersytecie Łódzkim i ukrywał się poza miastem. Obecnie w stopniu kapitana, na emeryturze, mieszka w Łodzi.

Bohater VII Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym" – 2019



Antoni Heda „Szary"

dowódca oddziałów partyzanckich ZWZ i AK, w okresie powojennym formacji niepodległościowych ROAK, DSZ, NIE. Generał brygady Wojska Polskiego. Podczas wojny obronnej w 1939 r. walczył pod Iłżą, a następnie na Lubelszczyźnie. Więziony przez Sowietów, skazany na pobyt w łagrze, zbiegł przed sowiecką wywózką. Osadzony przez Niemców w obozie w okolicach Terespola – uciekł i podjął działalność konspiracyjną w ZWZ. Wsławił się wówczas zdobyciem więzienia niemieckiego w Starachowicach i uwolnieniem ok. 80 przetrzymywanych tam więźniów. Walczył w składzie zgrupowania AK Jana Piwnika ps. Ponury.

Po zakończeniu wojny pozostał w konspiracji. Aresztowany przez UB, brutalnie torturowany. Otrzymał cztery wyroki śmierci, które ostatecznie zamieniono na dożywocie. Był więziony na Rakowieckiej, w Rawiczu i we Wronkach. Wyszedł na wolność w 1956 r. objęty amnestią.

Bohater VII Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym" – 2019

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 8765b03b4d

Bieganie jest całym moim życiem

Rozmowa z Jerzym Skarżyńskim, medalistą mistrzostw Polski w maratonie, ambasadorem Biegu „Tropem Wilczym" 2019



Dlaczego zdecydował się pan zostać ambasadorem Biegu „Tropem Wilczym"?

Jerzy Skarżyński: W ostatnich latach Bieg Tropem Wilczym, Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych czy inne biegi o charakterze patriotycznym gromadzą na linii startu coraz więcej uczestników. Rekord frekwencji w polskiej imprezie biegowej dzierży ubiegłoroczny poznański Bieg Niepodległości, który ukończyło aż 22,5 tys. chętnych. Wielu biegaczy bierze udział tylko w tego typu imprezach. To czytelny dowód na to, że duch patriotyzmu nie tyle się tli, ile wręcz płonie w sercach i umysłach Polaków. W takim tłumie trudno oczywiście o rekordowe wyniki, ale nie zawsze o to chodzi. Tutaj liczy się przede wszystkim udział.

Bieg „Tropem Wilczym" to również inicjatywa charytatywna, dzięki której zbierane są środki finansowe dla potrzebujących. To dla pana ważne?

Zawsze staram się wziąć udział w takich inicjatywach lub przekazać informacje za pomocą mediów społecznościowych o wydarzeniach, które łączą te funkcje – charytatywną i społeczną. W tym roku nieszczęśliwie się okazało, że moja wnuczka, która niedawno ukończyła siedem miesięcy, cierpi na bardzo rzadką genetyczną chorobę – MSA 1. Do tej pory pomagałem wielu innym dzieciom i nawet się nie spodziewałem, że ktoś z mojej ro-



Fot. Julita Szewczyk

i projekty koszulek z wizerunkami bohaterów – tych najbardziej znanych, jak mjr „Łupaszka" czy „Inka", ale także innych, których powinniśmy poznać. I to się dzieje. Niejednokrotnie widziałem, jak ktoś dostawał pakiet startowy z bohaterem, którego nie znał. To powodowało początkową konsternację, ale ostatecznie zadowolenie, bo na własną rękę można było czegoś się o tym człowieku dowiedzieć.

– Tegoroczni bohaterowie „Tropem Wilczym" to ci niezłomni, którzy przeżyli czasy ubeckiej represji i pokazali, że niezłomnym można być nie tylko w sytuacjach wojny i walki. Jeden z naszych bohaterów – kpt. Jerzy Stawski – żyje. Wszyscy oni pokazali swoim życiem, jak bardzo ich postawy mogą być nam



29/0219/F

eprasa.pl 8765b03b4d

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



PZU Mecenasem Muzeum Powstania Warszawskiego

PZU od lat z dumą wspiera ważne działania na rzecz kultury i zachowania pamięci historycznej. Pomagamy w odzyskiwaniu obiektów muzealnych, dzieł sztuki. Sprawujemy mecenat nad najważniejszymi i najcenniejszymi instytucjami pielęgnującymi kulturę i dziedzictwo narodowe Polski.

pzu.pl

eprasa.pl 8765b03b4d

dziny również będzie potrzebował takiego wsparcia, dlatego właśnie idea biegu jest mi jeszcze bliższa.

W jaki sposób warto się przygotowywać do biegu? O czym muszą pamiętać biegacze, którzy nie są zawodowcami?

Amatorzy biegania popełniają przed zawodami dwa zasadnicze błędy. Po pierwsze, lekceważą obowiązek zrobienia rozgrzewki. 10 minut truchtu, a potem zestaw najprostszych ćwiczeń rozciągających, skręty, skłony, krążenia i wymachy rąk oraz nóg czy podskoki, zagwarantują dogrzanie mięśni, co powinno uchronić je przed kontuzjami. Po drugie, nie można ruszać od startu zbyt szybko, bo zwykle skutkuje to zadyszką utrudniającą utrzymanie założonego tempa biegu. By do końca cieszyć się dobrym samopoczuciem, lepiej zacząć ostrożniej. To się zawsze opłaca.

Czym dla pana jest bieganie?

Bieganie jest całym moim życiem – robię to już od 45 lat i mam w nogach 100 tys. km. Dzięki temu zebrałem ogromne doświadczenie trenerskie i zawodnicze. Swoim bieganiem namawiam do biegania innych! Towarzyszyło mi to od zawsze i mam nadzieję, że nie zmieni się to w ciągu kolejnych lat. Ten, kto raz zasmakował endorfiny, której się doświadcza podczas treningów, będzie ćwiczył do końca swoich dni.

Jak wygląda trening profesjonalnych biegaczy?

O profesjonalnym treningu wolałbym nie mówić, żeby nie wystraszyć tych, którzy dopiero zaczynają. Mój osobisty rekord tygodniowy stanowi 254 km. To ogromne liczby, ale właśnie wtedy czułem, że „żyję". Mimo że prawie całe moje życie było poświęcone tylko treningom. Uważam, że biegacze powinni znaleźć swój „złoty środek" – należy dobrze rozplanować czas, by nie tylko bić rekordy życiowe, lecz również profesjonalnie się rozwijać.

Czy zamierza pan uczestniczyć w Biegu „Tropem Wilczym" w tym roku?

Niestety w tym roku jestem kontuzjowany i nie będę mógł wystartować w VII edycji, ale na pewno pojawię się w miasteczku biegowym w Szczecinie, aby wesprzeć i dopingować innych uczestników.



pomocne i jak są nam bliskie. Jak blisko nas byli wyklęci – opowiada Konarska.

W biogramach przeczytamy m.in. o Barbarze Otwinowskiej, sanitariuszce i łączniczce AK, która walczyła podczas wojny, a po niej pracowała i kształciła się, nie godząc się jednocześnie z komunistyczną rzeczywistością.

Warto przypomnieć także postać Antoniego Hedy, „Szarego" – dowódcy oddziałów partyzanckich ZWZ i AK, którego oddziały wsławiły się brawurowymi akcjami na Lubelszczyźnie i ziemi kieleckiej.

Władysław Siła-Nowicki brał udział w wojnie obronnej 1939 r., później działał w Armii Krajowej, ale najbardziej znany jest już jako powojenny współtwórca KOR i adwokat broniący członków „Solidarności" w procesach politycznych w okresie stanu wojennego.

Przypominamy również tragiczną historię Leona Lecha Beynara, który jako Paweł Jasienica pisał wspaniałe eseje historyczne. Ten adiutant Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" w 5. Wileńskiej Brygadzie AK był wyjątkowo perfidnie potraktowany przez bezpiekę po wojnie, podstawiono mu agentkę, która nie przestała na niego donosić nawet po tym, jak została jego żoną.

Na stronie internetowej tropemwilczym.pl jest także mapka, na której zaznaczono miejscowości biorące udział w biegu. Warto skorzystać z wyszukiwarki i zgłosić się do organizatora w swojej okolicy. Są tu większe i mniejsze miasta, miasteczka i wsie, w Polsce i za granicą. Czasem blisko, na Kresach II RP, a czasem nawet bardzo daleko: Afryka, USA, Australia.



Fot. Julita Szewczyk

34/0219/F

eprasa.pl 8765b03b4d

KGHM
POLSKA MIEDŹ

KGHM Polska Miedź S.A - Mecenas Złoty Biegu Pamięci Żołnieży Wyklętych TROPEM WILCZYM



eprasa.pl 8765b05bd



Fot. Zuzanna Kruschewska

Władysław Siła-Nowicki



adwokat, działacz polityczny, uczestnik wojny obronnej Polski w 1939 r., żołnierz AK oraz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość". Działacz opozycji antykomunistycznej w PRL, współpracownik KOR, sędzia Trybunału Stanu w latach 1992–1993, współtwórca i pierwszy prezes Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy. W latach 1943–1944 dowodził drużyną Kedywu AK. Walczył także w powstaniu warszawskim. Działalność w AK kontynuował w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość" w Lublinie, gdzie w latach 1945–1946 był także wiceprezesem zarządu wojewódzkiego Stronnictwa Pracy. Został aresztowany wraz z podkomendnymi 16 września 1947 r. w Nysie, podczas próby ucieczki na Zachód. Skazany na śmierć zamienioną na dożywocie. Z więzienia wyszedł w wyniku amnestii 1 grudnia 1956 r. Został zrehabilitowany w 1957 r. Był obrońcą w procesach politycznych m.in. KOR, KPN, a także członków „Solidarności" w okresie stanu wojennego.

Bohater VII Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym" – 2019

Leon Lech Beynar (Paweł Jasienica)



historyk, pisarz historyczny i publicysta. Autor cyklu esejów „Polska Piastów" (1960), „Polska Jagiellonów" (1963), „Rzeczpospolita Obojga Narodów" (1967–1972). Wnuk powstańca styczniowego i powstańca listopadowego. W czasie II wojny światowej oficer Armii Krajowej, uczestniczył w walkach o Wilno, przebywał w niewoli sowieckiej, przesłuchiwany przez NKWD. Wcielony do jednostki LWP w Dojlidach, z której zdezerterował. Od jesieni 1944 r. służył w 5. Wileńskiej Brygadzie AK, gdzie był adiutantem dowódcy brygady Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". Po wojnie przedostał się do Krakowa i w 1946 r. został współredaktorem „Tygodnika Powszechnego". 2 lipca 1948 r., podczas akcji likwidacji grupy wileńskiej, został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Wśród donoszących na niego osób pojawiła się agentka o pseudonimie Ewa, która po latach – nie przerywając współpracy z bezpieką – została jego żoną.

Bohater VII Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym" – 2019

Stanisława Rachwałowa



rozpoczęła działalność konspiracyjną, zostając sama z dwiema córkami po aresztowaniu męża, polskiego oficera, przez Sowietów we wrześniu 1939 r. Była wywiadowcą polskiej konspiracji. Więziona przez Niemców w aresztach w Krakowie, następnie w obozach koncentracyjnych: Auschwitz, Ravensbrück, Neustadt-Glewe. Po wojnie aresztowana, osadzona w komunistycznych więzieniach (Kraków, Inowrocław, Fordon). Nazywana „Pileckim w spódnicy".

Bohaterka VII Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym" – 2019

BIEGNIE CAŁY ŚWIAT

Przez kilka lat bieg zdobył sobie wierne grono przyjaciół, które wciąż się powiększa. Bieganie jest modne, coraz więcej znanych osób uprawia tę dyscyplinę i szuka imprez tematycznych. Te związane z historią są szczególnie ważne i eksponowane w biegowym kalendarzu. Tropem wilków biegają już dziennikarze: Mateusz Jarecki (TVP Sport, TVP3), Rafał Patyra (TVP), Michał Adamczyk („Wiadomości" TVP), autorka programu „O co biega?" Wiktoria Ozga (Canal +) oraz Oswald Rodrigo Pereira (TVP Sport).

Są z nami także ci, którzy zdrowy styl życia promują na swoich niezwykle popularnych profilach w mediach społecznościowych. Agnieszka Kamińska – instagramerka lifestyle'owa (instagram.com/ally_healthylifestyle), Weronika Poczwardowska – triathlon i kolarstwo (instagram.com/wtrzydziesciszesc oraz blog porekonstrukcji.wordpress.com), Dominika Kłoda – stretching (instagram.com/dominika_kloda), Karolina Jachimowicz – instagramerka lifestyle'owa, bieganie oraz zdrowy tryb życia (instagram.com/kjhealthy), Kamil Przybyszewski – bieganie, maratony (instagram.com/iam-przybyszevsky), Piotr Wójcik – influencer, zdrowy tryb życia (instagram.com/piterwojcik), Emilia Perz – bieganie, maratony (instagram.com/em_perz).

Bardzo aktywnymi ambasadorami Biegu „Tropem Wilczym" są też zaprzyjaźnieni z nami aktorzy: Dominika Figurska, Marcin Kwaśny, Jacek Rozenek i Michał Chorosiński.

W 2017 r. w biegu wzięło udział ok. 60 tys. uczestników z 281 miast oraz pięciu misji wojskowych za granicą (Kosowo, Afganistan, Irak, Kuwejt, Bośnia i Hercegowina), gdzie hołd żołnierzom wyklętym oddali nie tylko żołnierze z Polski, lecz również z USA, Węgier, Danii, Ukrainy. W ubiegłym roku liczba uczestników wzrosła do 70 tys. biegaczy. Podczas tegorocznej edycji będzie podobnie, pobiegnie ponad 70 tys. uczestników w 360 miejscach.

DLA KAŻDEGO

Choć brzmi to egzotycznie, bieg odbędzie się nawet na kontynencie afrykańskim. Jego ambasadorem w RPA

eprasa.pl 8765b03b4d



został Thomas Dlamini. Historia jego życia jest właściwie gotowym materiałem na scenariusz filmu sensacyjnego. Jako kilkuletnie dziecko porwany, w niewoli spędził prawie 10 lat. Wmawiano mu, że nazywa się Sibusiso Ntobela. Cudem odzyskany przez ciotkę wrócił w rodzinne strony, niestety nie żyli już jego matka i ojciec. Thomas poszedł do szkoły, zdał maturę, teraz studiuje dziennikarstwo. Jego pasją jest bieganie. Prawie codziennie przybiega do położonej niedaleko miejsca zamieszkania misji paulińskiej Centocow. To tutaj usłyszał o historii polskiego podziemia niepodległościowego. Żołnierze wyklęci bardzo mu imponują.

Od pierwszej edycji powtarzamy, że „Tropem Wilczym" to bieg naprawdę dla wszystkich. Dystansem obowiązkowym są 1963 m. To symbol, gdyż w 1963 r. zginął ostatni żołnierz wyklęty. W Majdanie Kozic Górnych na Lubelszczyźnie



Jacek Rozenek, aktor

Wspieram bieg od czterech lat. Temat żołnierzy wyklętych był w mojej rodzinie zawsze żywy, ale wtedy mówiło się o tym tylko szeptem, coś się mojemu ojcu czasem wyrwało, ale szybko zmieniał temat. Staram się przekazać moim synom nie tylko historię, lecz przede wszystkim wartości niezłomnych. Zabieram ich na wspólnotowe wydarzenia upamiętniające nasze polskie korzenie. W „Tropem Wilczym" też już biegli ze mną. Piękne jest to, że ten projekt to nie tylko manifestacja poglądów przez zakładanie tematycznej koszulki, lecz także możliwość zachowania się dojrzale, konkretnie. W sumie to zmusza nas do takiej szczerości, odpowiedzi na pytanie, kim jesteśmy. Projekt zaprasza do wzięcia udziału w akcji oddawania krwi, a przede wszystkim do tego, aby poczuć się odpowiedzialnym za Małgosię i Bartka, za ich zdrowie, życie. I to, jak się zachowamy, nasza reakcja, pokazuje nam prawdę o nas. To, że jestem ambasadorem tego biegu, ale też po prostu potrzeba bycia przyzwoitym człowiekiem sprawiają, iż każde z tych wołań, zaproszeń traktuję bardzo osobiście. One są do mnie. Do nas.

Ambasador VII Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym" – 2019

REKLAMA



eprasa.pl 8765b03b4d

w zasadzkę wpadł Józef Franczak „Laluś". Do organizatorów należy decyzja, czy zaproponować biegaczom inne długości trasy. Bywają jeszcze krótsze, by dać szansę dzieciom, ale także dłuższe. Często to 5 lub nawet 10 km. Choć w przypadku Biegu „Tropem Wilczym" najważniejszy jest udział, to zdarza się, że bite są rekordy trasy. Tegoroczną nowością będą konkursy drużynowe i rodzinne, te mają być specjalnie nagradzane.

Za najlepsze rezultaty, ale także za dobiegnięcie do mety należy się medal. Do tej pory była to symboliczna pamiątka z charakterystycznym odciskiem wilczej łapy. Tym razem wzór będzie inny, ale wilcza łapa pozostanie motywem przewodnim.

Organizatorem oraz pomysłodawcą projektu jest fundacja Wolność i Demokracja, mecenat nad wydarzeniem objął Instytut Pamięci Narodowej. Prezydent Rzeczypospolitej Andrzej Duda został poproszony o kontynuację Honorowego Patronatu nad tym wydarzeniem.



Prof. Krzysztof Szwagrzyk, wiceprezes IPN

IPN jest partnerem biegu od kilku lat. Widzę, jak ten projekt się rozwija, jak coraz więcej osób bierze w nim udział. Z kilkunastoosobowego porywu stał się przedsięwzięciem aktywnym na wielu kontynentach. Niewątpliwie motorem takiego progresu są sami niezłomni. Ich postawy, wierność, wartości, w zgodzie z którymi gotowi byli mimo konsekwencji żyć i dla których też gotowi byli umrzeć. Szukamy takich postaw w dzisiejszych czasach, bo one dają nam poczucie bezpieczeństwa. „Tropem Wilczym" to nie tylko bieg, nie tylko edukacja. To też wzorowanie się na postawach bohaterów niezłomnych przez włączanie się do konkretnych akcji społecznych: oddawania krwi, zbierania środków na pomoc w ratowaniu zdrowia i życia dwójki dzieci – Małgosi oraz Bartka. Projekt jest kontynuacją patriotycznych postaw polskich bohaterów. Pokazuje, że Polacy potrafią się pięknie łączyć. I że tym łącznikiem mogą być niezłomni.

Ambasador VII Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym" – 2019

AKCJA CHARYTATYWNA

Dobro zawsze wraca

Społeczność biegaczy jest bardzo hojna i swój wysiłek poświęca, by pomóc innym. W tym roku podczas Biegów „Tropem Wilczym" zbieramy pieniądze dla dwójki wspaniałych dzieciaków – Małgosi i Bartka

Bartek ma siedem lat, urodził się bez stopy. Rodzice byli załamani, nie było pewności, czy chłopiec kiedykolwiek zrobi samodzielnie choć jeden krok. Wtedy ich przyjaciele z Kielc zaangażowali się w inicjatywę „Biegam dla Bartka". Celem było zbieranie pieniędzy na protezę i rehabilitację. Imprezy gromadziły setki osób, wysokość wpisowego określono symbolicznie, licząc na hojność uczestników, którzy chcieli się pościgać na trasach wiodących przez podkieleckie lasy.

To było coś niezwykłego, bo Bartka, dla którego zbieraliśmy pieniądze, można było spotkać na trasie, biegli także jego rodzice, wioząc chłopca w wózeczku. Na mecie zorganizowanej na prawdziwym lekkoatletycznym stadionie czekały medale – wykonane z drewna, na parcianym sznurku; i poczucie, że zrobiliśmy coś ważnego.

Dzisiaj Bartek sam biega, gra w piłkę i cieszy się życiem jak większość dzieci w jego wieku. Wciąż wymaga rehabilitacji,



Wpłaty dla **Bartka** prosimy kierować na konto:
98 1140 1010 0000 5060 3200 1046
Pieniądze na leczenie **Małgosi** są zbierane poprzez platformę SiePomaga
www.siepomaga.pl/tropemwilczym



tegorocznej edycji „Tropem Wilczym" będzie towarzyszyła zbiórka pieniędzy na ten cel. Ale nasz mały bohater stara się też odpłacać za dobro, które go spotyka. Teraz to on jest ambasadorem biegu i swój dystans chce pokonać dla Małgosi, która cierpi na rzadką genetyczną, neurologiczną chorobę Canavan. Jej organizm jest stopniowo upośledzany, z tą chorobą żyje się ok. 10 lat.

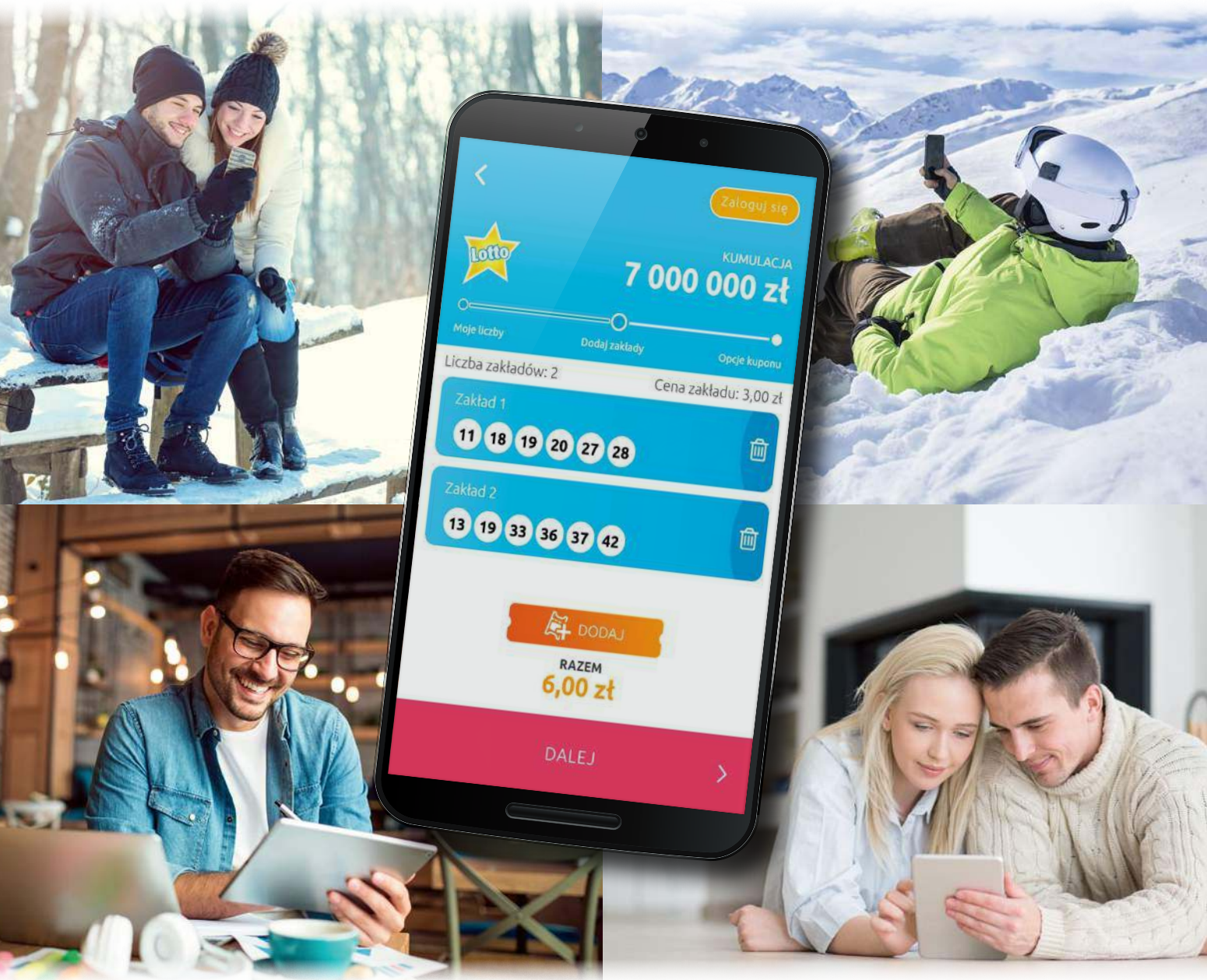
Dziewczynka ma prawie półtora roku, a jej bliscy mają nadzieję, że eksperymentalne leczenie w Stanach Zjednoczonych przyniesie przełom. Po wstępnej kwalifikacji na terapię przyszedł moment, w którym rodziców blokuje potężna bariera finansowa, potrzeba ok. 4 mln zł. Wspólnota biegaczy jest jednak bardzo ambitna, tata Małgosi wraz ze swoim teamem oraz fundacją PKO organizują akcję „Biegam dla Małgosi". Zobaczymy ich na trasach tegorocznej edycji Biegu „Tropem Wilczym".

32/0219/F | 28/0219/F

eprasa.pl 8765b03b4d

Graj, gdzie chcesz i kiedy chcesz

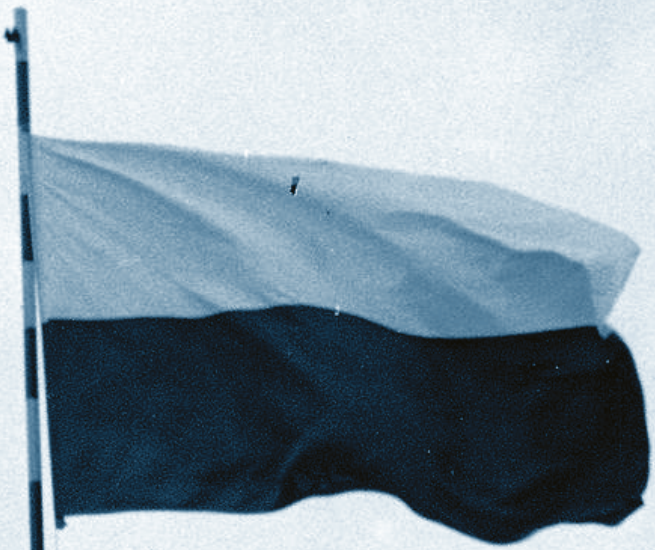
LOTTO JEST WSZĘDZIE



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl 8765b03b4d



PAMIĘTAMY

O ŻOŁNIERZACH WYKLĘTYCH

PKP

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna

eprasa.pl 8765b03b4d



Marian Irzyk przy pomniku pamięci mieszkańców Kozłówka i Markuszowej pomordowanych w 1943 r. przez Niemców za pomoc udzielaną Żydom

JAROMIR KWIATKOWSKI

Rozstrzelani za pomoc Żydom

3 lipca 1943 r. niemieccy żandarmi w odwecie za pomoc Żydom rozstrzelali pięciu mieszkańców Kozłówka i Markuszowej w powiecie strzyżowskim na Podkarpaciu: Feliksa Ciołkosza, Stanisława Oparowskiego, Aleksandrę Pirgę, Wojciecha Śliwę i Piotra Zagórskiego. Wcześniej podobny los spotkał Józefa Fafarę

Historia rodziny Ulmów z Markowej koło Łańcuta na Podkarpaciu stała się symbolem bohaterstwa Polaków ratujących Żydów w czasie II wojny światowej. Ale podobnych przykładów jest wiele. Także na Podkarpaciu. Oto historia mieszkańców dwóch wsi niedaleko Strzyżowa, którzy za pomoc ukrywającym się Żydom zapłacili cenę życia.

POMOGLI ZORGANIZOWAĆ KRYJÓWKI, PRZYNOSILI ŻYWNOŚĆ

Kiedy w lecie 1942 r. Niemcy rozpoczęli likwidację Żydów z powiatów krośnieńskiego i rzeszowskiego, części z nich udało się uciec. Grupa Żydów z Jasła, Frysztaka i okolic ukryła się w lasach w okolicach wsi Kozłówek, Markuszowa, Oparówka i Łęki Strzyżowskie, wykorzystując swoje przedwojenne kontakty, bardziej nawet o charakterze handlowym niż towarzyskim, z mieszkającymi tu Polakami. Nie ustały one wraz z wybuchem wojny i pewnie były na tyle mocne, że miały moc zobowiązania.

Polacy, mimo związanego z tym niebezpieczeństwa, przyszli z pomocą żydowskim znajomym. Polegała ona na wyszukiwaniu odpowiednich miejsc w lasach, w których budowano kryjówki, a przede wszystkim na dostarczaniu Żydom żywności. Jesienią 1942 r. w pięciu ziemiankach ukrywało się ok. 40 osób, którym pomagało kilkunastu Polaków.

Informacje o ukrywających się Żydach dotarły do Niemców, którzy zorganizowali kilka obław. W jednej z nich, przeprowadzonej przez Wehrmacht i żandarmerię, został ujęty Kiwa Diamant wraz z bratową. W trakcie

Zdjęcia Renata Kwiatkowska

eprasa.pl 8765b03b4d

przesłuchania zeznał, że pomocy udzielał mu Józef Fąfara z Kozłówka.

– Jego córka pamięta to, co opowiadała jej mama. Niemcy przyszli wieczorem i kazali ojcu pokazać, gdzie mieszkają inni Fąfarowie. Żona Fąfary stwierdziła, że nie potrzeba, by mąż gdziekolwiek wychodził, bo ten dom od nich widać. Ale Niemcy się uparli. Fąfarowa podobno chciała, żeby się lepiej ubrał, ale Niemcy powiedzieli, że nie trzeba, bo mąż za chwilę wróci. Nie wrócił... – opowiada Marian Irzyk, działacz „Solidarności" i społecznik z Rzeszowa, markuszowski rodak, którego staraniem w 2013 r. powstał pomnik upamiętniający mieszkańców Kozłówka i Markuszowej ratujących Żydów.

Józef Fąfara z Kiwą Diamantem zostali przewiezieni do siedziby gestapo w Jaśle. Tam skuto ich kajdankami, wyprowadzono na cmentarz żydowski i rozstrzelano. Nazwisko Józefa Fąfary także zostało umieszczone na pomniku.

ŻANDARMI SZLI OD DOMU DO DOMU

Według relacji świadków prawdopodobną przyczyną niemieckiej interwencji z 3 lipca 1943 r. w Kozłówku i Markuszowej było to, że jeden z ujętych Żydów, pobity podczas przesłuchania, zdradził Niemcom nazwiska mieszkańców obu tych wsi, którzy udzielili pomocy Żydom.

Akcja rozpoczęła się o 9 rano. Kierował nią Karl Perschke, żandarm z Wiśniowej. Dziesięcioosobowy niemiecki oddział chodził od domu do domu wskazanych osób i dokonywał egzekucji. Dwóch żandarmów udało się do gospodarstwa Jana i Aleksandry Pirgów w Kozłówku. Z zeznań córki Pirgów Heleny wynika, że szukali jej ojca, a ponieważ nie było go w domu, wrócili na skraj lasu. Zobaczyła ona wówczas mężczyznę w cywilnym ubraniu, kierującego akcją (był to zapewne Karl Perschke), który trzymał w ręku papiery będące najprawdopodobniej wykazem osób przeznaczonych do rozstrzelania.

Po rozmowie z „cywilem" żandarmi wrócili do gospodarstwa Pirgów. Po drodze spotkali Aleksandrę Pirgową z dwiema córkami. Córkom kazali zostać na polu, a Pirgową zaprowadzili na podwórze jej domu. Tam kazali jej wejść do piwnicy i wtedy ją zastrzelili. To pomieszczenie, jak również dom, zachowały się do dziś w niemal nie naruszonym stanie.



Marian Irzyk (z prawej) ze zmarłym w 2014 r. Józefem Zagórskim, świadkiem zbrodni popełnionej w 1943 r. przez Niemców na mieszkańcach Kozłówka i Markuszowej pomagających Żydom. Zdjęcie wykonano we wrześniu 2013 r.

Mniej więcej w tym samym czasie inna, trzyosobowa grupa żandarmów, pojawiła się w obejściu Katarzyny Fąfary w Markuszowej. Tam zastrzelili jej sąsiada Feliksa Ciołkosza, który akurat – w ramach sąsiedzkiej przysługi – składał wóz na siano. Według relacji świadków jeden z Niemców miał krzyczeć do Ciołkosza, że przetrzymuje Żydów. Ciołkosz zaprzeczył. Wówczas żandarm strzelił do niego od tyłu. Sąsiadka Fąfarowej Stefania Rypyść po odejściu Niemców poszła do Fąfarów. Jak stwierdziła, Ciołkosz miał przestrzeloną głowę i w jej obecności zmarł.

Po zastrzeleniu Pirgowej i Ciołkosza na dźwięk gwizdka wszystkie grupy biorące udział w pacyfikacji zebrały się na skraju lasu. Po naradzie żandarmi poszli w kierunku centrum Kozłówka. Po drodze zastrzelili Piotra Zagórskiego.

– Miałem wtedy 15 lat – opowiadał mi we wrześniu 2013 r. syn Zagórskiego Józef, mieszkaniec Markuszowej (zmarł w październiku 2014 r.). – Pamiętam, że to była sobota. Byliśmy z bratem przy domu, mieliśmy za chwilę jechać w pole przeorać kapustę. Patrzymy, a tu z lasu wychodzą Niemcy. Ich dowódca – Karl Perschke – zapytał po polsku, gdzie mieszka Zagórski. Nic się nie odezwaliśmy. Perschke zapytał, czy to dobry gospodarz. Odpowiedzieliśmy, że dobry. Zaklął coś po niemiecku i poszli dalej. Znaleźli tatusia pod lasem, w prosie. Nawet do niego nie podchodzili, tylko Perschke przywołał go do siebie. Sąsiadka opowiadała później, że słyszała, jak zarzucał tatusiowi, iż dawał Żydom jeść. Perschke wykręcił mu ręce do tyłu i strzelił w głowę. Później żandarmi odeszli, lecz jeden jeszcze wrócił,

eprasa.pl 8765b03b4d

prawdopodobnie, żeby się upewnić, że tatuś rzeczywiście nie żyje. Za chwilę usłyszeliśmy strzały u Śliwy.

Następnymi ofiarami byli Wojciech Śliwa i Stanisław Oparowski, który akurat przyniósł Śliwom tzw. okólnik, czyli zarządzenie sołtysa. Żona Oparowskiego, Julia, pracująca w tym czasie w polu, usłyszała od strony gospodarstwa Śliwów pięć strzałów. Gdy tam pobiegła, zobaczyła ciała męża i Wojciecha Śliwy. Według Piotra Oparowskiego, brata zamordowanego, który był naocznym świadkiem zbrodni, obu zastrzelił Karl Perschke.

BEZ ZGODY NA POCHÓWEK

Rodziny pomordowanych starały się o pochowanie swoich bliskich na cmentarzu parafialnym w Dobrzechowie. Jednak żandarmeria z Wiśniowej nie wyraziła na to zgody, twierdząc, że zamordowani Polacy byli „bandytami".

Ciało Feliksa Ciołkosza rodzina pochowała przy domu. Zwłoki Aleksandry Pirgi, Stanisława Oparowskiego, Wojciecha Śliwy i Piotra Zagórskiego spoczęły koło przydrożnej kapliczki na granicy Kozłówka i Markuszowej. – Trumny zostały przykryte gałęziami, szmatami i deskami, by w bardziej sprzyjających okolicznościach można je było łatwo wydobyć i przewieźć na cmentarz – opowiada Marian Irzyk.

Pod koniec listopada lub na początku grudnia 1944 r., już po wycofaniu się Niemców z tamtych terenów, ciała piątki pomordowanych (włącznie z Ciołkoszem) ekshumowano, a następnie przewieziono na cmentarz w Dobrzechowie i złożono w jednym grobie. Dokładna data pochówku nie jest znana, bo nie zachowały się parafialne księgi pogrzebowe z tych lat.

W 1969 r., w 25. rocznicę akcji likwidacyjnej, na Domu Ludowym w Kozłówku została odsłonięta tablica poświęcona pomordowanym, którą „firmował" ZBoWiD. Mówi ona, że zostali zamordowani „przez faszystów niemieckich" za „udział w walce o wyzwolenie kraju spod okupacji".

– Uważam, że treść tej tablicy powinna być zmieniona, bowiem nie oddaje istoty tego, co się wtedy stało – przekonuje Marian Irzyk. – Ponadto pominięto na niej nazwisko Józefa Fąfary. Jego żona dopytywała nawet podczas uroczystości odsłonięcia tej tablicy, dlaczego nie umieszczono na niej nazwiska męża. Odpowiedź była wymijająca i do dziś nie wiadomo, dlaczego tak się stało.

POMORDOWANI POLACY UPAMIĘTNIENI

Irzyk, rocznik 1940, jako dziecko chodził na majówki pod kapliczkę, gdzie została pochowana czwórka pomordowanych. O tym, kto tam przez ponad rok leżał, mówiono we wsi tylko tyle, że były to osoby rozstrzelane „za Żydów". – Jako mały chłopiec chodziłem z tatą do lasu na grzyby – wspomina Irzyk. – Kilka razy poszliśmy w miejsce, w którym Niemcy zamordowali ukrywających się Żydów. Tych kryjówek było kilka, ale główna była położona w lesie pod stokiem. Jak nieraz opowiadał mi tato, wiosną 1943 r. zginęło tam 36 Żydów. Niemcy wrzucili wtedy przez komin dwa granaty, a tych, którzy przeżyli, wyciągali z bunkra i rozstrzeliwali. Michalina Grochowska razem z bratem Adolfem i Wojciechem Janasiem poszli tam w ten sam dzień po południu. Widzieli trupy, jeszcze tliły się pościele i ubrania.

Marian Irzyk wyjechał do Rzeszowa do szkoły i tam zamieszkał. Pamiętał o tym, co się zdarzyło w jego rodzinnej wsi w lipcu 1943 r., ale tematu głębiej nie drążył. Przyznaje, że ma wyrzuty sumienia, iż nie zajął się tą sprawą 20–30 lat temu, kiedy żyło jeszcze wielu świadków.

Temat wrócił w 2010 r., i to nieco przypadkowo. W diecezji rzeszowskiej zbierano akurat informacje o przydrożnych kapliczkach z myślą o wydaniu albumu. Proboszcz parafii, do której należy Irzyk, dał mu ankietę z prośbą, by wpisał do niej informacje o kapliczce, która powstała z jego inicjatywy na osiedlu Pułaskiego w Rzeszowie. Wtedy przyszła mu na myśl kapliczka z pogranicza Markuszowej i Kozłówka. Nagle zdał sobie sprawę, że jest ona ważna nie tylko z racji tego, że znajduje się w niej cenna figura Matki Bożej, lecz także dlatego, że były przy niej pochowane ofiary hitlerowskiej zbrodni.

Zainteresował sprawą rzeszowski IPN. Historyk z instytutu Michał Kalisz zebrał relacje żyjących jeszcze świadków i opracował historię wydarzeń sprzed 75 lat. W listopadzie 2012 r. odbyło się wiejskie zebranie mieszkańców Kozłówka i Markuszowej, na którym Kalisz przedstawił wyniki swoich badań, a Irzyk podzielił się pomysłem upamiętnienia w formie pomnika szóstki pomordowanych za pomoc Żydom. – Sprawa spotkała się z wielką przychylnością i zainteresowaniem mieszkańców – wspomina.

Zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Pomnika. Marian Irzyk został jego przewodniczącym. We wrześniu 2013 r. pomnik został uroczyście odsłonięty i poświęcony podczas mszy św. polowej, której przewodniczył biskup rzeszowski Jan Wątroba.

Marian Irzyk stara się krzewić pamięć o wydarzeniach sprzed ponad 75 lat. Opowiadał o nich m.in. na spotkaniach z uczniami szkół podstawowych i gimnazjum w gminie Wiśniowa.

Ostatnio zmarli ostatni świadkowie niemieckiej zbrodni – dwie córki Stanisława Oparowskiego: Zofia Niemiec, mama biskupa Jana Niemca z diecezji kamieniecko-podolskiej na Ukrainie, i Adela Pirga.

Podczas wizyty pary prezydenckiej w Muzeum Zamku w Łańcucie w marcu 2016 r. Andrzej Duda wręczył odznaczenia państwowe za bohaterską postawę i niezwykłą odwagę wykazaną w ratowaniu życia Żydom podczas II wojny światowej. Wśród 53 odznaczonych znaleźli się – pośmiertnie – Feliks Ciołkosz, Józef Fąfara, Stanisław Oparowski, Aleksandra Pirga i Piotr Zagórski, uhonorowani przez prezydenta Krzyżami Komandorskimi Orderu Odrodzenia Polski. Niestety, nie udało się odnaleźć rodziny Wojciecha Śliwy, dlatego nie figuruje on wśród odznaczonych. Gmina Wiśniowa czyni starania w Instytucie Yad Vashem o przyznanie im medalu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

– W sytuacji, kiedy coraz częściej obarcza się Polaków winą za rzekome mordowanie Żydów i mówi się o „polskich obozach śmierci", przypominanie takich osób, jak pomordowani mieszkańcy Kozłówka i Markuszowej, jest naszym świętym obowiązkiem. Przeciwdziałamy w ten sposób próbom zafałszowywania historii II wojny światowej – przekonuje Marian Irzyk.

eprasa.pl 8765b03b4d

Czy łatwo jest połknąć Białoruś?



Oprócz infrastruktury petrochemicznej Białoruś ma także inne atuty studzące Rosję przed ostrą konfrontacją z władzami w Mińsku



ALEKSANDER STRALCOU-KARWACKI

Na przełomie roku do polskiej opinii publicznej dochodziły złowróżbne doniesienia zza wschodniej granicy. Pojawiały się pytania: „No i co z tą Białorusią? Będzie ona nadal czy nie? Czy Rosja odważy się ją połknąć?”.

Wiadomości naprawdę były niepokojące, bo już się wydawało, że Rosja „zapomniała” o tzw. Związku Białorusi i Rosji, po polsku brzmiącym jako ZBiR. Wątpliwości co do ZBiR istniały i istnieją poważne, bo niektórzy znawcy prawa międzynarodowego twierdzą, że umowa o ZBiR utraciła swą moc prawną ze względu na późniejsze porozumienia i unie zawarte między Białorusią a Rosją oraz innymi krajami Wschodu, jak np. Eurazjatycka Wspólnota Gospodarcza.

Dlaczego właśnie teraz Rosja zaatakowała, przypominając sobie o zobowiązaniach integracyjnych Białorusi, wynikających ze ZBiR, takich jak wspólna waluta, udział w prywatyzacji białoruskich przedsiębiorstw czy wspólna kontrola celna? Nie jest tajemnicą, że „polityczne paliwo krymskie” dla Putina się kończy. Integracja Krymu i nadal niejasna sytuacja w Donbasie nie są zwycięstwami rosyjskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej. Wiele też mówi o tym słynne powiedzenie premiera Rosji Dymitra Miedwiediewa skierowane do mieszkańców Krymu: „Pieniędzy nie ma, ale trzymajcie się!”. Nastroje na półwyspie nie są najlepsze, coraz częściej nawet od rodowitych Rosjan można usłyszeć, że za Ukrainy było tu lepiej.

Atakując Białoruś, obóz Putina liczył na poprawę swego wizerunku, na zyskanie w polityce wewnętrznej dodatkowych punktów. Nie negując ewentualności, że sztabowcy rosyjscy mają konkretny rozpracowany plan inwazji na Białoruś, jest on na razie rozwiązaniem czysto teoretycznym, które na obecnym etapie politycznym jest nieopłacalne. Postawię tezę, że podjęcie takiej decyzji musiałoby się odbyć w sytuacji ostatecznej, gdyby grupa trzymająca władzę (a twierdzę, że jest to grupa, a nie jednoosobowy władca) uznała, że jest zmuszona do działań prewencyjnych w obliczu podobnych planów strony przeciwnej, czyli NATO. Taki cha-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8765b03b4d

rakter miały działania Rosji w Gruzji i na Ukrainie. W Gruzji zostały zatrzymane, gdy na czele tego państwa stanęła osoba akceptowalna przez władze w Moskwie.

Dlaczego Rosja nie jest na tym etapie zainteresowana siłowym rozwiązaniem na Białorusi? Przede wszystkim dlatego, że Aleksander Łukaszenka pozostaje sojusznikiem Rosji w kwestiach globalnych, i chociaż pozwala sobie na dosyć szeroką autonomię, zasadniczo nie podważa roli Rosji w świecie.

Naturalnie w stosunkach rosyjsko-białoruskich nie ma ani odrobiny tzw. braterskiej miłości słowiańskiej, która istnieje wyłącznie w teorii i tylko po to, by z jednej strony uzasadniać dążenia imperialne i prawo do zbierania „własnych ziem", a z drugiej, by wyłudzać miliardy jako cenę za taką „miłość". Łukaszenka co jakiś czas daje do zrozumienia stronie rosyjskiej, że ta płaci Białorusi za mało. Zna on jednocześnie granice, których mu przekraczać nie wolno, by być wiarygodnym sojusznikiem Moskwy.

Głównym problemem w relacjach rosyjsko-białoruskich stało się jednak to, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat został poważnie zachwiany fundament gospodarczy „braterskiej miłości". Teraz Rosja nie może już sobie pozwolić na zachęcanie do sojuszu poprzez coroczne kilku- lub kilkunastomiliardowe dotacje dolarowe dla Białorusi. Musi zachować te środki dla siebie, bo przestały już być nic nieznaczącym drobiazgiem w jej budżecie.

W tym celu został wprowadzony tzw. manewr podatkowy, polegający na stopniowym, rozłożonym na sześć lat, zwiększeniu ceł wywozowych na ropę, tak by cena na granicy Rosji była równa cenie światowej. To bezpośrednio uderza w gospodarcze interesy Białorusi, która przez lata kupowała rosyjską ropę po cenie znacznie niższej niż na rynkach światowych. Manewr ma także rekompensować ewentualne straty Rosji z powodu przerabiania jej ropy przez białoruskie rafinerie i sprzedaży wytworzonych z tego surowca produktów na zagraniczne rynki.

Tyle że Rosja jest de facto skazana na białoruskie rafinerie, gdyż na podległych jej wpływom terenach zachodnich nie ma zakładów zdolnych do przetwarzania wielkich ilości ropy, i to w odpowiedniej jakości. Za czasów ZSRR miała jeszcze rafinerię w Płocku, która powstała 60 lat temu, w okresie, gdy nikt w Moskwie nie mógł sobie wyobrazić, że za kilka dekad nie będzie tu sięgała władza Kremla.

Oprócz infrastruktury petrochemicznej Białoruś ma także inne atuty studzące Rosję przed ostrą konfrontacją z władzami w Mińsku. Na jej terenie zlokalizowane są bowiem strategiczne obiekty militarne. Pierwszy to 43. węzeł komunikacyjny Morskiej Floty Wojennej (WMF) Rosji w Wilejce, w obwodzie mińskim. Służy do zabezpieczenia sprawnej komunikacji z rosyjskimi łodziami podwodnymi na Oceanie Atlantyckim, jest zdolny do prowadzenia walki radioelektronicznej, przekazuje sygnały w realnym czasie i realizuje wiele innych zadań. Ma zasięg powyżej 10 tys. km.

Z kolei obiekt pod Baranowiczami, w obwodzie brzeskim, to stacja radarowa typu Wołga. Stanowi ona część systemu ostrzegania o ataku rakietowym. Jest skierowana w kierunku zachodnim i „widzi" w zasięgu 4,8 tys. km. Wystarczy, że w „braterskiej miłości" coś pójdzie nie tak, i te obiekty przestaną działać. Są swego rodzaju polisą ubezpieczeniową Białorusi. Dotyczy to nie tylko Łukaszenki, lecz i każdego przyszłego przywódcy w Mińsku.

Próba obalenia Łukaszenki z punktu widzenia Rosji byłaby ryzykowna, bo pomimo tego że opozycja na Białorusi jest rozbita, nie oznacza to zarazem, że nie ma tam potencjału antyrosyjskich nastrojów. W okresie załamania władzy ten potencjał może się uruchomić. Choć Łukaszenka wydaje się dla Rosji kosztownym partnerem, to jednak lepszego Kreml w tym momencie nie ma. Także dlatego, że Łukaszenka zniszczył polityczną konkurencję, nie tylko po stronie opozycji, lecz i wśród potencjalnych zwolenników zjednoczenia Białorusi z Rosją.

Jakimkolwiek satrapą byłby Łukaszenka, jakiekolwiek metody dla utrzymania swojej władzy by stosował, to jednak trzeba przyznać, że w ciągu minionego ćwierćwiecza udało mu się unieszkodliwić ostrze zapędów integracyjnych Rosji. Nie mówię, że niebezpieczeństwo takie przestało istnieć, bo dopóki Rosja będzie istniała w takim kształcie jak obecnie, to zagrożenie będzie permanentne. Ale udało mu się unieszkodliwić politycznie najbardziej niebezpieczną dla Białorusi formę integracji: inkorporację. A tej nie popierają ani Łukaszenka, ani jego elita administracyjna, ani społeczeństwo w swojej większości.

> Im dłużej Białoruś będzie istniała jako podmiot prawa międzynarodowego, tym silniejsza będzie świadomość jej obywateli i tym bardziej będą osobiście związani z losem swego państwa

Czy Białorusini są zdolni do walki zbrojnej w obronie własnej suwerenności – jest oddzielnym pytaniem. Z pewnością jednak nie będą potulnie się przyglądać, jak tracą swoją podmiotowość. Protesty, manifestacje, działania sabotażowe, szkodzenie rosyjskim interesom – na to kremlowskie elity, gdy zechcą być panami tej „ziemi niczyjej", muszą się przygotować. A gdyby jednak aneksja im się udała, muszą mieć świadomość, że będą zmuszone zainwestować w Białoruś, podobnie jak w Donbas, Czeczenię czy Krym, grube miliardy. Będą musiały za to zapłacić. Również za spokój społeczny.

Im dłużej więc Białoruś będzie istniała jako podmiot prawa międzynarodowego, tym silniejsza będzie świadomość jej obywateli i tym bardziej będą osobiście związani z losem swego państwa. Każdy rok nawet tej okrojonej suwerenności wzmacnia podmiotowość Białorusi i jej mieszkańców.

Autor jest ekonomistą, członkiem Światowej Rady Badań nad Polonią, prezesem Fundacji Dziedzictwo Wielkiego Xięstwa Litewskiego

eprasa.pl 8765b03b4d



Kontrofensywa chińskiego giganta

„Jesteśmy gotowi do współpracy z polskimi władzami nad dodatkowymi mechanizmami weryfikacji bezpieczeństwa i zaufania" – oświadczył Andy Purdy, szef bezpieczeństwa Huawei Technologies USA

W ubiegłym tygodniu przedstawiciel chińskiego giganta telekomunikacyjnego przekonywał w Warszawie, że Huawei jest godny zaufania, posiada wysokiej jakości konkurencyjne rozwiązania technologiczne, które są bezpieczne, a pojawiające się pod adresem firmy zarzuty to efekt handlowej zimnej wojny między USA a Chinami.

„Nie ma sensu blokowanie dostawcy tak wysokiej jakości technologii w komercyjnych rozwiązaniach, również przy budowie sieci 5G. Huawei wielokrotnie pokazał, że jest skłonny do współpracy w celu udowodnienia wiarygodności swoich produktów. Musimy wrócić do dyskusji o bezpieczeństwie sieci 5G, pokażemy, że nasze rozwiązania są bezpieczne. Chodzi o to, żeby ustalić z rządem i operatorami realny zestaw wymagań oraz gwarancji i sposób ich weryfikacji w Polsce" – przekonywał Andy Purdy podczas spotkania z polskimi dziennikarzami.

Purdy był pytany m.in. o słowa sekretarza stanu USA Mike'a Pompeo, który w ubiegłym tygodniu przestrzegał przed sprzętem Huawei, zaznaczając, że używanie go może utrudniać partnerstwo ze Stanami Zjednoczonymi, a także o wypowiedź ministra cyfryzacji Marka Zagórskiego, który stwierdził, że w relacjach z Huawei trzeba być ostrożnym, bo prawo chińskie nakazuje tamtejszym firmom współpracę z chińskimi służbami specjalnymi.

„Oświadczenia i zarzuty [dotyczące współpracy firmy Huawei z chińskimi specsłużbami – dop. red.] są fałszywe. Nie mają oparcia w rzeczywistości. Chińskie władze mówią wprost: nie ma takiego prawa. Huawei również zapewnia, że bezpieczeństwo i poufność danych naszych klientów to dla nas fundamentalna sprawa. Fakty są takie, że nie dostarczymy informacji o naszych klientach chińskiemu rządowi pod żadnym pozorem. Potwierdził to założyciel Huawei, który powiedział, że zamknąłby firmę, gdyby coś takiego się wydarzyło. Obecna sytuacja to kombinacja różnych czynników. A kiedy USA zawezmą się na coś, tak to potrafi niestety wyglądać" – stwierdza Purdy.

Szefowi bezpieczeństwa amerykańskiego oddziału firmy wtórował szef bezpieczeństwa Huawei na Europę. „Dla nas bezpieczeństwo danych użytkowników jest kluczowe. Huawei zaaplikował wiele najlepszych na rynku praktyk RODO/GDPR. Wszystkie dane osobiste z Europy pozostają w Europie" – zapewniał Jaap Meijer.

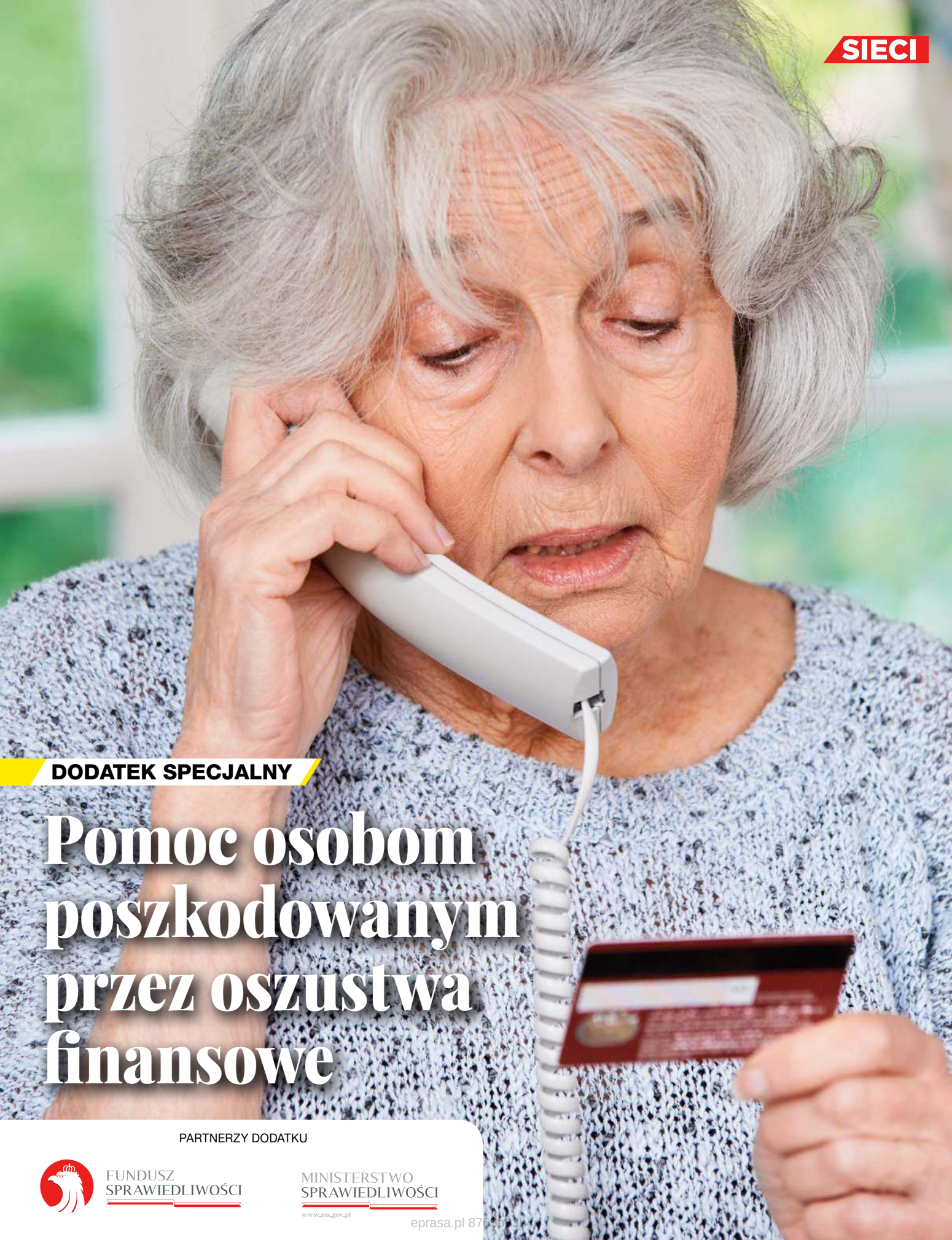
Zdaniem Purdy'ego transparentność i uczciwość w prowadzonych interesach są dla Huawei kluczowe: „Firma podlega globalnym standardom korporacyjnym, wydaje roczne, jawne raporty, już od 2000 r. Wszystkie raporty są audytowane przez KPMG. Można je pobrać choćby ze strony internetowej Huawei".

Globalna ofensywa przeciwko chińskiemu koncernowi trwa. USA, Australia i Nowa Zelandia już wykluczyły Huawei z budowy w swoich krajach sieci 5G. Czy chińska firma jest w stanie udowodnić i przekonać ewentualnych partnerów, że nie ma nic na sumieniu, że padła ofiarą handlowej zimnej wojny? To pytanie pozostaje otwarte.

Maksymilian Wysocki

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 8765b03b4d



DODATEK SPECJALNY

Pomoc osobom poszkodowanym przez oszustwa finansowe

PARTNERZY DODATKU

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl 87

Nie daj się oszukać

Spryt i bezczelność oszustów nie znają granic. Wymyślają coraz to nowsze metody, za pomocą których – wykorzystując zaufanie i dobre serce, przejawiające się w chęci niesienia pomocy innym przez starsze osoby – wyłudzają od nich pieniądze. Bywa, że są to oszczędności całego życia

Kreatywność oszustów sprawia, że można się zgubić i ulec sugestii, szczególnie w sytuacji pełnej dużych emocji. Brakuje wtedy czasu na zastanowienie się i rzeczową analizę – szczególnie gdy oszust bazuje na wrażliwości osób starszych, sięgając po metodę „na wnuczka" czy „na policjanta".

Mechanizmy działania oszustów są coraz bardziej znane starszym osobom, wzbudzają podejrzliwość, co sprawia, że nie zawsze dochodzą do skutku. Złodzieje o tym doskonale wiedzą i wyszukują nowsze metody, licząc na uśpienie czujności swoich ofiar.

Wprowadzenie nowego elementu do utartego już schematu powoduje, że łupem padają nie tylko zgromadzone oszczędności, lecz również przechowywane w domach kosztowności. Pamiętajmy, że zasada „ograniczonego zaufania" do nieznajomych obowiązuje nie tylko dzieci. Dorośli często o niej zapominają, stając się ofiarami własnej łatwowierności i braku rozwagi. Niespodziewane telefony osób podających się za policjantów, od dawno niewidzianych wnuków, siostrzenic czy kuzynów nie muszą się zakończyć naszą finansową porażką – apeluje policja.

Do oszustw na tzw. wnuczka przestępcy najczęściej wykorzystują stare książki telefoniczne z numerami stacjonarnymi. W nich wyszukują imiona popularne wśród starszego pokolenia i dzwonią, podając się za krewnego. Pytania zadawane są w tak sprytny sposób, że właściciel numeru nie orientuje się, kiedy sam podaje imię „wnuczka", a nawet więcej informacji, które pozwalają oszustowi wiarygodnie pokierować dalszą rozmową. Wtedy zwykle pada prośba o udzielenie pilnej pożyczki: pieniędzy, a nawet różnych wartościowych przedmiotów – z reguły podparta historią uzasadniającą potrzebę. Oszust nie ma oporu przed stosowaniem szantażu emocjonalnego: płacze, prosi, błaga, nie daje wyboru ani czasu do namysłu. Jednocześnie zapewnia o szybkim zwrocie i cieszy się z rychłego spotkania. Zwykle również prosi o dyskrecję wobec pozostałych członków rodziny. Kiedy oszust otrzyma już obietnicę wsparcia, zaczyna się wycofywać z osobistego odbioru pożyczki. Różne argumentacje mają jeden cel: nakłonić starszą osobę, aby przekazała pieniądze komuś obcemu – pośrednikowi. Podający się za przyjaciela lub zaufanego współpracownika „uwiarygadnia się", zapraszając starszą osobę do rozmowy z „wnuczkiem", podając jej swój telefon. Do spotkania zwykle dochodzi w domu starszej



Fot. Shutterstock

eprasa.pl

osoby, czasem jednak konieczna jest wizyta w banku: aby pobrać pieniądze lub zlecić przelew. W międzyczasie oszuści „bombardują" ofiarę wieloma połączeniami telefonicznymi, aby nie miała ona okazji powiadomić bliskich lub sama nie zadzwoniła do prawdziwego wnuczka.

Jeszcze większą perfidią kierują się oszuści podający się za policjantów lub funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego Policji. Z początku scenariusz przypomina wcześniej opisywaną metodę: oszuści dzwonią na numer stacjonarny, podszywając się pod któregoś z członków rodziny. Połączenie zostaje zerwane tylko po to, by za chwilę oddzwonili w zupełnie innej roli: podając się za policjanta lub funkcjonariusza CBŚP. Informują, że trwa akcja policyjna polegająca na rozpracowaniu szajki przestępców i pomoc tej starszej osoby jest bezwzględnie konieczna, aby akcja zakończyła się sukcesem. To także jedyny sposób, aby uchronić jej pieniądze przechowywane w banku. Oszuści wysyłają ofiarę do jej placówki bankowej, aby wypłaciła zagrożone środki z rachunku bankowego. Przestrzegają, że nie wolno dać znać o niczym kasjerowi, gdyż obsługa banku współpracuje z grupą przestępczą – wiedzą, że banki szkolą swoich pracowników, aby byli wrażliwi na podobne sytuacje. Wypłacone pieniądze należy zostawić we wskazanym miejscu jako przynętę.

– Metoda „na wnuczka" zmieniła formę. Teraz częściej słyszymy o oszustwach „na policjanta" czy „funkcjonariusza CBŚP". Dzwonią również „pracownicy banków" – jak ostatnio w Krakowie. Scenariusze są różne. Łączy je to, że zawsze mają na celu wyłudzenie oszczędności życia od starszej osoby. Coraz więcej jest prób dokonania przestępstwa, ale – na szczęście – mniej jest tych faktycznie popełnionych. Wzrasta jednak średnia wartość wyłudzonych kwot. Używają fachowego języka, wymieniają paragrafy, potrafią być przekonujący. Trzeba więc przypominać, że prokurator czy policjant nigdy nie prosi o przekazanie pieniędzy. I taką sytuację należy zgłosić policji – mówi mł. asp. Antoni Rzeczkowski z Komendy Głównej Policji.

POLICJA ODNOTOWAŁA:

w 2017 r.:

- 4 296 przypadków usiłowania oszustwa metodą „na wnuczka" lub „na policjanta",
- 1 612 takich przestępstw, łączne straty: 54 mln zł.

w 2018 r.:

- 4 245 przypadków usiłowania oszustwa tego typu,
- 1 554 dokonanych przestępstw na sumę ponad 63 mln zł.

Ostatnio wiele się mówi o wykorzystywaniu zaufania i dobrej woli osób starszych przy podpisywaniu różnego rodzaju umów. Na pierwszy rzut oka nie ma nic podejrzanego: darmowa wycieczka, obiad i pokaz np. sprzętu medycznego czy garnków. Na koniec okazuje się, że prezentowane produkty można kupić w cenie „promocyjnej". Oszołomionym prezentacją seniorom podsuwa się umowy, nie dając im czasu do namysłu: ani nad samą chęcią posiadania, ani nad ceną. Czując się zobowiązani prezentem w postaci „darmowej" wycieczki, starsi ludzie rzadko potrafią odmówić. Podpisują niekorzystne umowy, które potem spłacają z wielkim trudem latami, a garnki i koce okazują się niewarte swojej „promocyjnej" ceny. Zwróćmy też uwagę na oszustów chodzących po mieszkaniach i oferujących nowe umowy na dostarczanie mediów, abonamentów medycznych czy usług telefonicznych. Zwykle okazują się one bardzo niekorzystne – i takie działanie wypełnia już znamiona przestępstwa, które można zgłosić policji.

Komenda Stołeczna Policji uruchomiła **specjalną linię telefoniczną** dla tych osób, które podejrzewają, że mógł do nich zatelefonować oszust podający się za wnuczka, krewnego lub policjanta – funkcjonariusza CBŚ. **Na państwa sygnały policjanci czekają przez całą dobę pod numerem 22 60 33 222**

– Takich sytuacji jest dużo i są bardzo trudne. Trzeba pamiętać, że osoby zmuszone różnymi socjotechnikami pod wpływem czasu i emocji do podpisania umowy mają dwa tygodnie na odstąpienie od niej. Takie sprawy należy zgłaszać do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. My również przyjmujemy takie zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa i prowadzi się je w kierunku niekorzystnego rozporządzania mieniem tej osoby – mówi mł. asp. Antoni Rzeczkowski z Komendy Głównej Policji.

Choć świadomość – także wśród osób starszych – rośnie, ten proceder trwa i miliony oszczędności polskich seniorów przepadają. Każdy przypadek, z jakim się zetkniemy, należy błyskawicznie zgłaszać policji. Niestety mamy również do czynienia z narażaniem na straty finansowe osób starszych, na które policja wiele pomóc nie może. Z tej prostej przyczyny – odbywa się ono w majestacie prawa. Należy do nich lichwa. Przez długie lata problemem były absurdalnie wysokie odsetki od pożyczek oferowanych przez tzw. parabanki. Pożyczkobiorca rzadko zdawał sobie sprawę, że kwota, którą będzie musiał zwrócić, jest astronomicznie wyższa od tej realnej, otrzymanej w gotówce czy przelewem. Potrzebujący, uznani za osoby bez zdolności kredytowej przez banki, sięgali w desperacji po „pozabankowe" usługi, często wpadając w tzw. pętlę zadłużenia, która nieraz kończyła się tragicznie: stratą mieszkania, a nawet samobójstwem. Dziś, kiedy wysokość odsetek uregulowano, pożyczkobiorcy – często osoby starsze – nie mają świadomości, że ciężar zarobku parabanków przeniesiony został z odsetek na opłaty obsługi długu. I sytuacja się powtarza: pojawiają się windykatorzy, komornicy, groźba utraty całego majątku. To sytuacja, w której trzeba szukać pomocy w Funduszu Sprawiedliwości. Tam czeka wsparcie prawne, materialne i sposób na wyjście z pętli zadłużenia. ●

eprasa.pl 8765b03b4d

Fundusz Sprawiedliwości – ratunek dla pokrzywdzonych

Liczba osób pokrzywdzonych przestępstwem w 2017 r. wyniosła około 220 tys., z czego około 8 proc. stanowiły dzieci. Większość z nich odczuwa skutki pokrzywdzenia latami. Często skutki psychiczne i fizyczne przestępstw mogą być bardzo rozciągnięte w czasie lub pojawić się wiele lat po zaistnieniu przestępstwa. Dlatego Fundusz Sprawiedliwości udziela kompleksowej pomocy na wielu płaszczyznach

Rozmowa z dr. Marcinem Romanowskim, pełnomocnikiem ministra sprawiedliwości ds. Funduszu Sprawiedliwości



Kiedy Fundusz Sprawiedliwości zaczyna nieść pomoc osobie pokrzywdzonej?

Marcin Romanowski: Dopiero w ostatnim momencie: wtedy gdy osoba pokrzywdzona zwraca się do Funduszu o pomoc.

Jak można was znaleźć?

W tej chwili funkcjonuje 39 ośrodków pomocy. Docelowo powinno ich powstać 60. Pełna sieć działająca na szczeblu regionalnym powinna być gotowa w ciągu najbliższych miesięcy. Pracę ośrodków uzupełnia aż 337 punktów lokalnych. To właśnie w tych miejscach jest świadczona pomoc prawna dla osób pokrzywdzonych przestępstwem. Wystarczy się do nas zgłosić: przyjść, zadzwonić, napisać maila. Na początku odbywa się spotkanie z osobą pierwszego kontaktu. Sytuacja pokrzywdzonego jest wstępnie

> Zwracam się z bardzo uprzejmą prośbą o pomoc. Nie wiem, do kogo mam się zwrócić. Wpadłam w spiralę długów. Chciałam się pozbyć zadłużenia i szukałam możliwości otrzymania kredytu. Zdobyłam numer telefonu z ogłoszenia w telewizji. Zadzwoniłam. Przyjechał pan, bardzo ładnie rozmawiał i powiedział, że jest możliwość otrzymania pożyczki. Był to pośrednik. Okazało się, że to lichwa. Nie stać mnie było na spłacenie ostatniej raty. Poprosiłam o rozłożenie na raty. Wyrazili zgodę na 4 raty po 20 tys. Taka wysoka rata to moja roczna emerytura. Mieszkanie, którego się dorobiłam w życiu, oddano na przetarg. Dowiedziałam się tego od osoby, która wygrała przetarg. W wieku 71 lat ja i mój 73-letni mąż zostaliśmy bezdomnymi. Gdzie my się podziejemy? Przez takie potraktowanie nas w tym wieku straciliśmy dorobek naszego całego życia.

eprasa.pl 8765b03b4d

Jestem osobą samotną i mieszkam z niepełnosprawnym w stopniu znacznym synem. Mam 82 lata. Udałam się do banku z oszczędnościami swojego życia, pochodzącymi ze sprzedaży mieszkania. Chciałam ulokować te pieniądze na zwykłej lokacie bankowej, która byłaby jakimś zabezpieczeniem na przyszłość dla mnie i mojego dziecka. Koszty związane z jego utrzymaniem, opieką i leczeniem zmuszają mnie do tego, że w dalszym ciągu muszę pracować. Ta lokata miała być dla nas podporą. Tymczasem po jakimś czasie okazało się, że zawarłam w banku umowy ubezpieczenia na życie z ubezpieczeniowymi funduszami kapitałowymi. Aktualnie nie ma już połowy wpłaconej przeze mnie kwoty. Pracownik banku, nie zważając na mój wiek, powierzył moje pieniądze oraz podsunął umowę, której w żaden sposób mi nie wytłumaczył i o skutkach której nie miałam żadnej wiedzy. Jak już podkreśliłam, jestem osobą starej daty, nie znam się na nowych umowach bankowych czy też ubezpieczeniach. Wiedząc i rozumiejąc, co to jest za umowa oraz jakie może przynieść skutki, nigdy bym się nie zdecydowała na jej podpisanie. Pracownik banku wypełnił jakieś dokumenty na komputerze i dał mi je do podpisu. Wszystkie umowy i przedstawione dokumenty są niewielkim drukiem, a pracownik wskazywał konkretnie, gdzie miałam się podpisać. Pracownik banku powinien w sposób szczególny zapoznać z warunkami umowy, oświadczeń i regulaminów osobę starszą, tym bardziej że nigdy nie zawierałam takich umów. Czuję się oszukana i rozgoryczona tak obojętnym potraktowaniem starszego człowieka. Przyszłam do banku w zupełnie innym celu, a zostałam wmanewrowana w zawarcie umowy, której w żaden sposób nie rozumiałam. Moje dotychczasowe prośby, odwołania i reklamacje nie przyniosły żadnego skutku. Proszę o pomoc w odzyskaniu wpłaconych przeze mnie 50 tys. zł.

analizowana i jeżeli przestępstwo jest uprawdopodobnione – to niekoniecznie musi być dokument, choć wyrok sądowy czy pismo z prokuratury są pomocne – Fundusz Sprawiedliwości, zgodnie ze swoją ideą, jak najszybciej udzieli pomocy.

Na jakie wsparcie ze strony Funduszu może liczyć pokrzywdzony?

Zakres jest bardzo duży. Przede wszystkim ważna jest pomoc bezpośrednia, m.in. pomoc prawna. Często osoby pokrzywdzone nie znają swoich praw. Prawnik może pomóc w dużym zakresie: analizuje każdy przypadek, udziela porad, przygotowuje pisma procesowe, informuje o metodach korzystania z reprezentacji w sądzie. Nawet gdy nie ma uprawdopodobnionego przestępstwa, osoby pokrzywdzone nie są pozostawiane same sobie, lecz kierowane są do punktów darmowej pomocy prawnej lub poradnictwa obywatelskiego, które działają od początku 2019 r. Obydwa te systemy są w obiegu resortu sprawiedliwości.

Osoby skrajnie pokrzywdzone mogą otrzymać z Funduszu Sprawiedliwości kompleksową pomoc. Na czym ona polega?

To może być np. pełna terapia psychologiczna, jeśli pokrzywdzenie wpłynęło na dobrostan psychiczny osoby, która do nas trafia. Jest również dostępna pomoc materialna w postaci bonów zakupowych, które można wymienić na żywność, odzież, środki czystości. Można otrzymać także dopłaty do zamieszkania, do czynszu. W przypadku małoletniego pokrzywdzonego możliwe są dopłaty do szkoły czy też dofinansowanie wyjazdu terapeutycznego.

Równie ważna jest działalność prewencyjna...

Fundusz Sprawiedliwości wspiera również przeciwdziałanie przyczynom przestępczości. Organizujemy akcje informujące, takie jak np. spot telewizyjny o lichwie, prowadzimy także akcje edukacyjne, zapobiegające. Dzięki naszej kampanii informacyjnej do ośrodków trafiło dużo osób, które są ofiarami różnych przestępstw o charakterze finansowym i gospodarczym. Nie chodziło tylko o lichwę. Pomoc prawną otrzymała na przykład starsza pani, od której wyłudzono ponad 90 tys. zł w postaci przelewów na zagraniczne rachunki.

Jak wiele osób pokrzywdzonych odnalazło już Fundusz i skorzystało z jego wsparcia?

Na ten moment nie mamy jeszcze kompletnych statystyk, ale nasze ośrodki informują, że telefony dzwonią praktycznie cały czas. To utwierdza nas w przekonaniu o konieczności prowadzenia akcji informacyjnych i edukacyjnych. Skala zgłaszających się osób pokazuje, jak wielka jest to potrzeba. W ubiegłym roku ze środków Funduszu przeprowadzono 58 akcji i przedsięwzięć informacyjnych. Zadania te polegały na ostrzeganiu osób przed różnego rodzaju przestępstwami i informowaniu, jak uniknąć stania się ofiarą przestępstwa. Z tego jedna trzecia dotyczyła tematów oszustw finansowych lub gospodarczych. Był to pierwszy rok działania Funduszu w nowej formule i akcje te miały charakter pilotażowy. Teraz, mając więcej doświadczeń, Fundusz może skoordynować te działania i badać zapotrzebowanie na zapobieganie konkretnym problemom, takim jak na przykład przestępstwa finansowe, których ofiarami najczęściej stają się osoby starsze lub mniej zaradne życiowo. ●

Jestem młodą matką dwojga małych dzieci. Pracuję, ale pomimo to ciężko jest przeżyć od wypłaty do wypłaty. Zawsze są niespodziewane wydatki. Kiedy znalazłam się w takiej potrzebie, brałam pożyczki w tzw. chwilówkach i parabankach. Do grudnia wszystko regularnie płaciłam. Fakt, że wyglądało to tak, że czasem brałam kredyt na spłatę kredytu. I w ten sposób popadłam w pętlę zadłużenia, aż w końcu oprocentowanie tych firm mnie wykończyło finansowo i psychicznie. Firmy windykacyjne straszą mnie zabraniem majątku, detektywami. Wiem, że popełniłam błąd, ale proszę o pomoc, o ratunek. Muszę dać radę, ale nie wiem jak. Jestem załamana psychicznie. Boję się o swoje dzieci i siebie. Chciałam, by całe moje zadłużenie było zsumowane i bym mogła spłacać je w małych ratach, ale żadna firma nie chce nawet o tym słyszeć.

Źródło listów: „historie osób, którym pomagają ośrodki Funduszu Sprawiedliwości"

eprasa.pl 8765b03b4d



Kiedy nęka windykator

Zanim windykator skieruje sprawę o egzekucję długu do sądu, przez pewien czas próbuje tzw. windykacji miękkiej. Nazwa metody sugeruje, że działania te są formą partnerskich mediacji i przynoszą korzyść obu stronom. Niestety w praktyce windykacji częściej nadaje się przydomek „agresywnej"

Brutalne akcje firm windykacyjnych doprowadziły w naszym kraju już do wielu rodzinnych tragedii. Pamiętajmy, że skierowane są najczęściej wobec osób pokrzywdzonych życiowo. Ich trudną sytuację wykorzystują firmy lichwiarskie, które doskonale potrafią przewidzieć, jak potoczą się losy dłużnika, który dzięki ich „pomocnej dłoni" wpada w pętlę zadłużenia. Ofiarami procederu bywają często osoby starsze, niemające świadomości konsekwencji wejścia w układ z parabankiem. Wtedy na scenie pojawia się firma windykacyjna ze swoją ofertą pomocy wyjścia z długów. „Miękkość" windykacji znika bardzo szybko: o ile dłużnik nie zgadza się na absurdalne warunki. A najczęściej się nie zgadza, gdyż zwyczajnie nie ma szans im sprostać. Wtedy windykator potrafi rozwinąć wachlarz innych metod, aby za wszelką cenę osiągnąć swój cel. Dramat rozgrywa się zwykle podobnie: kończy się utratą majątku, zdrowia psychicznego i fizycznego, a bywa, że i życia dłużnika oraz jego bliskich.

Przede wszystkim warto wiedzieć, że windykator to nie komornik sądowy! I tak naprawdę nie ma żadnych uprawnień nadanych mu przez państwo, aby egzekwować nasze długi, nachodzić nas i rozliczać. Jego jedynym prawem jest pozwanie dłużnika – tym straszy jako ostatecznym rozwiązaniem, gdy współpraca się nie układa. Paradoksalnie to nie jest najgorsze, co może spotkać dłużnika. Agresywna windykacja bazująca na niewiedzy polskich konsumentów jest dużo bardziej bolesnym procesem.

Nie bój się więc powiedzieć narzucającemu się windykatorowi: „Proszę skierować sprawę do sądu". Windykator w sądzie musi udowodnić, że roszczenie nie jest przedawnione – a w praktyce większość windykowanych należności od dawna już jest. Firmy windykacyjne o tym wiedzą, ale wiedzą również, że my tego najczęściej nie wiemy.

Chociaż w przeciwieństwie do komornika, który musi respektować prawo, windykator odpowiada jedynie przed własną firmą, nie oznacza to, że wszystko mu wolno.

Firma windykacyjna negocjacje rozpoczyna od subtelnych propozycji ugody: pierwsze rozmowy telefoniczne, wiadomości wysyłane esemesem, pisma przypominające o obowiązku spłaty długu i informujące o konsekwencjach unikania rozliczenia. Może dążyć również do spotkania i rozmowy osobistej. Na tym etapie zwykle nie protestujemy: odbieramy telefony, odpisujemy na esemesy, zapraszamy na wizytę. Z czasem jednak, kiedy miękkie metody zawodzą, windykator robi się bardziej natarczywy. W momencie kiedy częstotliwość lub sposób komunikowania się stają się niekomfortowe, dłużnik musi postawić granice. By móc to zrobić zgodnie z prawem, należy pamiętać, że:

- **nie musimy odbierać od niego telefonów** – ważne, aby stanowczo powiedzieć: „Proszę do mnie nie dzwonić";
- **nie musimy wymieniać korespondencji**, trzeba zakomunikować: „Proszę do mnie nie pisać";
- **nie musimy wpuszczać windykatora do domu** – Warto pamiętać, że nie ma on żadnego prawa wejść bez naszej zgody lub wiedzy, nawet jeśli straszy, iż wróci z policją. Nie ulegajmy bezprawnym szantażom, odpowiadajmy zza drzwi: „Proszę tutaj nie przychodzić";
- podczas wizyty **windykator nie może wynosić żadnego majątku** ruchomego, żadnego przedmiotu, który należy do dłużnika, nie może również straszyć eksmisją ani próbować jej wykonać sam siłą. Nie wolno mu również: żądać pieniędzy w gotówce, straszyć zajęciem konta bankowego, emerytury czy renty lub wynagrodzenia. Stanowczo trzeba wyrazić swój sprzeciw, mówiąc: „Proszę mnie nie nękać";
- **wszelka wiedza windykatora na temat naszego zadłużenia nie może być przekazywana osobom trzecim.** Ma on prawo wpisać nas na listę dłużników. Nie ma jednak prawa donosić o naszym problemie np. rodzinie lub pracodawcy.

Łamanie prawa przez windykatorów: nękanie, zniesławienie, użycie przemocy, stalking, kradzież należy jak najszybciej zgłaszać policji. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8765b03b4d

Gdy do drzwi zapuka windykator lub komornik

Rozmowa z mecenasem **Lechem Obarą** z Kancelarii Radców Prawnych i Adwokatów Lech Obara i Współpracownicy



Mamy gościa. Przyszedł odzyskać dług. Windykator czy komornik – jest jakaś różnica?

Lech Obara: Zasadnicza. Dopóki odwiedza nas windykator, dopóty to oznacza, że zaciągnęliśmy dług, a on będzie nas namawiał, aby go spłacić. Komornik to już inna sytuacja: musi mieć tytuł wykonawczy, czyli wyrok opatrzony klauzulą wykonawczą.

Trzeba natychmiast płacić? Inaczej zajmie rentę, emeryturę, wypłatę?

Warto najpierw poznać zmiany, jakie pojawiły się w prawie w ostatnich miesiącach. Od września 2018 r. zmienił się świat tych dłużników, którzy są konsumentami. To wszystko na podstawie orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w wyniku zapytań polskich sędziów: czy do polskich konsumentów można stosować postępowania nakazowe z weksla. Dłużnik podpisał weksel – to jest najprostsze zabezpieczenie. Niestety kiedy dochodziło do sytuacji, w której chciał później zaskarżyć nakaz, nie robił tego. Pierwszą barierą była konieczność wniesienia wysokiej opłaty sądowej (3,75 proc. kwoty roszczenia). Kogo na to stać? Powód, czyli najczęściej parabank, płacił tylko 1,25 proc. opłaty od pozwu. Kolejnym problemem była natychmiastowa wykonalność nakazu. Komornik ruszał od razu.

Nawet jeśli nie miał racji?

Nawet jeśli dłużnik decydował się zaskarżyć nakaz, postępowanie komornicze już trwało. Na nic zdawały się jakiekolwiek tłumaczenia, nakaz był oderwany od stosunku podstawowego. Nie można było np. wnieść skargi, że to są odsetki lichwiarskie, że są zabronione. Trzeba pamiętać, że komornik nigdy nie bada sprawy merytorycznie, jego zadaniem jest egzekucja roszczenia.

Co zmienia się teraz?

Gdy orzeczenia TSUE weszły w życie, nie wolno stosować weksli, a co za tym idzie, postępowania nakazowego wobec konsumentów i osób fizycznych. Wszystko, co pochodzi od weksla, jest nieważne.

Szkoda, że tak późno...

Owszem, wielu krzywd nie da się już naprawić. Szansą wydaje się wznowienie postępowania, czyli ponowne rozpoznanie starych spraw. Zgodnie z zasadami prawa europejskiego orzeczenia TSUE mają moc wsteczną. Zobaczymy, jak do tego podejdą nasze sądy. Można więc spróbować wrócić do tych wszystkich starych spraw, podnieść na nowo, że zostało się skrzywdzonym lichwiarskimi odsetkami, i wznowić postępowanie. Takich klientów banków, parabanków, lichwiarzy było i jest miliony. To, że nie wolno wobec nich stosować weksli, zupełnie zmienia ich sytuację. Trybunał luksemburski zbada również polskie przepisy dotyczące lichwy. Po pierwsze, odsetki powinny być łatwe do wyliczenia, a nie są. Po drugie, najwyższy czas skończyć z tzw. opłatami pozaodsetkowymi, których wysokość może sięgać aż 100 proc. wziętego kredytu! W ten sposób parabanki omijają przepisy ustawy antylichwiarskiej, naliczając sobie bardzo wysokie prowizje za „uruchomienie kredytu" czy „rozpoznanie wniosku". W mojej ocenie w rzeczywistości chodzi nie o prowizje za rzeczywiście wykonane usługi, lecz o dodatkowe wynagrodzenie od pożyczonego kapitału.

Zanim dojdzie do wizyty komornika, najpierw trzeba się spodziewać windykatora?

Trzeba pamiętać, że większość wierzytelności, także tych skupowanych przez banki, jest przedawniona. Dlatego warto już od drzwi mówić: „Mój dług jest przedawniony". Windykatorzy próbują różnych metod. Dotąd było tak, że jeśli nie udało im się nic wskórać, sprawa trafiała do e-sądu. Kiedy dłużnik otrzymuje z sądu lub e-sądu nakaz, powinien natychmiast zgłosić sprzeciw, podkreślając, że to jest sprawa przedawniona. 90 proc. spraw jest przedawnione. Wtedy sprawa wraca do sądu, który widząc, że jest przedawniona, oddala ją, zasądzając koszty. Nawet jeśli sprawa okazuje się nieprzedawniona, przynajmniej sąd się jej przyjrzy: zbada np., czy nie stosowano lichwiarskich odsetek.

Sama wizyta windykatora nie należy do przyjemnych. Dłużnicy nie znają swoich praw, nie wiedzą, kiedy windykator przekracza swoje uprawnienia.

To, o czym ludzie nie wiedzą, to fakt, że windykator nie ma żadnych praw w przeciwieństwie do komornika. Kiedy windykator nas nachodzi, trzeba mówić wprost: „Proszę mnie nie nękać", „Proszę tu nie przychodzić", jeśli telefonuje: „Proszę do mnie nie dzwonić", jeśli zasypuje korespondencją: „Proszę do mnie nie pisać". Można go też odsyłać do sądu. Przy agresywnej windykacji warto sprawę zgłosić policji. Nękanie, stalking to przestępstwa, które powinny być ścigane. ●

eprasa.pl 8765b03b4d



PAMIĘTAJ!



Oszustwa telefoniczne

1. Nie odbieraj połączeń z nieznanych numerów. Jeśli numer się wyświetla, a mimo to masz wątpliwości, do kogo należy, zapisz go, rozłącz się, następnie spróbuj dowiedzieć się od rodziny, czy numer dzwoniącego jest zgodny z podaną przez niego tożsamością.
2. Pamiętaj, że policjant czy funkcjonariusz służb takich jak CBŚ nigdy nie zadzwoni do Ciebie z informacją o prowadzonej akcji.
3. Policjant, pracownik banku, prokurator nigdy nie poprosi cię o przekazanie komuś pieniędzy, przelanie ich na konto lub pozostawienie w jakimś miejscu.
4. Nigdy do niczego się nie zobowiązuj, najpierw porozmawiaj o zdarzeniu z rodziną, przyjaciółmi; jeśli masz podejrzenia – zgłoś sprawę policji.



Niekorzystne umowy

1. Nigdy nie podpisuj umowy, której nie przeczytałeś w całości i nie zrozumiałeś wszystkich jej zapisów. Jeśli chcesz iść na jakąś prezentację, poproś o towarzystwo kogoś z rodziny, orientującego się w sprawach prawnych. Jeśli firma jest nieuczciwa, już na wstępie będzie usiłowała zabronić wejścia na spotkanie Twojemu towarzyszowi.
2. Żadnej firmy nie stać na niezobowiązujące rozdawanie za darmo drogich prezentów – już takie brzmienie zaproszenia powinno obudzić Twoją czujność.
3. Nawet jeśli podpiszesz umowę, masz prawo w ciągu 2 tygodni od niej odstąpić; jeśli jest Ci to utrudniane, zgłoś sprawę do UOKiK, rzecznika konsumentów lub wprost do policji.



Lichwa

1. Nie sięgaj po kolejną pożyczkę lub kredyt zwłaszcza w parabanku, aby spłacić poprzednie zobowiązania – wpadniesz w pętlę zadłużenia.
2. Biorąc pożyczkę nie podpisuj dokumentów, które nie są dla Ciebie zrozumiałe.
3. Miej świadomość, że windykator nie ma żadnych podstaw prawnych, aby cię nękać czy zastraszać.
4. Gdy masz problemy wskutek lichwy czy działań windykatora, zgłoś się do Funduszu Sprawiedliwości. Tam otrzymasz pomoc prawną, jest też możliwość wsparcia materialnego.

Redaktor dodatku: Anna Raciniewska

eprasa.pl 8765b03b4d

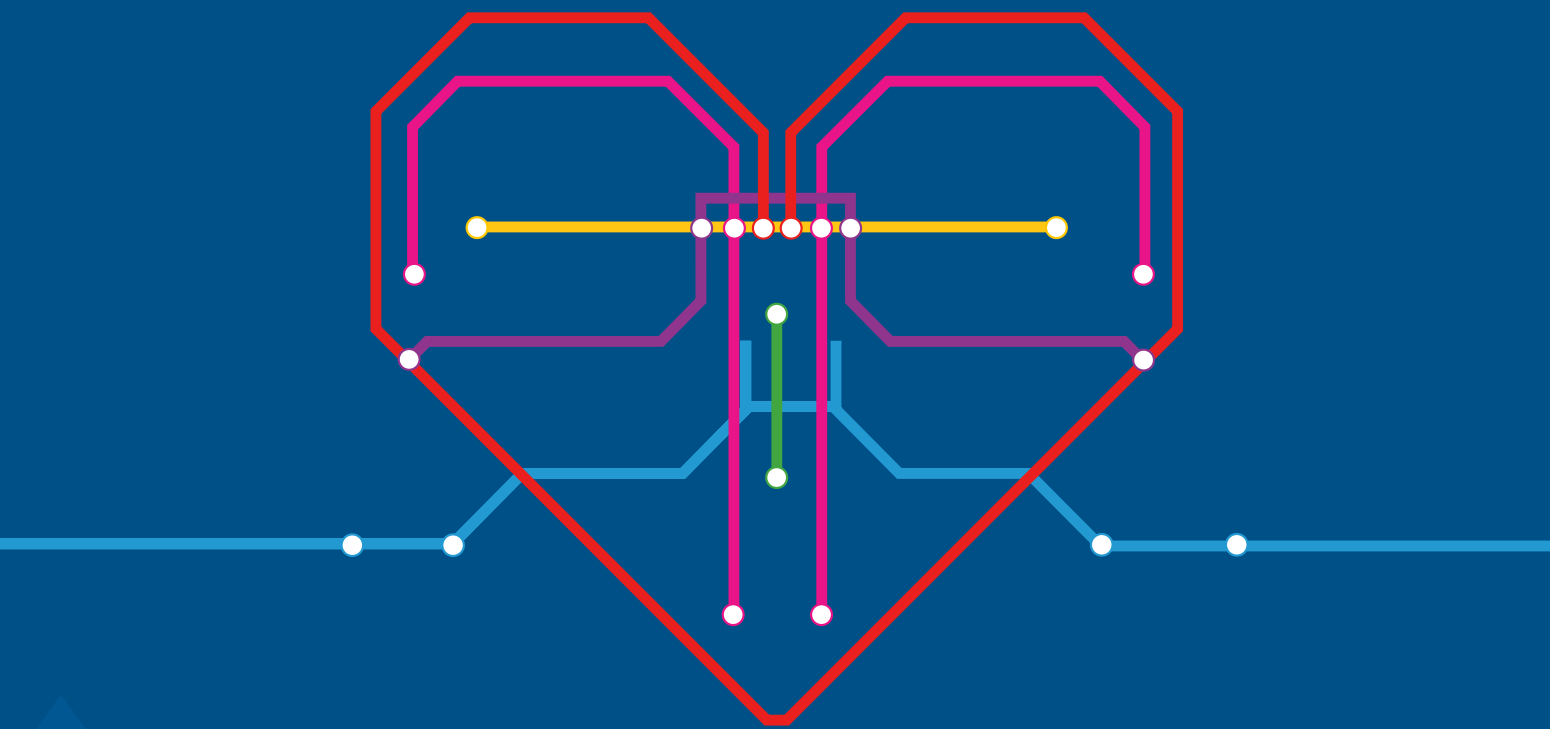
Rys. i fot. Shutterstock (x4) | 116/0119/F

99/01119/F

FUNDACJA GRUPY PKP

Pomóż nam pomagać

Nr KRS: **0000499069**



Pomagamy
Uczymy
Wspieramy

- Bezpieczeństwo
- Innowacje
- Środowisko naturalne
- Tradycje kolejowe
- Wolontariat

Przekaż 1% Fundacji Grupy PKP

Więcej informacji na: **www.fundacjapkp.pl**

eprasa.pl 8765b03b4d



Ucywilizować działalność odszkodowawczą

Fot. Shutterstock

To milowy krok w sprawie działalności kancelarii odszkodowawczych – w Senacie trwają prace nad ustawą, która kompleksowo ureguluje funkcjonowanie tych instytucji. Od lat zabiegają o to eksperci rynku, znający temat politycy, a przede wszystkim poszkodowani klienci. Tych ostatnich niestety nie brakuje, co pokazuje, jak ważne są odpowiednie regulacje



PIOTR FILIPCZYK

Praca kancelarii odszkodowawczych od lat budzi liczne kontrowersje. Niewypłacane odszkodowania, długotrwałe przetrzymywanie pieniędzy klientów, nachalna akwizycja na cmentarzach lub w szpitalach czy w końcu żerowanie na ludzkim nieszczęściu – to tylko niektóre z zarzutów formułowanych pod adresem tych instytucji.

Podstawowym zadaniem kancelarii odszkodowawczych jest reprezentowanie klienta w kontaktach z ubezpieczycielem lub podmiotem, który jest zobowiązany do wypłaty odszkodowania. W założeniach, skądinąd bardzo słusznych, tego typu podmioty mają pomagać ludziom, często będącym w trudnej sytuacji (na skutek wypadku, choroby czy śmierci bliskiej osoby itp.), jak najszybciej i jak najskuteczniej uzyskać świadczenie z posiadanej przez ich klientów polisy. W zamian za to pośrednik otrzymuje umówiony procent z uzyskanego odszkodowania lub stosowne wynagrodzenie. W rzeczywistości jednak nie wszystko wygląda tak ładnie jak na papierze.

Choć z każdym rokiem powstają nowe firmy parające się tą działalnością, to jak dotąd podmioty te nie są w żaden sposób nadzorowane, a ich funkcjonowanie nie jest regulowane żadnymi odrębnymi przepisami. To tworzy niebezpieczne pole do nadużyć i nieprawidłowości, skwapliwie wykorzystywane przez nieuczciwych pośredników.

Jak wylicza pomysłodawca nowej ustawy, przewodniczący senackiej komisji budżetu i finansów publicznych, senator Grzegorz Bierecki, „kroki prawne są konieczne, ponieważ nie istnieją żadne zabezpieczenia przed przetrzymywaniem lub defraudowaniem pieniędzy poszkodowanych".

Bierecki, nie bacząc na silny sprzeciw środowiska, od lat walczy o prawa ubezpieczonych i zabiega o unormowanie działalności tych podmiotów. Jak sam podkreśla, nie chce likwidować kancelarii odszkodowawczych, ale „ucywilizować ich działalność", tak by klienci zyskali ochronę przed tymi, którzy chcą ich oszukać lub wykorzystać. A tych niestety nie brakuje.

MILIONY ZAROBIONE NA LUDZKICH NIESZCZĘŚCIACH

Choć o kancelariach odszkodowawczych dość długo nie mówiło się w mediach, lista „grzechów", które mają na sumieniu niektóre z nich, jest naprawdę długa.

W 2014 r. „Panorama" TVP przedstawiła historię chorego na raka, niepełnosprawnego Łukasza, który padł ofiarą nieuczciwości jednej z takich firm.

– Łukasz, ofiara bestialskiego pobicia, miał otrzymać 25 tys. zł odszkodowania. Reprezentująca go kancelaria prawna z Legnicy wypłaciła mu zaledwie 3 tys. zł. Potem pobrała jeszcze 15 proc. prowizji i przestała się kontaktować z Łukaszem – alarmowali dziennikarze Telewizji Polskiej.

Będący w ciężkiej sytuacji życiowej człowiek został bezczelnie wykorzystany i de facto pozostawiony na lodzie.

eprasa.pl 8765b03b4d

Ze względu na szczególną sytuację ofiary sprawa z Dolnego Śląska poruszyła opinię publiczną i wywołała lawinę zgłoszeń od innych oszukanych osób. Nieprawidłowościom baczniej zaczęły się przyglądać organy ścigania.

Alarmujące informacje o działalnościach kancelarii odszkodowawczych zaczęły napływać z innych regionów Polski.

W 2017 r. do Prokuratury Okręgowej w Lublinie zgłosiło się kilkadziesiąt osób pokrzywdzonych przez kancelarię prowadzoną przez Karinę Ł., która choć odzyskiwała od ubezpieczycieli pieniądze klientów, „zapominała" przekazywać je dalej. – Kancelaria uzyskiwała należne odszkodowania, ale pieniądze nie trafiały na rachunki klientów – informowała Agnieszka Kępka, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Według doniesień prokuratury Karina Ł. mogła wyłudzić w ten sposób ponad 600 tys. zł.

Jak informowały lokalne media, metoda działalności Kariny Ł. była niezwykle prosta.

41-letnia kobieta prowadziła w Lublinie kancelarię zajmującą się dochodzeniem roszczeń odszkodowawczych. W ramach tej działalności zatrudniała pracowników, którzy poszukiwali osób pokrzywdzonych w wypadkach i zawierali z nimi umowy o dochodzenie odszkodowania. „Na podstawie tych umów Kancelaria Prawna Karina Ł. była upoważniona do podejmowania wszelkich czynności prawnych i faktycznych zmierzających od uzyskania świadczeń odszkodowawczych. Za uzyskanie odszkodowania kancelaria miała otrzymywać wynagrodzenie w wysokości 20 proc. + VAT (23 proc.) kwoty świadczenia. Pozostałe pieniądze zleceniobiorca miał w ciągu 7 dni przekazać na konto klienta" – czytamy na łamach „Kuriera Lubelskiego".

Tyle tylko że pieniądze nigdy nie trafiały do klientów. Niestety nie jest to przypadek odosobniony.

„Takie sytuacje zdarzają się w całej Polsce" – mówił w 2018 r. Marcin Tarczyński, ekspert Polskiej Izby Ubezpieczeń.

Jedna z najgłośniejszych spraw związanych z działalnością tego typu kancelarii dotyczyła Unijnego Centrum Odszkodowań z Łodzi. Prokuratura zarzuciła Zbigniewowi B., prezesowi kancelarii odszkodowawczej, że w latach 2008–2013 jako prezes firm działających pod różnymi nazwami, w tym pod nazwą Unijne Centrum Odszkodowań, przywłaszczył sobie ponad 4 mln zł. Pieniądze te należały do prawie tysiąca osób – głównie osób poszkodowanych w wypadkach drogowych.

Jednym z oszukanych przez łódzkie UCO był stolarz Zbigniew Chałupka, który w procesie podjął się roli oskarżyciela posiłkowego. Na działalności nieuczciwych pośredników stracił prawie 8 tys. zł.

„Gdy jechałem rowerem ul. Piotrkowską, wpadłem na bus, który nagle skręcał w bramę posesji. Spadłem z roweru i bardzo się potłukłem. Doznałem urazu głowy. Mocno krwawiłem. Trafiłem do szpitala im. Pirogowa, w którym zszyto mi rany głowy. Od policjanta dowiedziałem się, że mogę wystąpić o odszkodowanie. Pewnego dnia jadąc do centrum handlowego, zauważyłem duży billboard reklamujący usługi Unijnego Centrum Odszkodowań. Poszedłem do siedziby tej firmy przy ul. Rzgowskiej. Już w poczekalni uwagę zwracały liczne certyfikaty mające podkreślić wiarygodność tej firmy. Zresztą już sama jej szumna nazwa miała wzbudzać zaufanie. Wszystko to była fikcja, bo zostałem oszukany. Podpisałem umowę, z której wynikało, że jeśli zostanie przyznane mi odszkodowanie, to pieniądze trafią na konto Unijnego Centrum Odszkodowań, które potrąci sobie 25 proc. prowizji, a resztę prześle na moje konto. Tak się nie stało, bowiem firma przejęła całe odszkodowanie w wysokości 7,5 tys. zł, z których nic nie otrzymałem" – opowiadał Zbigniew Chałupka w rozmowie z dziennikarzami lokalnych mediów.

W samej Łodzi i okolicach podobnych osób znalazło się blisko tysiąc. Większość z nich nie otrzymała od UCO ani złotówki, a firma zarobiła na ich nieszczęściu miliony złotych.

BIZNES NA GROBACH I PRZY SZPITALNYCH ŁÓŻKACH

Senator Grzegorz Bierecki podkreśla, że odkąd zaczął się zajmować tą sprawą, także do niego zgłaszają się zrozpaczeni ludzie, którzy proszą o pomoc w odzyskaniu zagrabionych pieniędzy. Bierecki zwraca uwagę, że niejednokrotnie słyszał o przypadkach akwizycji i reklamowania usług kancelarii odszkodowawczych prowadzonych na cmentarzach, w szpitalach czy bezpośrednio po zdarzeniu, kiedy poszkodowany lub cierpiący nie mógł być w pełni świadomy podejmowanych decyzji.

– Utrzymywanie stanu takiego jak obecnie, gdy umowy zawierane są na SOR, zaraz po wypadku, kiedy te osoby są w szoku, w domu pogrzebowym albo na korytarzu w sądzie, jest bardzo szkodliwe dla obywateli. Ludzie skarżą się na to, że podetknięto im umowy w sytuacji, w której nie byli w stanie ich przeanalizować. Zawarli tę umowę i nie mogli się z niej wycofać – mówi Grzegorz Bierecki.

Proponowane przez senacką komisję budżetu i finansów publicznych zmiany mają ukrócić te patologie.

– Kancelarie odszkodowawcze nie są podmiotami regulowanymi ani nadzorowanymi. Ta ustawa przynosi minimalne wymogi w działalności kancelarii, przede wszystkim kwestię ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej za świadczone usługi – tłumaczy senator PiS.

Bierecki chciałby również uregulować kwestię wypłat odszkodowania w taki sposób, aby były one zawsze kierowane do klienta. – Chodzi o to, żeby pieniądze nie były przetrzymywane przez kancelarie odszkodowawcze, ale jak najszybciej przekazywane ludziom, co ograniczy niebezpieczeństwo upadku kancelarii i przepadku środków – wyjaśnia senator.

Parlamentarzysta zwraca również uwagę na konieczność uregulowania wysokości prowizji pobieranych przez kancelarie i wprowadzenie zakazu pobierania przez nie wynagrodzenia ze środków, które przeznaczone są na pokrycie kosztów leczenia.

– Przede wszystkim zabezpieczenie poszkodowanego, a dopiero później zysk pośredników – to musi być rozwiązane uczciwie – przekonuje senator.

Liczba osób poszkodowanych przez kancelarie świadczy o tym, że zmiany w prawie są konieczne. Państwo polskie musi bronić swoich obywateli przed tymi, którzy chcą wykorzystać ich nieszczęśliwe położenie. To obowiązek rządzących. Nawet jeżeli po drugiej stronie stoją osoby, które nie chcą tych zmian.

eprasa.pl 8765b03b4d

Świat zwariował
czy to ludziom w głowach się pomieszało?





JANUSZ SZEWCZAK

Świat, mimo że minęło już ponad 10 lat od wielkiego kryzysu finansowego, jest dziś jeszcze bardziej w zamęcie i na zakręcie dziejowym. Żadne przyczyny i korzenie zła w sferze społecznej, gospodarczej czy finansowej nie zostały usunięte. Wszystko się pokręciło, absurd, kłamstwo, niegodziwość, spekulacja i manipulacja, a nawet zwykły kretynizm triumfują

Nie tylko u nas, nad Wisłą, lecz również na całym świecie coraz częściej białe staje się czarne, strata okazuje się zyskiem, z głupoty i pogardy uczyniono cnotę, z łotrów robi się świętych, z notorycznych kłamców autorytety i wzór do naśladowania dla młodego pokolenia, które jest coraz bardziej roszczeniowe.

Po dekadzie uporczywej walki z nadmiernym zadłużeniem ze strony banków centralnych i dopompowaniu ponad 20 bln dol. tzw. gorącego pieniądza, po rzekomej, bezlitosnej walce z megaspekulacją i tzw. banksterką długi świata urosły do niebotycznych rozmiarów – ok. 250 bln dol., co oznacza ponad 300 proc. światowego PKB. Na Sycylii można kupić dom za 1 euro, pod warunkiem dokonania remontu, czyli za mniej niż cena filiżanki espresso. Prezydent USA Donald Trump chce zbudować za ok. 6 mld dol. mur na granicy z Meksykiem, odgradzający Amerykę od nielegalnych imigrantów, przestępczości i narkotyków. Tymczasem niemiecka kanclerz Angela Merkel nie tylko otworzyła granice na oścież dla muzułmańskich uchodźców ekonomicznych i radykałów, wydając na to dziesiątki miliardów euro, lecz również zakazuje innym unijnym krajom skutecznej ochrony swych granic. Trudno się jednak dziwić, skoro według ostatnich badań niemieckiej Fundacji im. Friedricha Eberta Niemcy bardziej boją się USA i Donalda Trumpa niż Rosji i Władimira Putina. Prezydent USA wprowadza zawieszenie prac rządu (shutdown), a były prezydent George Bush dostarcza urzędnikom rządowym pizzę.

Francuska klasa pracująca, „stan trzeci", czyli tzw. żółte kamizelki, już 13. tydzień walczą ze swymi politycznymi elitami, zwłaszcza z prezydentem Emmanuelem Macronem. Bilans ofiar protestów we Francji to już ponad 10 osób zabitych, kilka tysięcy rannych i tysiące zatrzymanych, ale wiceszef Komisji Europejskiej Frans Timmermans nie widzi w tym żadnego problemu i cieszy się, że nadal „grillowane" są Polska i Węgry. Francja i Niemcy masowo wybijają dziki w walce z chorobą ASF, ale to w Polsce trwają demonstracje, a różne komediantki piszą protest songi w obronie dzików i chcą je zasłonić własną piersią.

Ostatnio we Włoszech każdy, kto nie pracuje, może dostać od państwa tzw. dochód podstawowy w wysokości 780 euro (ok. 3,3 tys. zł), u nas opozycja nadal nie może darować rządowi i zaakceptować programu Rodzina+, czyli 500 zł na dziecko w biednej rodzinie, i zapowiada zlikwidowanie zasiłku.

W wielu miejscach w Afryce nie ma wody, są za to internet i transmisja z gali rozdania Oscarów. Mamy na świecie miliony głodujących i handel niewolnikami, w Belgii i Holandii dopuszcza się eutanazję 12–14-letnich dzieci. Mamy już praktycznie kilkumiesięczne

eprasa.pl 8765b03b4d



Fot. Shutterstock

handlowe „Merry Christmas", choć jest coraz mniej kościołów i chwil zadumy, jest za to nieustająca walka z chrześcijaństwem oraz sacrum.

Wszystko się wszystkim pomieszało, tylko czy to świat zwariował, czy też ludzie stali się wyzuci z wszelkich wartości i zasad?

Niemiecka gazeta w Polsce i niemieckie media w Niemczech po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska rozpętały kampanię nienawiści i oskarżeń. Pojawiły się w nich m.in. takie tytuły: „Nie darujemy wam tej śmierci" oraz „Przestańcie niszczyć nas swoją nienawiścią", które pasują jak ulał do tego, co czynią niemieccy politycy oraz niemieckie media wobec polskiego rządu od ponad trzech lat. Bo nie o uczucia tu chodzi ani o ludzką wrażliwość, ale o nowe polityczne rozdanie i niemieckie interesy nad Wisłą.

Była prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz zauważyła „zło" w figurkach z plasteliny, choć wcześniej nie dostrzegła zorganizowanej grupy przestępczej w ratuszu, wielomilionowych łapówek, mafii reprywatyzacyjnej ani ludzkich dramatów tysięcy warszawiaków wyrzucanych z własnych domów.

> W wielu miejscach w Afryce nie ma wody, są za to internet i transmisja z gali rozdania Oscarów

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego bez najmniejszej żenady przyrównuje Jerzego Owsiaka do Jezusa Chrystusa, a dziennikarka Superstacji Matkę Boską do Czerwonego Kapturka. Mowa nienawiści to taka, która się nie podoba totalnej opozycji, kłamstwo to dla wielu tylko inna interpretacja faktów. Największa medialna „afera" dotyczy dwóch wież – biurowców, których nie wybudowano, i miliardowego kredytu, którego nie udzielono. Wielu ludziom smartfon, Twitter, Facebook czy YouTube całkowicie zastąpiły umysł, obyczaje i charakter. Starannie zaciera się dziś granicę między tym, co dobre, i tym, co złe, między tym, co głupie i podłe, a tym, co mądre i szlachetne, między samodzielnym myśleniem i oceną faktów a zwykłym hejtem czy fake newsami, pomiędzy nienawiścią a miłością, złymi emocjami, świadomie inspirowanymi w celach politycznych a poczuciem odpowiedzialności za wspólnotę i zwykłą ludzką sprawiedliwością.

Dobro i godność ludzka, szczere i prawdziwe słowa, choćby nawet surowe, wyszły już z mody, ludzkie odruchy zastąpiono wyrokami social mediów i zaklęciami celebrytów.

Współczesny establishment czy tzw. elity coraz bardziej przypominają zbieraninę ludzi niegodziwych, złych, nieudaczników, notorycznych kłamców i podżegaczy. Ludzi zdemoralizowanych, chciwych i żądnych władzy. Ludzi bez wizji i pomysłu na lepszą przyszłość własnych wspólnot oraz narodów, dalekich od zdrowego rozsądku i przyzwoitości. A przecież przed światem, Europą, ale i naszym krajem stoją wielkie wyzwania: sprostania rosnącej konkurencji w sferze gospodarczej, przemysłowej i naukowej, zlikwidowania lub choćby ograniczenia ciągle rosnących dysproporcji majątkowych i dochodowych, chciwości wielkich i bogatych – połowa światowego majątku należy do 100 osób. Rozprawić się też trzeba z powszechną wręcz spekulacją i manipulacją na rynkach finansowych, rozrastającą się biurokracją, odhumanizowaniem procesów społecznych i gospodarczych, nowym zagrożeniem ze strony robotyzacji czy sztucznej inteligencji.

Świat stoi niewątpliwie przed koniecznością wykreowania nowych, bardziej uczciwych, sprawiedliwych i kompetentnych elit. Jeśli chce przetrwać.

eprasa.pl 8765b03b4d

Pożyczka szerokopasmowa

95 lat BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Buduj szybki internet



Prawie 700 mln zł – tyle wynosi pula przeznaczona na niskooprocentowane pożyczki dla przedsiębiorców, którzy chcą budować i rozbudowywać sieć infrastruktury telekomunikacyjnej

Pożyczka szerokopasmowa z Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa to wyjątkowa oferta dla przedsiębiorców telekomunikacyjnych. Podstawowym przeznaczeniem pożyczki szerokopasmowej jest budowa, rozbudowa lub modernizacja infrastruktury dostępowej do internetu o wysokich przepustowościach: minimum 30 Mb/s dla gospodarstw domowych oraz biznesu i minimum 100 Mb/s dla jednostek oświatowych. To niejedyne możliwości wykorzystania pożyczki, jej przeznaczenie może być dużo szersze. Poza przedsięwzięciami infrastrukturalnymi możliwe jest również finansowanie wydatków płynnościowych w celu wzmocnienia kondycji finansowej, a w konsekwencji również pozycji rynkowej podmiotów z sektora MŚP.

Fot. Shutterstock | 114/0119/F

eprasa.pl 8765b03b4d

PRZEWAGA POŻYCZKI SZEROKOPASMOWEJ NAD INNYMI PRODUKTAMI

Główną przewagą pożyczki nad dotacjami celowymi jest szeroki katalog kosztów i inwestycji, które można sfinansować. Dodatkowo w przypadku, kiedy otrzymaliśmy już dotację z POPC, pożyczka może uzupełnić nasze finansowanie. Wówczas przedsiębiorca telekomunikacyjny może się ubiegać o pożyczkę szerokopasmową w trakcie rozpoczętej inwestycji i sfinansować kilka przedsięwzięć jednocześnie. Kolejną zaletą pożyczki szerokopasmowej jest brak ograniczeń terytorialnych – inwestycje można realizować w regionach, w których nie ma infrastruktury przesyłowej do szybkiego internetu, jak również w tych, gdzie funkcjonuje nawet kilku operatorów takich usług.

– Staramy się na bieżąco dostosowywać pożyczkę szerokopasmową do uwarunkowań rynkowych oraz potrzeb ostatecznych odbiorców. Oprócz finansowania inwestycyjnego obecnie możliwe jest również finansowanie działalności bieżącej przedsiębiorstw telekomunikacyjnych z sektora MŚP, w tym podatku od towarów i usług, z wyłączeniem VAT w projektach dotacyjnych. Jednocześnie pracujemy nad zwiększeniem liczby aktywnie działających pośredników finansowych bezpośrednio udzielających wsparcia ostatecznym odbiorcom. Mamy nadzieję, że nowe instytucje finansowe jeszcze w bieżącym półroczu przystąpią do projektu POPC. Umożliwi to szerszą dostępność produktu na rynku, a jednocześnie wykreuje większą konkurencyjność, co niewątpliwie będzie miało bezpośrednie przełożenie na ofertę skierowaną do przedsiębiorców – mówi Michał Kopeć, dyrektor Biura Rozwoju Instrumentów Finansowych w Departamencie Programów Europejskich Banku Gospodarstwa Krajowego.

POŻYCZKA SZEROKOPASMOWA – parametry główne:

- Kwota pożyczki: **od 20 tys. do 10 mln zł**.
- Karencja w spłacie kapitału: **do 30 miesięcy**.
- Maksymalny okres spłaty: **do 15 lat**.
- Minimalny wkład własny inwestora: **5 proc.** (ostateczna wartość wkładu własnego określona zostanie w momencie aplikowania o środki pożyczki).
- Możliwość stosowania **zabezpieczeń na przedmiocie finansowania**: zastawu na finansowanej infrastrukturze i cesji z przychodów z umów abonenckich.
- Oprocentowanie: **preferencyjne** (na podstawie schematu de minimis od 0,25 proc. w skali roku) lub **rynkowe** (na podstawie stopy referencyjnej Komisji Europejskiej).

Co sfinansuje POŻYCZKA SZEROKOPASMOWA – przykładowe cele inwestycyjne:

- roboty budowlane, materiały budowlane, koszty dostaw;
- przygotowanie dokumentacji niezbędnej do wykonania robót budowlanych;
- niezbędne nadzory (archeologiczny, budowlany, autorski, inwestorski itp.);
- nabycie prawa do dysponowania nieruchomością związaną z realizacją projektu wraz z opłatami dla właściciela;
- instalacja linii kablowych i ich duktów do oraz wewnątrz budynków, w tym wewnątrz mieszkań;
- aktywne elementy sieci umieszczane lub instalowane w budynkach, w szczególności koszty urządzeń abonenckich;
- aktywne elementy sieci, w szczególności urządzenia telekomunikacyjne, w tym urządzenia radiowe instalowane w telekomunikacyjnej sieci szkieletowej i dystrybucyjnej;
- działania informacyjno-promocyjne (pod warunkiem że są związane bezpośrednio z realizowanym projektem – do wysokości 10 proc. wartości projektu ogółem), takie jak: plakaty, ulotki, filmy promocyjne, tablice informacyjne i pamiątkowe;
- opłaty publicznoprawne związane z przygotowaniem i realizacją projektu, w szczególności z wydaniem decyzji, zgód i zezwoleń;
- inne środki trwałe niezbędne do realizacji projektu.

Co zrobić, aby dowiedzieć się więcej o pożyczce szerokopasmowej?

Obecnie pożyczki szerokopasmowe oferują instytucje współpracujące z BGK:

Alior Bank S.A.
Tel.: 12 370 70 00
www.aliorbank.pl

oraz

Towarzystwo Inwestycji Społeczno-Ekonomicznych S.A.
Tel.: 22 636 0740
www.tise.pl

Menedżerem projektu jest **Bank Gospodarstwa Krajowego**
Departament Programów Europejskich, Al. Jerozolimskie 7, 00-955 Warszawa
Tel.: +48 22 522 94 10
E-mail: sekretariatDPE@bgk.pl

Dowiedz się więcej, wejdź na www.bgk.pl/popc

Artykuł sponsorowany przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Przyznanie pożyczki zależy od pozytywnej oceny zdolności kredytowej.
Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

Fundusze Europejskie Polska Cyfrowa
Rzeczpospolita Polska
CENTRUM PROJEKTÓW POLSKA CYFROWA
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 8765b03b4d

TOMASZ MANDES **AKTOR, PRODUCENT**

Kwestia wyczucia



Pochodzę z rodziny wielodzietnej. Mam pięciu młodszych braci (Rafała, Jacka, Sławka, Krzyśka i Piotra). Bardzo szybko musiałem stać się kimś w rodzaju taty, więc dziś trzech synów mnie nie przeraża.

W dzieciństwie najszybszym daniem były kanapki. Przy sześciu facetach – w dużej rozpiętości wieku – na śniadanie czy kolację potrafiło pójść dwa i pół bochenka chleba. I znikało to z talerza w trybie natychmiastowym. Posiłki przypominały więc raczej fast food niż wyrafinowaną restaurację.

Moje gotowanie pojawiło się później, a to dlatego, że ojciec świetnie sobie radził w kuchni. Miał to po swojej mamie. Ja właściwie poznawałem kulinarne tajniki od babci. Babci Mani. Nie będę się przechwalał, ale w obecnym domu też głównie ja urzęduję w kuchni.

Żeby wyżywić ośmioosobową rodzinę, tata pracował na dwa etaty. Nie gotował codziennie (to spoczywało na mamie), ale w sobotę, niedzielę kuchnia stawała się jego królestwem. Nikt nie miał do niej prawa wstępu. Jako najstarszy byłem pierwszy dopuszczany do tego sanktuarium.

Tata miał wyczucie smaku, ale potrafił też dostarczyć rodzinie najlepszej jakości mięso i wędliny. W tamtych czasach – dziś może to brzmieć dziwnie – poza tym, że pracował, prowadził jeszcze gospodarstwo. Hodował świnie i sam je oprawiał, a potem przetwarzał. Robił m.in. kiełbasy, kaszankę.

Był mistrzem tradycyjnych dań. A jego bigos... zajadałem się nim. To smak mojego dzieciństwa. Mama z kolei robiła świetne makarony, kopytka (do dziś potrafię zjeść ich każdą ilość) i rewelacyjne pierogi. Nikt jej w nich nie dorównuje. Przed świętami potrafi przez trzy dni ulepić kilka tysięcy (!) pierogów. Dla całej rodziny i dla sąsiadów, którzy zamawiają je u niej. Mówią, że pierogi Marzenki są najlepsze na świecie. Piecze też znakomite ciasta. Z dzieciństwa pamiętam murzynka w polewie z kakao, bo o czekoladę było trudno.

Moje obecne gotowanie ma wiele wspólnego z tym, co wyniosłem z domu, chociaż wyspecjalizowałem się w makaronach. I pastach. Mam dużo sprawdzonych przepisów. I wciąż eksperymentuję. Do makaronu można właściwie dodać wszystko. To tylko kwestia wyczucia. I smaku.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Błyskawiczne bolognese

Lubię ostrą kuchnię, więc zawsze muszę się upewnić, że ci, których będę daniem częstował, wytrzymają ten poziom ostrości. Jeśli nie, przygotowuję dwie wersje. W obu jest tajny składnik, o którym za chwilę…

Mięso wieprzowo-wołowe mielimy. Czosnek (nie wyciskam go, tylko drobno kroję) podsmażam na oliwie do momentu delikatnego skarmelizowania. Dodaję pomidory (najlepiej świeże, ale mogą być w puszce). Teraz jest czas na tajny składnik, czyli tartą marchewkę (w proporcjach nie więcej niż 1/10 części pomidorów, żeby nie zaburzyć innych smaków, ale nadać specyficznej łagodności i słodyczy). Wszystko razem dusi się do czasu uzyskania pulpy. Potem – osobno – na patelnię trafia mięso. Dopiero po zmieszaniu składników całość doprawiamy: bazylią, oregano, odrobiną ziół prowansalskich. Do smaku, żeby nie przesadzić. Także z solą i pieprzem. Ostrym dopełnieniem, na sam koniec, są papryczki. Świeże (szukam ich smaku również w czasie podróży; kiedyś z Meksyku przywiozłem parę kilogramów różnych rodzajów). Jest też tarty ser. Dojrzewający. Mamy teraz spory wybór, każdy z nich zmienia trochę smak, więc można eksperymentować.



Fot. Kurnikowski/AKPA | Shutterstock x3

eprasa.pl 8765b03b4d

SŁODKO-SŁONY

Na odporność

ANNA MONICKA

Kiedy pogoda robi się tak uciążliwa jak ostatnio, i jednego dnia mamy okazję przeżyć zimowe zawieruchy, lodowate wichury z deszczem, a chwilę później wiosenne, niemal kwietniowe słońce, świetnie czują się chyba tylko bakterie i wirusy. My na przednówku jesteśmy coraz bardziej skapcaniali, osłabieni i podatni na choroby. Jeśli chcemy ten czas przetrwać i w niezłej formie powitać wiosnę, powinniśmy popracować nad odpornością i oczyścić organizm. Najlepiej zacząć od razu i od rana.

Zanim zrobicie sobie na śniadanie jajecznicę, dobrze jest popić ciepłą lub gorącą wodę z cytryną. Napój ten oczyszcza po nocy organizm (na przykład z kamieni nerkowych, pomaga też strawić tłuszcze), nawadnia i odchudza. Będzie dodatkowo antybakteryjny i antywirusowy, jeśli dodacie świeżo starty imbir. Podobnie działa woda z kurkumą – żółtą przyprawą, która pobudza wątrobę do odtruwania, ma właściwości przeciwzapalne i nie dopuszcza do gromadzenia się cholesterolu. Kurkumina jest też silnym przeciwutleniaczem, który chroni przed nowotworami. Tyle o napojach.

Na śniadanie jajko – najlepiej na miękko, żeby witaminy z żółtka były dobrze przyswajalne. Ewentualnie w lekkim omlecie z zielonym groszkiem i szczypiorem lub zapiekane w pomidorach. Do tego awokado – ma najzdrowsze naturalne tłuszcze. Rozgniatamy zielony miąższ widelcem, dodajemy czosnek, drobno posiekaną szalotkę, trochę chili, oliwę, sok z limonki, sól i pieprz. Zajadamy na żytnim chlebie. To o wiele smaczniejsza szczepionka niż sam rozgnieciony czosnek na pumperniklu – i równie skuteczna. Poza tym mniej śmierdzi. Dobre, dojrzałe awokado można też po prostu jeść łyżką, nawet bez przypraw. Drugie śniadanie – koktajl bananowo-jabłkowy z pietruszką albo pomarańczowy z jarmużem.

Obiad – wywary warzywne albo rosół na porządnym kurczaku. Ewentualnie miksowane zupy warzywne: dyniowa, ziemniaczana, kapuściana, zagęszczane ziemniakiem i szczodrze posypane rozgrzewającymi przyprawami: curry, chili, masalą. Pieczona ryba – na przykład dorsz posypany tartą pietruszką, marchwią i selerem.

Podwieczorek – zapiekanka z kalafiora, brokułów i brukselek polanych oliwą, posypanych orzechami lub migdałami, posolonych i oprószonych masalą.

Kolacji lepiej nie jeść. Gdyby jednak kogoś ssało, sprawdza się oprószona parmezanem cukinia, delikatnie zapieczona i skropiona cytryną.

Aby do wiosny!



WILCZYM OKIEM

Gotować czy piec?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ



Czy któryś ze sposobów przyrządzania potraw jest doskonalszy od pozostałych? Czy wybór metody obróbki mięsa może mieć wpływ na naszą lokalizację w porządku natura–kultura? Levi-Strauss na oba pytania odpowiedział: tak. Myśl o tym, że relacje pomiędzy sposobami przygotowywania jedzenia tworzą szczególną strukturę, zrodziła się w głowie francuskiego antropologa jako element większego systemu zwanego strukturalizmem. Levi-Strauss, stosując metodę strukturalną, przebadał mitologię, społeczeństwo i język. Następnie sformułował twierdzenie, że skoro nie istnieje społeczeństwo bez języka, tak samo nie może istnieć społeczeństwo, w którym nie przyrządzałoby się jedzenia.

Strukturalizm oczywiście wymaga stworzenia struktury. Do zilustrowania relacji człowiek–jedzenie Levi-Strauss posłużył się strukturą trójkąta. Na jego wierzchołkach są następujące kategorie: to, co surowe; to, co przyrządzone; to, co popsute – przy założeniu, że kategoria „popsute" zawiera w zależności od kręgu kulturowego rozmaite elementy, np. sery długodojrzewające (sądzę, że również ogórki kiszone). Transformacja z surowego w przetworzone jest domeną kultury, natomiast z surowego w popsute domeną natury. Trójkąt kulinarny jest także płaszczyzną do prezentacji sposobów przyrządzania jedzenia.

Najprostsze i najbliższe naturze jest pieczenie, które nie wymaga żadnego zapośredniczenia. Zapośredniczenie w wodzie i naczyniu jest cechą gotowania, stąd uznanie tej metody za doskonalszą, najbardziej wysublimowaną i najbliższą kulturze, wszak garnek jest obiektem kulturowym. Pieczenie czy grillowanie jest metodą charakteryzującą najmniej rozwinięte, najbardziej pierwotne społeczności, wymagającą jedynie ognia.

Opozycja pieczenie–gotowanie jest niezwykle złożona i wypełniona przeróżnymi znaczeniami. Gotowanie prezentuje endokuchnię przeznaczoną dla wąskiego, rodzinnego, zamkniętego grona (gotowana w rosole kura), podczas gdy pieczenie to egzokuchnia, skierowana na zewnątrz, dla osób spoza rodziny, gości (Levi-Strauss przywołuje tradycyjną francuską pieczeń podawaną z kaparami i oliwkami). Pieczenie związane jest z mężczyzną, gotowanie z kobietą. Pieczenie z arystokracją, gotowanie z demokracją.

Z kręgu tych odwiecznych opozycji wybawia nas trzecia kategoria przyrządzania potraw – wędzenie...

eprasa.pl 8765b03b4d

72 proc.

PIOTR SKWIECIŃSKI

Nazwisk nie wymienię, bo nie idzie o satysfakcję z dowalenia komuś, tylko o zjawisko. Napiszmy więc tylko, że pewien dżentelmen, całe życie robiący w tzw. kulturze na ważnych stanowiskach, opublikował internetowy mem mający przedstawiać strukturę wykształcenia wyborców PiS. A jedna z najważniejszych egerii elit III RP bez słowa komentarza ów mem repostowała. Oboje uczynili tak, mimo że „dane" zawarte w tym memie są więcej niż dziwaczne, tak że powinny być odrzucone z miejsca jako oczywista fikcja przez każdego umiejącego liczyć do stu. Głoszą bowiem, jakoby ogromna większość głosujących na partię Kaczyńskiego, aż 72 proc., to ludzie legitymujący się wykształceniem... niepełnym podstawowym.



Nikt nie jest zaszczepiony przeciw idiotyzmowi

Te bzdury powinny kłuć w oczy absurdalnością nawet najbardziej rozemocjonowanych wrogów PiS. Przecież wystarczy rzucić na nie okiem, by zrozumieć, że podany tam odsetek wyborców tej partii, niemających nawet wykształcenia podstawowego, oznaczałby, iż istnieje ogromna liczba Polaków, którzy nie skończyli podstawówki. Co kłóci się i ze zdrowym rozsądkiem, i z wiedzą o istnieniu powszechnego obowiązku szkolnego.

Tylko że to pokraczne coś kompletnie nie wzbudziło ostrzegawczych sygnałów ani u przywołanego na początku tekstu dżentelmena, ani u egerii, ani u ich znajomych, w tym o znanych nazwiskach, którzy na Facebooku zaczęli się na wyprzódki entuzjazmować podanymi im do wierzenia „faktami". „Faktami", które – powtórzmy – powinny być przez każdego obywatela wykształconego na poziomie chociażby, nomen omen, podstawowym uznane za niedorzeczne i w oczywisty sposób fałszywe już w momencie, w którym zostanie on z nimi zaznajomiony.

A tu – nic z tych rzeczy. Co skłania do zastanowienia. Nawet nie nad nieszczęsnymi panami i paniami wypowiadającymi się pod memem, tylko nad światem, w którym oni i one egzystują. Czy dokładniej nad dwoma jego aspektami.

Po pierwsze, nad ewolucją pojęcia prawdy. Przypuszczam bowiem, że spora część spośród nich tak naprawdę w momencie, w którym dawała wyraz entuzjazmowi w związku z danymi z mema, w konwencjonalnym sensie nie uważała ich za prawdziwe. Nie, bynajmniej nie uwierzyła, że 72 proc. wyborców PiS ma wykształcenie niżej niż podstawowe. Tylko... tak dalece wyborcami tej partii gardzi, że uznała, iż jest to prawda w niejako wyższym, nie prostackim i materialnym rozumieniu. Może i oni jakieś tam dyplomy mają, ale są tak głupi, że ich mieć nie powinni. Więc nawet jeśli te dane są fałszywe, to w innym, ważniejszym sensie są prawdziwe.

Bardzo to jest bolszewickie. Bo to przecież bolszewizm wprowadził pojęcie „szpiega obiektywnego", który wcale nie musiał być szpiegiem „subiektywnie". Ale zarazem bardzo to współczesne. Postmodernistyczne. Bo jeśli obiektywnej prawdy nie ma, jeśli świat jest mieszaniną rozmaitych roztańczonych sensów, to... To w sumie dlaczego zdanie „72 proc. wyborców PiS ma wykształcenie niepełne podstawowe" nie może być jednocześnie fałszywe i prawdziwe? Jeśli tak, to my wybieramy sobie wersję, że jest prawdziwe i tego się trzymajmy, nikt nam tej naszej prawdy nie odbierze. A już zwłaszcza za pomocą czegoś tak trywialnego i prymitywnego jak fakty.

Ale jest i po drugie. Bo inna część entuzjazmujących się memem przedstawicieli elit, jak sądzę, nie uwierzyła w jego prawdziwość w żadnym, nawet tak wyrafinowanym jak przedstawiony wyżej, sensie. Nie, po prostu ucieszyła się, że widzi coś, co „wali w pisiorów", coś, co zaboli wroga (czy raczej – zabolałoby go, gdyby on to coś zobaczył, przy czym raczej nie zobaczy, bo obiegi informacyjne obu polskich plemion są zamknięte). I dała wyraz swej radości. Myśląc, że nawet jeśli to nieprawda, to fajna nieprawda, a tak w ogóle to nie należy pozwalać sobie na luksus wątpliwości, gdy wokół trwa armagedon.

W tym momencie można by spointować, pisząc np., że elity III RP kierują się wyłącznie własnym interesem klasowym, i to on jest dla nich podstawowym instrumentem dla nazwania czegoś prawdą lub nieprawdą. Mógłbym też napisać, że ten poziom postrzegania świata jedynie przez pryzmat własnego interesu owocuje takim poziomem odrealnienia, że jasne staje się, iż oni władzę stracić musieli i że muszą mieć wielkie trudności z jej odzyskaniem.

Byłoby to jednak prawdą niepełną. Bo brednie inne, ale podobnego stopnia można znaleźć również na prawicowych profilach. Wydaje mi się wprawdzie, że może nie aż tak elitarnych, że prawicowa czołówka intelektualna, w porównaniu z liberalną, rzadziej reprodukuje oczywiste głupoty czy paranoje, ale... może mi się tylko wydaje? Może ulegam podświadomie odruchowi solidarności ze swoimi?

Na pewno mogę powiedzieć jedno. Nikt, w tym i my, nie jest zaszczepiony przeciw idiotyzmowi. Nie w sensie popadnięcia w ten stan umysłowy, tylko instynktownego obniżania poprzeczki czujności, kiedy usłyszymy czy przeczytamy nonsens nawet najbardziej nonsensowny, tyle że potwierdzający naszą wizję świata.

Wtedy, jeśli się nie powstrzymamy, to możemy się obudzić gdzieś tuż obok tych, którym poświęciłem ten felieton.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8765b03b4d

Stalinowska kłamczucha prowokuje



Andrea Mitchell nie jest słodką medialną idiotką, która świat zna tylko z Instagrama, Twittera czy Tindera i nie ma pojęcia, kto był kim w II wojnie światowej. Pani Mitchell ma 73 lata i jest NBC News Chief Foreign Affairs Anchor, szefową korespondentów oraz komentatorów działu zagranicznego jednej z największych amerykańskich telewizji, byłą żoną Alana Greenspana, wieloletniego szefa Rezerwy Federalnej USA. Od lat relacjonuje najważniejsze wydarzenia, przeprowadza wywiady z prezydentami i premierami. Na Twitterze ma 1,7 mln obserwujących, jej programy ogląda wiele milionów opiniotwórczych widzów na całym świecie. To jedna z najbardziej wpływowych dziennikarek świata.

Jej stwierdzenie w relacji ze stolicy Polski, że „w warszawskim getcie Żydzi walczyli przeciw polskiemu i nazistowskiemu reżimowi" (można było tego „i" nie usłyszeć), nie jest więc objawem przerażającej ignorancji, jak przez chwilę sądziłem. Myślę, że Andrea Mitchell absolutnie cynicznie przesuwa granicę poniżania Polski i Polaków, by potwierdzić naszą bezradność, która będzie kluczowa, gdy przyjdzie do realizacji uchwały JUST, czyli zmuszenia Polski do przekazania miliardów organizacjom amerykańskich Żydów.

O „polskich obozach śmierci" usłyszałem w USA dokładnie 30 lat temu, włos zjeżył mi się na głowie i zacząłem swą skromną wojenkę z Wielkim Kłamstwem oraz ignorancją. Wymyśliłem program „Życie za życie", w jego ramach zarejestrowaliśmy relacje kilkudziesięciu świadków, zrealizowaliśmy kilka skromnych filmów o Polakach ratujących Żydów. Ale bardzo niewielu nas było w mediach w tej sprawie. I nadal jest niewielu. Skromny film „Historia Kowalskich", jaki zrobiliśmy z Arkadiuszem Gołębiewskim 10 lat temu (tylko dzięki uporowi ówczesnego dyrektora w TVP Jana Polkowskiego), pozostaje praktycznie jedynym nieco większym obrazem, który opowiada historie Polaków zamordowanych przez Niemców za ratowanie Żydów. Na antenach TVP był pokazany ponad 70 razy. Sądziłem, że po 10 latach będzie takich filmów mnóstwo. Ale ich nie ma. Przez ostatnie trzy lata, mimo wielu prób w różnych instytucjach, nie udało mi się uzyskać żadnego finansowania na żaden projekt (filmowy, edukacyjny, muzealny, promocyjny) poświęcony Polakom ratującym Żydów.

Wielkie Kłamstwo urosło do gigantyczny rozmiarów, a punktem przełomowym była uroczystość wręczania medalu upamiętniającego czyny Jana Karskiego, który zawiadomił świat o mordowaniu Żydów przez Niemców. Podczas tej uroczystości nie padły informacje, że Karski był wysłannikiem polskiego podziemnego rządu, prezydent USA chwalił jego wyjątkową postawę. Nie padła też informacja o roli Niemców. Padło natomiast z ust prezydenta Obamy sformułowanie „polskie obozy śmierci". A stojący obok i reprezentujący Rzeczpospolitą minister Rotfeld, który chwilę później zabierał głos, przyjął stwierdzenie prezydenta Obamy akceptującym milczeniem.

Dlatego nie dziwmy się, że stalinowska kłamczucha (bo kłamiąca dokładnie wedle stalinowskich wzorców, a nawet jeszcze bezczelniej) z wielkiej amerykańskiej telewizji, z pełnym cynizmem w środku Warszawy pluje nam w twarz. Skoro – zdaniem prezydenta USA i polskiego ministra – obozy śmierci były polskie, to oczywiste, że owe obozy musiał zbudować „polski reżim nazistowski". I właśnie z tym reżimem walczyli Żydzi w powstaniu w getcie. No bo z kim innym mieliby walczyć, jeśli nie z nazistami?

Gdy internauci huknęli oburzeniem, a polska ambasada brawurowo wydała z siebie tweeta, rozdokazywana pani Mitchell zamieściła zdjęcie spod pomnika Bohaterów Getta, na którym widać panów Netanjahu, Morawieckiego i Pence'a, ale w podpisie „nie zauważyła" stojącego pośrodku polskiego premiera. Zapewne, by pokazać, że możemy jej skoczyć. Żeśmy bezradni, skazani na milczenie i to ona decyduje, co myśli o nas świat.

Reakcja oburzenia obywateli, publicystów, historyków, polityków jest potrzebna, ale nie zmieni obrazu Polaków, jaki budują stalinowska kłamczucha i wszyscy jej podobni, a jest ich wielu. Ten obraz może zmienić wielopłaszczyznowa, wieloletnia, starannie zaplanowana i intensywna kampania przeciw kłamstwu. Obecnie jej nie ma. Jeśli już dziś tak nie jest, to za kilka lat dla większości świata będzie oczywiste, że Polacy wymyślili nazizm, masowo go poparli, napadli na Niemców, zorganizowali obozy śmierci, wymordowali Żydów. A że nie wszystkich, to dzięki Niemcom, którzy musieli wkroczyć do Polski, żeby ratować Żydów przed nazistami. Polacy powinni więc przepraszać, płacić odszkodowania i oddać się pod kuratelę Berlina oraz Moskwy, które gwarantują, że nazizm nie wróci.

Polakami i Polską można gardzić, dopóki – przez swą bierność – sami sobą gardzą.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 8765b03b4d

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zawdzięczamy Mu wiele



Śp. Janowi Olszewskiemu zawdzięczamy proamerykański kurs polskiej polityki zagranicznej, wejście do NATO i przyszłe związanie się z UE

Jestem przekonany, że pogrzeb premiera śp. Jana Olszewskiego będzie można porównać do uroczystego pochówku mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" w dniu 24 kwietnia 2016 r. Zgromadził całą patriotyczną Polskę. I jestem pewien, że ta sama patriotyczna Polska żegnała śp. Jana Olszewskiego. Odszedł bowiem człowiek łączący w sobie wszelkie cechy i imponderabilia Polski przedwojennej z najszlachetniejszymi ludzkimi odruchami w czasach PRL.

I przeciwko takiemu człowiekowi wystąpili 4 czerwca 1992 r. cwani politykierzy. Szczególnie ci z Kongresu Liberalno-Demokratycznego, od Donalda Tuska, którzy swoje poparcie dla rządu Jana Olszewskiego uzależnili od „zapewnienia im nietykalności". Tak to zapamiętał premier i opowiedział o tym „Gazecie Polskiej" w maju 2017 r. Dziś chcą przykryć tamtą haniebną datę zamachu na demokratycznie powołany rząd Jana Olszewskiego innym 4 czerwca, przypadającym w 30. rocznicę wyborów do Sejmu kontraktowego. Przygotowali się do tego już wcześniej, ustanawiając uchwałą sejmową w maju 2013 r., za czasów „drugiego" rządu Tuska – Dzień Wolności i Praw Obywatelskich. Ile było tej wolności i dla kogo była ta wolność zapoczątkowana w 1989 r., wie każdy rozsądnie myślący Polak.

Nie da się przerobić 4 czerwca 1989 r. w Dzień Wolności i Praw Obywatelskich. Wręcz przeciwnie, w wyniku porozumienia okrągłego stołu, który był tylko medialnym teatrem, gdyż wszystko ustalono w zacisznej Magdalence, nastąpiło płynne przejście z PRL do III RP. Starzy partyjni wyjadacze podzielili się władzą z nową „elitą", nazywaną „konstruktywną opozycją". Wybory były wolne tylko do Senatu. W Sejmie zarezerwowano 65 proc. mandatów dla PZPR, ZSL, SD, PAX, UChS, PRON, a 35 proc. miało przypaść kandydatom bezpartyjnym, ale zaprzyjaźnionym z partyjniakami. Naród skreślał jednych i drugich, w wyniku czego Koalicja Obywatelska zdobyła 160 z 161 mandatów zarezerwowanych dla bezpartyjnych. Z listy krajowej, na której widniały nazwiska 35 najważniejszych genseków, tylko dwóch znalazło się w Sejmie. I wówczas obie strony, w celu dotrzymania kontraktu, a „Solidarność" okrągłostołowa w imię okazania drugiej stronie „dobrej woli", zmieniły między pierwszą a drugą turą reguły głosowania, czyli w trakcie wyborów. Takie to były „wolne" wybory: kontraktowe, częściowe, niejasne, łamiące nawet własne prawo wyborcze.

Trzeba o tym przypominać, gdyż opozycja zamierza uczynić z 4 czerwca 2019 r. wielką uroczystość, aby po raz kolejny zafałszować historię. Tak jak zafałszowano charakter rządu Tadeusza Mazowieckiego. Nie był premierem pierwszego niekomunistycznego rządu, tylko niekomunistycznym premierem ostatniego komunistycznego rządu. Jakby ktoś miał wątpliwości, niech sobie przypomni dzień 29 grudnia 1989 r., już po powołaniu rządu Mazowieckiego, kiedy znowelizowano konstytucję, aby w miejsce PRL mogła się pojawić nowa nazwa państwa polskiego – Rzeczpospolita Polska. Dlatego pierwszym polskim premierem stojącym na czele pierwszego niekomunistycznego rządu był śp. Jan Olszewski. Mało tego, jego rząd powstał w wyniku pierwszych po II wojnie światowej wolnych, demokratycznych wyborów parlamentarnych 27 października 1991 r.

Patriotyczna wolna Polska winna zatem świętować ten dzień, a nie 4 czerwca 1989 r. Tym bardziej że najważniejszym „celebransem" tych uroczystości będzie TW Bolek, czyli Lech Wałęsa. Autor haniebnego tekstu opublikowanego dzień po śmierci Jana Olszewskiego. Najpierw zastrzega w nim, że o zmarłym nie wolno pisać źle, po czym „dla prawdy historycznej" domaga się „uczciwej oceny". Cytuję: „Gdybym posłuchał zaleceń rządu Olszewskiego, to wojska rosyjskie byłyby w Polsce do końca świata i jeden dzień dłużej. Do dzisiaj sprawy by nie załatwiono, tak jak nie załatwiono sprawy wraku. Poszukajcie depeszy, jaką do mnie wtedy wysłano".

Jeszcze do niedawna uważałem, że nie należy Wałęsy traktować poważnie. Nie trzeba cytować jego absurdalnych wypowiedzi. Jednak nie można lekceważyć metody Goebbelsa, a taką od lat stosuje. Śledząc Twittera systematycznie, ale dopiero od dwóch miesięcy, zauważyłem, że nie ma tak piramidalnej bzdury, której nie łykną lemingi. Dlatego trzeba dementować kłamstwa, oszczerstwa i manipulacje natychmiast, gdy się pojawią.

Śp. Janowi Olszewskiemu zawdzięczamy proamerykański kurs polskiej polityki zagranicznej, wejście do NATO i przyszłe związanie się z UE. Wałęsa chciał nas wepchnąć w jakieś NATO-bis, a depesza, której nie trzeba szukać, gdyż jest powszechnie znana, była iskrówką premiera do prezydenta Wałęsy odmawiającą mu prawa podpisywania paragrafów o polsko-rosyjskich spółkach w miejsce opuszczonych baz wojskowych. To dopiero by nas urządził „Bolek", gdyby nie szybka, zdecydowana reakcja premiera Jana Olszewskiego.

eprasa.pl 8765b03b4d

LOKAL DLA AWANTURNYCH

447 i co dalej?

Chcę ci zabrać coś, co kiedyś należało do mojego plemienia, masz mi to oddać i nic nie mówić! Dlaczego? Bo ja tak chcę i mam siłę, aby cię do tego zmusić. Niedorzeczna logicznie sytuacja?

Nie przypomina wam jednak roszczeń pewnej grupy uznającej się za reprezentantów ofiar niemieckich mordów w czasie II wojny światowej? Roszczenia, coraz mocniej i wyraźniej, kierowane są w stronę Polski. To państwo polskie ma ponieść konsekwencje zbrodniczej awantury wywołanej przez Niemcy. Na nic zdadzą się traktaty mówiące o tym, że w naszej cywilizacji dziedziczenie następuje jedynie w gronie najbliższej rodziny i osób wskazanych w testamencie przez właściciela majątku. W tym jednym wypadku każdy, kto obwołuje się reprezentantem narodu żydowskiego, ma prawo domagać się zwrotu majątku pozostawionego na terenie naszego kraju przez ludzi posiadających taką samą narodowość. Na straży tych roszczeń stanęło, przyjmując ustawę 447, najpotężniejsze państwo świata – USA.



Witold Gadowski

Oczywiście można twierdzić, że amerykańskie ustawodawstwo nie obowiązuje w Polsce, ale intuicyjnie czujemy, że gdy Stany wzmogą presję, to polski parlament zacznie uchwalać ustawy umożliwiające realizację tych zamierzeń. Okazuje się, że zakrywany milczeniem problem narasta i pęcznieje. Nie da się już o nim milczeć. Co w tej sprawie robi nasza dyplomacja? Czy rządzący mają jakikolwiek plan, strategię mogące uchronić interesy Polaków?

Nie da się dłużej milczeć o gigantycznej aferze związanej z wyłudzaniem przedwojennego mienia na podstawione osoby, nie da się dłużej udawać, że wszystko jest w porządku, gdy wciąż – 30 lat po zmianach – nie ma w Polsce ustawy reprywatyzacyjnej. I wreszcie nie da się chować głowy w piasek w kwestii reparacji wojennych ani odszkodowań na konkretne straty, które ze strony Niemiec nigdy nie trafiły do Polski. Nasilająca się kampania nacisków na nasz kraj, która ma sprawić, że zaczniemy wypłacać pieniądze organizacjom reprezentującym ofiary Holokaustu, jest ostatnim momentem, aby twardo zażądać rozliczenia się Niemiec wobec Polski za wszystko, co niemieccy zbrodniarze uczynili na jej terenie. Tylko powiązanie tych dwóch kwestii może przynieść rozsądne rozwiązanie narastającego problemu.

Jeżeli żydowskie organizacje uznają, że sprawcami i organizatorami zbrodni byli Niemcy, to niech wspomogą Polskę w egzekwowaniu realnych odszkodowań za II wojnę światową. Wtedy – z tych właśnie środków – będą mogły otrzymywać pieniądze za mienie, do którego udokumentują prawną sukcesję. Proste? Wykonalne?

Pochwała gniewu

Tresura całych społeczeństw na potulne owieczki jest faktem. Komu potrzebne jest łagodne i bezbronne stado? Ano pasterzom, którzy doją je i strzygą. I niewątpliwie wilkom. Mickiewiczowskie „gwałt niech się gwałtem odciska" uznawane jest dziś za mowę nienawiści, od pilnowania porządku są właściwe służby. Obywatelu! W razie zagrożenia nie broń się, wybierz nr 112. Sam możesz przekroczyć granicę obrony koniecznej! A że z czasem stróże prawa stają się naszymi nadzorcami? C'est la vie...

Niegdyś prawo do obrony było naturalnym przywilejem Polaka. Wzorem dla każdego chłopaka był wojownik, żołnierz, a nadprodukcja testosteronu dawała większe szanse na przetrwanie. Nadmierne ADHD kanalizowane było w turniejowej, sportowej rywalizacji, a patologia potępiana i surowo karana. Przykładem był bowiem nie chuligan, bandyta – ale (mentalnie i fizycznie) rycerz.



Lech Makowiecki

Wraz z likwidacją powszechnego poboru do wojska (dalekiego od ideału, zawsze jednak pewnej szkoły przetrwania) nie wprowadzono żadnej innej formy męskiej aktywności. Wręcz przeciwnie – rozmywanie płci i metroseksualizacja facetów przybrała miarę epidemii. W nadchodzących „ciekawych czasach" sytuuje to infantylnych pacyfistów po stronie ofiar.

Przesadzam? Nie sądzę. To gniew pozwalał naszym przodkom „mierzyć siły na zamiary" i dokonywać nadludzkich czynów. Tzw. zdrowa złość potrzebna jest nie tylko na wojnie, wielu trenerów próbuje wzbudzić ją u zawodników celem bicia wyśrubowanych rekordów. Motywację do podejmowania trudnych wyzwań znajdujemy w podświadomości. W ludzkiej psychice drzemią moce, które umiejętnie rozbudzone wyzwolić mogą niespotykaną energię potrzebną do pokonywania przeciwności losu. Przywrócenie Polakom wartości bojowej jest dziś dla nas największym wyzwaniem. Usilne namowy papieża Franciszka do nadstawiania drugiego policzka i męczeńskiej śmierci nie rajcują mnie. Bliższy jest mi przykład Chrystusa wypędzającego przekupniów ze świątyni.

eprasa.pl 8765b03b4d

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

W Krakowie zaczepiście!



Aleksander Nalaskowski

W mieście zarządzanym przez profesora z UJ musi to wszystko budzić zastanowienie nad granicami chorej wyobraźni urzędników i ich pedagogicznych niekompetencji

Po raz kolejny wpadam w tę samą pułapkę. Gdy już mi się wydaje, że poziom głupoty albo zwykłej niekompetencji, czy niekiedy nikczemności, osiągnął pułap niemożliwy do przekroczenia, to wówczas otwiera się kolejne, wyższe piętro, na którym jest jeszcze głupiej i jeszcze bardziej żenująco. Czy to perpetuum mobile i nasze swojskie definiowanie nieskończoności?

Nachalna propaganda wylewająca się z mediów spod znaku TVN i „GW", a także prząśna perswazja w TVP co rusz zaskakują coraz to nowszymi szczytami naszych, prapolskich, swojskich Himalajów durnoty. Tym razem odkrywamy je w królewskim Krakowie. Dla większości czytelników Kraków to piękna starówka, Wawel, Skałka z kryptą, w której śpi Staś Wyspiański, Planty, historia mądrego Zielonego Balonika i do dzisiaj bawiące się na weselu Rydla i Mikołajczykówny Bronowice. Ale nie dajmy się zwieść ani zauroczyć. Kraków to także wybiegająca w przyszłość codzienność, nowoczesność i intelektualna awangarda. I tu pojawia się właśnie nasz kolejny Mount Everest żenującej głupoty.

Oto włodarze miejskiej oświaty i ich akolici postanowili dać całusa i kopa zdrowemu rozsądkowi. Zdaje się, że całusa to nawet dosłownie. Oto wymyślili bowiem lekcje przeciwko mowie nienawiści. Oczywiście była to akcja w pewnym momencie ogólnopolska, ale tak szybko jak się pojawiła, tak zgasła. A to zapewne z tej przyczyny, że sama przez się sugerowała, że szkoła to codzienna porcja nienawiści i dopiero odrębne zajęcia ją z tego wyleczą.

Ale w Krakowie posunęli się dalej. W jakichś placówkach, za wiedzą miejskiego wydziału oświaty, nakazano uczniom fotografować rozmaite graffiti i bazgroły świadczące o mowie nienawiści. Jak rozumiem, chodzi o napisy „J...ać Cracovię" albo „Wisła Żydzi!", czy coś w tym rodzaju. Uczniowie zatem biegają po ulicach i fotografują komórkami co lepsze bluzgi, a potem pokazują je na lekcjach.

Jeśli ktoś nie dostrzega idiotyzmu zawartego w tym pomyśle, to znaczy, że ma bielmo na oku. Bo trudno sobie wyobrazić lepszą prezentację palety ofert obrzydliwych słów i obraźliwych napisów niż zmasowany festiwal komórkowych zdjęć pobłogosławiony przez krakowskie przywództwo oświatowe. Jeśli ktoś wierzy, że okadzenie dydaktycznym smrodkiem tych uwiecznionych (na rozkaz szkoły!) bluzgów cokolwiek załatwi, to mogę go tylko odesłać do książek, do studiów psychologicznych albo do zielarki na odczynienie.

Wypada czekać na następne kroki. Fotografowanie pijanych (by przestrzec przed alkoholem), narkomanów (by przestrzec przed narkotykami), ofiary wypadków (ostrożność na drodze), a może i prostytutki (aby młodzież była przyzwoitsza). Takie rozwiązanie może proponować wyłącznie ktoś, kto w życiu nawet nie otarł się o podstawowy kurs pedagogiki. W mieście zarządzanym od niemal dwóch dekad przez profesora z UJ musi to wszystko budzić zastanowienie nad granicami chorej wyobraźni urzędników i ich pedagogicznych niekompetencji.

Ale na tym nie koniec tej radosnej twórczości w stolicy Małopolski. Oto bowiem wydrukowano plakaty z „poradami", czym zastąpić słowa nienawiści. I padają propozycje. A to „zaczepiście", co jest tylko eufemistycznym brzmieniem słowa „zaj...ście", którym swego czasu raczył nas z opolskiej estrady czerwonowłosy Michał Wiśniewski, albo „masno fest", przy czym „fest" ma oznaczać (wedle dołączonego wyjaśnienia) „coś superfantastycznego, po prostu masnego". Nie dość, że proponowane rozwiązanie jest głupie i naiwne, warte Wujka Dobra Rada (Mikulski) z „Misia" Barei, radzącego, co robić, gdy się słyszy przekleństwo „motyla noga". To jeszcze promuje się knajacki żargon, a w przypadku „fest" germanizm. Zupełnie tak, jakby szkoła nie zmagała się z głębokim kryzysem kompetencji w materii czytania i pisania uczniów, to prawdziwy całus głupoty złożony na skroniach polszczyzny. A to wszystko – uwaga! – w ramach Krakowskiego Dnia Dobrego Słowa. Cóż, nie od razu Kraków zbudowano, ale chyba można dość szybko go ośmieszyć. Każde miasto ma jakiegoś Kononowicza. Ale żeby tak od razu dać mu do rządzenia oświatę?

Tym praktykom sprzeciwiła się lokalna kuratorka. To bodaj najbardziej znany urzędnik oświatowy w Polsce i najbardziej ujeżdżany przez mainstream. Bezpośrednia, ostra, jednoznaczna. No i ruszyła lawina krytyki. Da się ją scharakteryzować hasłem „Głupota – tak, rozsądek – nie". Kraków zawsze był trochę inny, ale żeby do tego stopnia? Czy w istocie językoznawcom akademickim nie zapaliło się jakieś czerwone światełko? Pedagogom też nie? Przecież proponowane i propagowane działania są biegunowo odległe od wszelkiej poprawności metodycznej i dydaktycznej. Są za to poprawne politycznie i godne strzelistego intelektu Rysia Petru. Halo, halo Kraków! Tu Ziemia.

eprasa.pl 8765b03b4d

PRZEZ ŚWIETLIK

Hipokryzja na stole

Pamiętacie ze szkoły lub Teatru Telewizji „Moralność pani Dulskiej”? Tytułowa bohaterka walczyła o to, by być postrzegana jako uosobienie mieszczańskich cnót moralnych, tak naprawdę wszystkim im przecząc. Znany państwu Piotr Zaremba na antenie radiowej Trójki nieco przetworzył Madame Dulską. W jego świetnym słuchowisku (pogrzebcie w internecie, a znajdziecie) współczesna pani Aniela jest nowoczesna. Za to, by być nowoczesną matką rodziny, odda wszystko, łącznie z tym, że zachowa się jak najbardziej zakompleksiona, zacofana i wsteczna egzemplifikacja tego, co pozornie zwalcza.

Bałem się, że nasze radiowe słuchowisko nie wzruszy nawet biskupiego pałacu naszej współczesnej dulszczyzny ulokowanego na ulicy Czerskiej. Na szczęście Zaremba okazał się na



Wiktor Świetlik

tyle sugestywny i mocny, że znalazło oddźwięk. Uderz w stół, a dulszczyzna odpisze. Niejaki Witold Mrozek z „Gazety Wyborczej” wybełkotał coś o „kastracyjnych lękach polskich konserwatystów” i tak dalej. Myślę, że słusznie zareagował, bo Zaremba w gruncie rzeczy celnie trafił w najważniejszą emocję, na której „Gazeta Wyborcza” budowała swój świat, dopóki... ta emocja nie stała się wsteczna. A kiepsko jest, gdy wsteczna staje się nowoczesność.

Nowoczesność i postępowość. W ich imię moje pokolenie mogło bardzo wiele oddać. Może nawet więcej niż dla pieniędzy. Trudno mieć pretensje. Pamiętam, jak będąc młodszym nastolatkiem, pojechałem z rodzicami na Zachód i pierwszym cudem techniki, z jakim miałem do czynienia, była samospuszczająca się woda w pisuarze na zachodnioniemieckiej stacji benzynowej. Poczułem się jak w powieści Lema. I dość charakterystyczne, że właśnie w to zacofanie wpuścili nas ci, którzy potem najaktywniej z nim walczyli, proponując Polakom modernizację nie tylko mieszkań czy dróg, akurat to nam wolno szło, lecz rodzin, społeczeństwa, obyczajów. Celowało w tym środowisko, które choćby najchętniej walczyło o feministyczne ideały, zarazem zaliczało najwięcej afer związanych z molestowaniem czy – jak to się dziś mawia – mobbingiem kobiet.

Posłuchajcie „Kołtuneriady” Piotra Zaremby. To sztuka o hipokryzji – nieodłącznej towarzyszce naszego świata. Świata moralizujących byłych esbeków i psychopatów walczących z mową nienawiści, a także prawiących nieustanne morały cyników z obu stron sceny politycznej. To także słuchowisko o tym, jak źle można wykorzystać autentyczne ludzkie tęsknoty, aspiracje i lęki. Tak jak tęsknotę pani Dulskiej sprzed 110 lat do moralności, na którą tak naprawdę nie miała ani szans, ani ochoty.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Posłuchajcie „Kołtuneriady” Piotra Zaremby. To sztuka o hipokryzji – nieodłącznej towarzyszce naszego świata. Świata moralizujących byłych esbeków i psychopatów walczących z mową nienawiści, a także prawiących nieustanne morały cyników z obu stron sceny politycznej



Michałowi i Pawłowi Korsunom

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

TATY

składa zespół tygodnika „Sieci”

eprasa.pl 8765b03b4d



Powrót posła

Nasz system interwencji wobec rodziny nie został jeszcze tak wynaturzony jak norweski, ale obserwując wiele przypadków, jesteśmy na najlepszej drodze, by dogonić tamtejsze standardy. W Polsce, tak jak w Norwegii, za przemoc uznaje się nie tylko akty fizyczne typu klaps, lecz także dyscyplinowanie dziecka przez zakaz korzystania z internetu

JAN POSPIESZALSKI

W poniedziałek do Polski powrócił konsul Sławomir Kowalski, którego zmuszono do opuszczenia terytorium Królestwa Norwegii. Władze w Oslo uznały polskiego dyplomatę za persona non grata, ponieważ zbyt aktywnie angażował się w ochronę dzieci polskich obywateli przed wszechwładzą urzędu Barnevernet.

Kilka tygodni temu w internecie pojawił się nagrany smartfonem filmik, na którym widzimy interwencję norweskiej policji wobec naszego dyplomaty. Muskularni funkcjonariusze wypychają z mieszkania polskiego konsula, nie unikając przy tym, jak słyszymy na nagraniu, rękoczynów. Dyplomata pojawił się w miejscu, gdzie miało dojść do widzenia polskich rodziców z odebranym i przekazanym rodzinie zastępczej dzieckiem. O obecność konsula poprosili sami rodzice, ponieważ norwescy urzędnicy zabraniali im rozmawiać z dzieckiem w języku polskim. Całe zdarzenie upubliczniono, gdy się okazało, że to nie policjanci zostali oskarżeni o łamanie konwencji wiedeńskiej i międzynarodowego prawa, ale nasz konsul został oskarżony o napaść na funkcjonariuszy. Absurdalność tego zarzutu każdy może sprawdzić, oglądając umieszczone w sieci nagranie.

W obronie konsula stanęło oczywiście polskie MSZ, ale przede wszystkim zrobili to rodzice oraz różne polonijne stowarzyszenia i polskie media. Co ciekawe, głosy oburzenia wobec decyzji Norwegów, a także wyrazy wsparcia i solidarności dla polskiego urzędnika słychać było z różnych politycznych obozów. Oczywiście najgłośniej, co zrozumiałe, protestowali politycy i sympatycy obecnej większości parlamentarnej.

Tym politykom Zjednoczonej Prawicy, którzy słusznie zresztą stanęli w obronie polskiego konsula, chciałbym dać pod rozwagę pewien mały drobiazg. Upłynęły trzy lata rządów patriotycznej i konserwatywnej formacji, a w Polsce nie zmieniono ustawy o przemocy w rodzinie ani nie wypowiedziano konwencji stambulskiej.

Przypomnę więc, że na podstawie prawa przyjętego przez poprzedni rząd PO-PSL można w Polsce odbierać rodzicom dzieci bez wyroku sądu. Można, tak jak w Norwegii, na podstawie donosu uruchomić procedurę zbierania informacji (łącznie z danymi wrażliwymi, np. dotyczącymi przebytych chorób). Tak zwana niebieska karta może być założona rodzicom bez ich wiedzy, a o sposobie interwencji wobec rodziny, łącznie z odebraniem dziecka i przekazaniem rodzinie zastępczej, decyduje zespół interdyscyplinarny złożony z pielęgniarki, pracownika MOPS, policjanta, nauczyciela i działacza organizacji pozarządowej (często o skrajnie zideologizowanym profilu). W Polsce, tak jak w Norwegii, za przemoc uznaje się nie tylko akty fizyczne typu klaps, lecz także dyscyplinowanie dziecka przez zakaz korzystania z internetu, kontrolę aktywności w mediach społecznościowych, nadmierną krytykę czy ograniczanie kontaktów.

Oczywiście nasz system interwencji wobec rodziny nie został jeszcze tak wynaturzony jak norweski, ale obserwując wiele przypadków opisanych w raportach Stowarzyszenia i Fundacji Rzecznik Praw Rodziców (założonych przez Karolinę i Tomasza Elbanowskich) oraz Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, jesteśmy na najlepszej drodze, by dogonić norweskie standardy. Smutne jest, że podjęta próba nowelizacji fatalnej ustawy, po kilku alarmistycznych tekstach w liberalnych mediach, została natychmiast wstrzymana. Jedno tupnięcie w redakcji na Czerskiej wystarczyło, aby wszelkie prace nad zmianą odłożyć ad calendas graecas.

Konwencja stambulska też nie została wypowiedziana. Skrajnie ideologiczny dokument, wprowadzający pojęcie tzw. płci kulturowej, który za źródła przemocy uznaje religię, rodzinę oraz tradycję i zobowiązuje do zwalczania stereotypów, a także wprowadzenia edukacji seksualnej od przedszkoli, w Polsce obowiązuje. Fakt, że dziś zapisy konwencji nie są stosowane, nie oznacza, iż przy zmianie koniunktury politycznej to się nie zmieni. Obserwując lęk, z jakim obecny rząd odnosi się do wszelkich czarnych protestów, nie mam złudzeń, że z czasem najczarniejsze norweskie scenariusze i u nas mogą być realizowane. Wtedy dzielny konsul Sławomir Kowalski będzie potrzebny na miejscu.

eprasa.pl 8765b03b4d

Nowoczesna ballada



Jerzy Jachowicz

Warszawski sąd zatrząsł się z niedowierzania. W ostatni piątek w Warszawie zakończył się bulwersujący proces o podział majątku ulubionego swego czasu duetu polskiego kina i teatru – Stefci oraz Alfreda Szymurów. Jakże byli uwielbiani przez publiczność! I tę wyrobioną, wykształconą na klasycznej literaturze, muzyce, malarstwie oraz architekturze, i odbiorców wyłącznie kultury masowej.

Stefcia i Alfred Szymurowie umieli dogłębnie wzruszać i bawić, bez względu na to, czy występowali razem, czy osobno. Potrafili docierać do samych trzewi ludzkiego losu z jego dramatami, wzniosłymi uniesieniami i upadkami moralnymi. Przypomnę tylko słynny swego czasu monodram Alfreda Szymury – „Słodkie łapówki posła z uprzemysłowionej Łodzi". Czy można zapomnieć o porywającej, obsypanej nagrodami – małżonka Alfreda była już wtedy leciwą damą polskiego teatru – prezentowanej jeszcze niedawno w całej Polsce jednoaktówce „Widzenie ze Stasiem pod okiem strażników"?

W pierwszych latach naszego wieku, choć już dojrzali, uchodzili za jedną z najbardziej gorących par rodzimego show-biznesu. Byli wzorem elegancji, dobrego smaku i godnej postawy dla dziesiątków popularnych, młodszych od nich celebrytów. Aż tu nagle taka sensacja. Ta słodka, pozornie niewinna i pełna dobroci Stefcia Szymura potajemnie nagrywała swego dobrodusznego i niepodejrzewającego ją o technologiczne intrygi Alfreda. A poszło o majątek. Namiętność do dóbr materialnych pociągnęła Stefcię do zdrady własnego małżonka, który troskliwie opiekował się nią, a nawet pielęgnował, jeszcze całkiem niedawno, gdy jej zdrowie uległo poważnej zapaści.

Jakże wstrętna i zgubna może być brzęcząca mamona. Przez taśmy, które miały posłużyć do podstępnego zdobycia nienależnej jej części wspólnego majątku, straciła cały piękny dorobek swego artystycznego życia. „Wszystko ci dam, ukochana! Wróć tylko do życia!" – krzyczała Stefcia w sądzie, powołując się na obietnice Alfreda na taśmie. Dzięki rozsądnemu sędziemu nagraniami nic nie wskórała.

„Co nielegalne, się nie liczy" – zamknął rozprawę mądry sędzia Jerzy Jachowicz.

CO MNIE PRZERAŻA

Moja sympatia



Katarzyna Łaniewska

Moją sympatią wśród dziennikarzy telewizyjnych był i jest pan Krzysztof Ziemiec. Śledziłam jego karierę i cieszyłam się osiągnięciami.

Pan Krzysztof, jak pamiętam, zawsze pracował w telewizji publicznej. Był dziennikarzem obiektywnym i taktownym. Nie narzucał swojej wersji. Potrafił słuchać, a to jest niezwykle ważne w rozmowach. Prowadził je z politykami, ludźmi kultury i nauki, przedstawicielami Kościoła. Nie odpowiadał na postawione przed chwilą przez siebie pytanie, tak jak to często robią dziennikarze, narzucając swoją wersję. Czekał i umiał słuchać. Nie obnosił się ze swoją wielką wiarą, a jest człowiekiem głęboko wierzącym (dostałam kiedyś od niego modlitwę drogi krzyżowej, którą napisał ze swoją żoną Danutą). Był często delegowany do rozmów z ludźmi duchownymi, które umiał prowadzić.

W dawnych czasach starano się znaleźć jakieś dziury w jego pracy, był niewygodny i komuś zawadzał. Nawet chciano go parę razy zwolnić, ale zyskiwał coraz większą popularność wśród telewidzów. Z przyjemnością odnalazłam go po dobrej zmianie w telewizji publicznej. Został. A ja wróciłam do TVP.

Śledząc losy pana Krzysztofa, wiedziałam, że przeżył tragedię, pożar w domu, poparzenie. Był człowiekiem cierpiącym i leczącym swoje rany. Potem rehabilitacja i otoczenie opieką przez najbliższych. Ból znosił sam. Był odważny i stawał mu naprzeciw, by wrócić do normalnego życia. Kiedy nie czuł się całkowicie dobrze, zgodził się na pracę jako lektor w filmie opowiadającym o Janie Pawle II. Robił to wspaniale mimo bólu.

To, co ostatnio spotkało Magdalenę Ogórek, to osaczenie przez rozwydrzony tłum, przez ludzi, którzy nie wiadomo czego żądają. Chcą demokracji, która oznacza, że muszą być różni dziennikarze w różnych telewizjach. Nie wolno ich lżyć, wymyślać im ani grozić. Czy uczestniczące w tym kobiety mają może córki i wyobrażają sobie, że one są tak traktowane w osaczonym samochodzie? Może dzieci nie macie, ale same byłyście córkami. Opamiętajcie się! Współczuję pani Magdalenie.

Pan Krzysztof odpowiedzialny za rodzinę nie może pozwolić, by coś takiego stało się jemu. Nie ma już na to siły. Czego chcą? Mają swoją telewizję. Kto za to odpowiada? Kto za to płaci? I jak długo jeszcze? Pan Krzysztof po wielu wspaniałych latach zdecydował, że rezygnuje z części obowiązków w telewizji, bo chce do domu. Być ojcem i mężem.

eprasa.pl 8765b03b4d

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Skąd się biorą partie?

Ugrupowanie Wiosna nie wygląda na nowalijkę



Ryszard Makowski

Macherzy wpływający z jakiegoś niewidzialnego wymiaru na nasze życie polityczne traktują nas nonszalancko. Stosują kanon: do trzech razy sztuka. Po Ruchu Palikota i Nowoczesnej aktualnie próbują nam opchnąć jednorazówkę pod wdzięczną nazwą Wiosna. Tęczę już obrzydzili, teraz padło na wiosnę.

Inauguracyjne spotkanie „nowej" zbieraniny (od zbiórek pieniężnych) na Torwarze było full wypas i pojawiło się niezręczne pytanie: kto to sfinansował? Kolejny zawód. Śpiewka jest znana i wyświechtana. Ano poplecznicy partii nie wiedzą, co robić z pieniędzmi, i ochoczo wspierają wydatki kampanijne. Znamy, znamy. Studenci i emeryci gremialnie wpłacali na Ruch Palikota po 10 tys. A debiutującą, nikomu nieznaną Nowoczesną indywidualni entuzjaści wspomagali kwotami rzędu 30 tys. No nic, tylko zakładać partie. Ludzie lecą z pieniędzmi. W swoim szczebiotliwym stylu Robert Biedroń bez żenady oświadczył, że pieniądze to on bierze też z Niemiec. I Niemcy nic za to nie chcą.

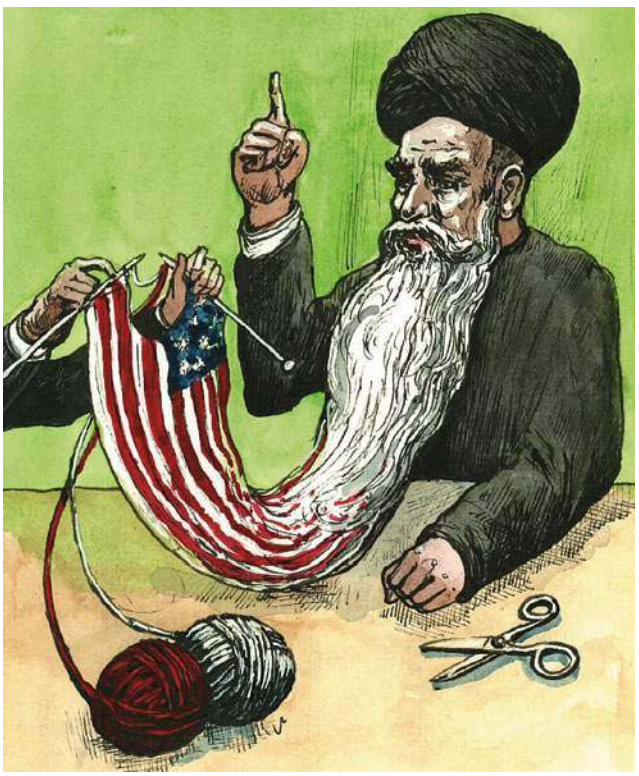
Wiosna ma na starcie rewelacyjne sondaże. To też już było. Nowoczesna zaczynała od 17 proc. Podobny rząd wielkości poparcia dano Wiośnie.

Ewidentną kontynuacją jest powierzenie roli przywódcy kolejnemu charyzmatykowi. Po mężach stanu formatu Janusza Palikota czy Ryszarda Petru czas na Roberta Biedronia. Choć w jego przypadku do końca nie jest jasne, czy mąż, czy jakoś inaczej.

Wiosna nie jest jednak bez szans jesienią. Ma tak durnowaty program, że znajdą się chętni, by go poprzeć w ramach anomalii pogodowych.

eprasa.pl 8765b03b4d

***Zawistowski prezentuje:* Konferencja**



Wycinki z przeszłości

Pismo literackie „Plon” z marca 1934 r. informowało czytelników o wyprawie malarza Zenona Kononowicza, który kilka miesięcy spędził w Zułowie (Wileńszczyzna), miejscu narodzin i pierwszych lat życia marszałka Józefa Piłsudskiego. Efektem była seria pejzaży, z których jeden prezentujemy obok, oraz takie zanotowane zdania:

„Wszystko w Zułowie oddycha wspomnieniami dziecinnych lat Marszałka. Bo to były dobre czasy, o których starzy ludzie tamtejsi opowiadają, wspominają, jak to było, kiedy był dwór, kiedy byli państwo. Potem, gdy państwo Piłsudscy wyjechali z Zułowa, przyszli nowi czasowi nabywcy, przyszli dzierżawcy i wszystko zaczęło się chylić ku upadkowi i ruinie.

W owym ślicznym kościółku wiejskim w Powiewiórce staruszek ks. proboszcz Wolański, który spoczywa na miejscowym cmentarzu, chrzcił Marszałka, tu w murowanej samotnej kapliczce pochowany jest dziad (wuj matki) Michałowski.

Zmieniło się bardzo wiele i wiele poszło w tuinę, ale pejzaż pozostał ten sam na pozór monotonny, smutny, w rzeczywistości jakże różnorodny i bogaty krajobraz litewski”.



Tyle gazeta sprzed ponad 80 lat. A dzisiaj? Śladów Marszałka w Zułowie jest jeszcze mniej, ale pamięć o wielkim synu tej ziemi pozostała.

(mk)

W pięćdziesięciolecie



Leszek Długosz

13 lutego minęło 50 lat od Jego śmierci. Dla wielu, i to spośród „kół specjalistycznych” (przypominam sobie opinię prof. Marii Dłuskiej – prawodawczyni „Poetyki polskiej”), Wierzyński to najwybitniejszy polski poeta XX stulecia. Bez wątpienia to jedna z najwspanialszych kart polskiej poezji współczesnej. „Autor pięknego, niezłomnego, gorzkiego, polskiego życiorysu”. Ot tak, przy okazji...

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI (1894–1969) „KUFER” Marii Dąbrowskiej

Na strychu śpi mój powrót,
Kufer blachą okuty, walizy,
Cała moja ojczyzna,
Paszporty, obywatelstwa,
Emigracyjne wizy.
Kufer, mój wielki majątek,
Którego tutaj mam bronić,
Normalny nieszczęścia początek
I obłąkany koniec.
Kufer starych zjełczałych dzieci,
Gotowych dalej dziecinnieć i głupieć
I śród niezdatnych na nic rupieci
Samotność dzika, gorycz nostalgii,
Najrozpaczliwszy rupieć.
Psie wycie za moją ziemią karpacką,
Spazm do którego wstyd mi się przyznać –
I przeprowadzka za przeprowadzką,
Z Ameryki do Europy,
Z Europy do Ameryki,
Kufer na plecach,
Schodzone stopy,
Ojczyzna.
Taki jest bagaż. Taki wojaż,
Taki mój rozkład jazdy:
Wszystkie strony świata otwarte
A wyjścia z żadnej.
Taki jest potrzask. Ani co wziąć stąd,
Ani z czym dobiec na koniec:
Strych mój i powrót,
Zguba i miłość,
Której zabić nie umiem
Ani obronić.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 8765b03b4d

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Marsz Tuska

Przez Polskę idą dwa marsze – tak napisaliśmy na łamach „Sieci" kilka miesięcy temu (nr 45., 2018). Nawiązywaliśmy do deklaracji Grzegorza Schetyny, który zapowiedział „długi marsz totalnej opozycji po zwycięstwo". Nazwaliśmy go czarnym marszem totalnej opozycji, bo w jakimś sensie protesty kobiet przeciwko rzekomemu zaostrzeniu prawa aborcyjnego dobrze wpisywały się w odezwę Schetyny. Ten drugi, wspominany wtedy marsz jest całkiem inny. Mówiliśmy, że symbolizuje go formuła odbywającego się od kilku lat Kongresu „Polska Wielki Projekt".

Można odnieść wrażenie, że ostatnio czarnemu marszowi próbuje się nadać rozmach.

A Kongres „Polska Wielki Projekt"? Jest wymagający. Nie jest happeningiem, nie emanuje atmosferą imprezy. To nie jest marsz „przeciw", „dla obalenia"; nie jest nawet w imię abstrakcyjnie pojętej wolności. Tu jest wizja wolności ściśle powiązanej z odpowiedzialnością za pamięć przodków i troską o pokolenia nadchodzące. To ciągle tworzona wizja lepszej Polski – nieustającego Wielkiego Projektu.



Czyżby Donald Tusk, inicjując Ruch 4 Czerwca (a raczej testując pomysł), chciał powtórzyć sukces Emmanuela Macrona?

KTO NA CZELE CZEGO?

Nadchodzi niełatwy czas dla Polski. Ileż razy słyszeliśmy takie słowa... „A kiedy był łatwy czas?" – ktoś spyta.

Cóż, zbliżające się wybory do Parlamentu Europejskiego, wybory parlamentarne, a w przyszłym roku wybory prezydenckie podsycają nastrój niemal wojenny. To z pewnością trudny czas dla opozycji, bo wymagający maksymalnego zogniskowania energii i zasobów, aby obalić tak znienawidzony rząd i odzyskać swoje tak zasłużone przywileje. Ale to też bardzo trudny czas dla obecnej władzy, która jest przeciążona ponadtrzyletnimi działaniami w obliczu nieustającej presji i sztucznie często potęgowanych nieporozumień, wybuchających niczym poukrywane tu i tam miny.

Już nie chodzi o kompletne negowanie wszystkiego przez opozycję, ale o kontekst trwającej wojny informacyjnej, zawieruchy geopolitycznej i napięć między naszymi sojusznikami (np. między Niemcami a USA).

Tak, Polacy mają prawo czuć się przeciążeni polityką. Tempo zdarzeń błahych i doniosłych patologicznie splątanych z sobą bywa nie do zniesienia. Zamykanie się w bańkach informacyjnych na dłuższą metę też nie działa. Potrzeba czegoś nowego, świeżego.

Nie jest to potrzeba kusząca? Jeśli test projektu Roberta Biedronia się powiedzie, to nietrudno przewidzieć, na jakich emocjach przedwyborczych będzie bazował Donald Tusk.

WOKÓŁ 4 CZERWCA

Mityczny wjazd na białym koniu byłby dla Tuska zbyt ryzykowny. Pewnie chętnie by na nim wjechał, ale tylko po wygranej walce, gdy będzie na luzie. To polityk, który nie ryzykuje, gdy nie ma bardzo wyraźnej szansy. Tak się składa, że kalendarz wyborczy, kumulacja politycznych wydarzeń i historycznych rocznic otwierają szerokie sceny dla świętowania i manifestowania. A czyż manifestowanie nie jest sprawdzonym sposobem kanalizowania lub podkręcania emocji obywateli?

Co w ramach czarnego marszu po utraconą władzę może sumować się w siłę, której symbolem ma być tegoroczna data 4 czerwca? Wiosna Biedronia? Spektakularna zbiórka pieniędzy na Europejskie Centrum Solidarności?

Czyżby Donald Tusk, inicjując Ruch 4 Czerwca (a raczej testując pomysł), chciał powtórzyć sukces Emmanuela Macrona, który z ramienia starego establishmentu został prezydentem dzięki iluzji bycia produktem nowego typu – w ramach socjalliberalnej partii En Marche!? Dziś widzimy, jakie ma notowania oraz – co ważniejsze – do rozwiązania iluż problemów w ogóle się nie przybliżył! (Tak, wykrzykniki są zamiast rozwiązań).

UŚMIECHY ZAMIAST KONKRETÓW

Będą okazywać „postępowe", bardziej proeuropejskie oblicze. Będą łudzić nowoczesnością; hiperwolnością (od zbyt staroświeckiego pojmowania natury – choćby od płci, która ogranicza, od rodziny, która jest źródłem największych koszmarów, od religii jako staroświeckiego, uciążliwego balastu etc.). Będą kusić wspaniałościami, które dają otwartość i tolerancja.

Ilu Polaków w tym marszu zapląsa? Ilu pozostanie w orszaku od ponad tysiąca lat niosącym polskie dziedzictwo?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Autopromocja

eprasa.pl 8765b03b4d

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- POLSKA ARYSTOKRACJA
- OSTATNIA MISJA ROTMISTRZA
- KOZACY NA KRYMIE
- MUZEUM WALKI Z KOMUNĄ



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

Koszulka z kultowym już powiedzeniem

ROCZNA PRENUMERATA SIECI + WSIECI HISTORII

40% TANIEJ



~~463,80 zł~~

280 zł

+ PREZENT



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

eprasa.pl/8765b03b4d